

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

J. I. Kraszewskiego.

WYDANIE DRUGIE.

Tom II.

Nakład i własność wydawców.

WARSZAWA
Gebethner i Wolff

KRAKÓW
G. Gebethner i Sp.

1878.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.



106832

I.

Piękny i ciepły jeszcze był dzień dziewiątego września 1756 roku, ale w świetnym i ożywionem zwykle Dreźnie, panowała cisza jakaś dziwna i złowroga. Trudno było rozpoznać co ją spowodowało, choć na pierwszy rzut oka widać było, iż się działo lub przyjsć miało coś nadzwyczajnego. Mało było ludzi w ulicach, zato pilnie wpatrując się, dostrzedz mogło ciekawe oko na wieżach kościoła Św. Krzyża i P. Maryi, na świeżo dokończonój katolickiej nadwornój kaplicy, ludzi, którzy kryjąc się, przez okna i z za gzymsów spoglądali ciekawie na okolicę.

Pałac Brühlowski stał zamknięty, a ciżba, która się zwykle około niego kręciła, znikła była zupełnie; od ogrodu i arsenału tyłami wywożono paki, które wozami szły na Pirnajskie przedmieście. W oknach pozamykane były okiennice i zapuszczone zasłony. Na zamku stała jeszcze na straży gwardya królewska, zajmująca główny odwach i inne zwykle swe stanowiska; ale na ponurych twarzach żołnierzy malowało się jakieś niezrozumiałe uczu-

cie i obawa. Najmniejszy hałas wywoływał z okien głowy ciekawe.

Drzwi kościoła katolickiego przy zamku, téj wspaniałej, świeżo dokończonój budowy, na którój szczytach stali na straży Święci Pańscy, były otwarte... Z uroczystą powagą na chórze organy się odzywały modlitwą tęskną, powolną, pełną głębokiego uczucia, tęsknić się zdającą ku niebiosom i temu pokojowi, którego świat dać nie może.

Śpiew towarzyszył organom, a przed wielkim ołtarzem, w którym królowało arcydzieło Rafaela Mengsa, stał kapłan sprawujący świętą ofiarę. Łoża w prawo była otwartą, firanki jój rozsunięte; w oknie jój zakwefiona klęczała królowa Józefina, za nią młodsze jój dzieci, rodzina i dwór. Z głową spuszczoną zdawała się płakać modląc, niekiedy załamane ręce nad głowę podnosiła ku niebu a po chwili opadały bezsilne na bogato oprawną księgę. Organ grał ciągle pieśń swą błagalną i uroczystą.

W ogromnym kościele mała zaledwie kupka osób nabożeństwu była przytomną, tuląc się przy filarach. Niektórzy klęczeli zatopieni w modlitwie, inni stali pogrążeni w myślach. Przez okna, aż ku środkowi kościoła, wpadał szeroki pas światła, jak gdyby słońce chciało promieniem lepszej nadziei pocieszyć strapionych.

Wtem, wśród przestanku, gdy organ umilkł na chwilę, wśród ciszy dobiegł aż tu z ulicy szmer głuchy i daleki okrzyk. Do barona Spörken, który

stał w drugiej łoży dworskiej, przysunął się zdyszany paż królewski.

— Prusacy idą! Prusacy wchodzą! Prusacy...

I uszedł żywo.

Królowa drgnęła, jak gdyby przeczuła tę chwilę i to słowo. Właśnie kapłan od ołtarza odwrócony, ukończywszy ofiarę, z twarzą ku łoży, krzyżem świętym dawał błogosławieństwo: Józefina podniosła się. Pomimo niemiłych i ostrych rysów niepięknej twarzy, w postawie jej i ruchu znać było córkę Cezarów. Powolnie, przyklękawszy raz jeszcze, posunęła się na kurytarz.

Tu ją napotkał baron Spörken.

Spojrzała nań pytająco: schylił głowę milczący.

O krok dalej stał Pater Guarini w sukni swiej duchownej, z rękami założonemi na piersiach; głowę miał spuszczoną, twarz smutną ale spokojną.

Królowa z dziećmi nie odezwawszy się słowem do nikogo, pytać nie chciała, aby się nie dowiedzieć zbyt wczesnie — poszła kurytarzami i gankami do zamku. Za nią pociągnął dwór w posępnem milczeniu. Już tu załatywały głosy z ulicy, bo ulice przed chwilą puste, wypełniały się ludem, a protestancka ludność miasta witała Prusaków, jako współwyznawców. Przypominano sobie, że w czasie pierwszego zajęcia Drezna, Fryderyk uczęszczał czasem do protestanckich zborów, a nie pamiętano lub nie wiedziano tego, że je zarówno jak katolickie kościoły wyszydzał i ośmiewał.

Lud zresztą, każdej zmianie przyklaskuje łatwo, bo nie ma lekkomyślniejszego nic nad zbiorowisko a tłum, który słowu i wrażeniu, jak morze wiatrem rozkołysać się daje.

Po tylu widowiskach w operze, do której ulica przystępu nie miała, po *Re pastore* i *Eciuszu* granych dla dworu, nadchodził dzień widowiska dla ludu. I napawała się ciżba upokorzeniem od Boga zesłanem tym, przed którymi wczoraj zmuszoną była padać na twarze. Pięćset osób występowało dla króla w operze, tu kilkadziesiąt tysięcy Prusaków, grało dla ludu dramat krwawy.

Wołano zewsząd: Prusacy! idą Prusacy! ale wojsk tych widać jeszcze nie było; postrzeżono je z wież ciągnące ku miastu bezbronnemu, którego załoga z resztą wojsk wyciągnęła do obozu pod Pirną. Bronić się nie było komu i nie przydałoby się na nic. Fryderyk nie wypowiedział wojny, zajmował Saxonję, szydersko prawiąc o własnem i jej bezpieczeństwie. Napróżno po dwakroć pisał król do niego, odpowiadał mu, że jest i będzie jego najlepszym przyjacielem, a tymczasem wojska pruskie szły coraz daléj, zalewały kraj, zabierały kassy, wymagały prowiantów, chwytaly ludzi i postępowały sobie jak w zawojowanym państwie.

Fryderyk cynicznie szydził z Augusta III-go, dla którego oświadczał się z uszanowaniem; o Brühlu nie mówił wcale, nie mógł wyrzec jego nazwiska; nazywał go: ten... Konia tylko na którym jeździł,

Brühlem nazywał. Był to najgorszy ze wszystkich. Wojska saskie wedle planu zakreślonego, usiłując się połączyć z austriackimi, wszystkie wyciągnęły do obozu pod Pirną. Dnia trzeciego września, Brühl *chwilowo*, jak mówił, dla rozrywki obejrzenia wojsk, skłonił króla i królewicza starszego, aby wyjechali do obozu. Augustowi III-mu towarzyszyło w tej przejażdżce pięćdziesiąt koni, pierwszy minister, który wiedział pewnie, że nierychło powróci do Drezna, miał ich z sobą sto dwadzieścia.

Król najmocniej był przekonany dotąd, iż Fryderyk może go odwiedzić w jego stolicy, ale się jęj zająć nie odważy. Przeciwno Brühlowi nawet utrzymywał z uśmiechem, że Frytz nie jest znowu tak zły człowiek, tylko na nieszczęście niedowiarek trochę i bezbożnik.

Ostatniego dnia jeszcze poseł angielski Stormont, ofiarował Brühlowi pokój od króla pruskiego, pod warunkiem, aby Saxonja rozpuściła wojska swe i ogłosiła się neutralną. Ale Brühl podrażniony i związany już słowem z Austryą i Francją, od których pobierał pensyą za swe usługi, pewien, iż plany mocarstw przeciwko Prusom, spełnić się muszą, odrzucił. Rutowski dowodził obozem pod Pirną, generał Wied obozował pod Nollendorf, a przednie jego czaty dochodziły wedle planu do Peterswalde.

Tym samym gościńcem wspaniałym, który Brühl zbudował do granicy czeskiej, na urągowisko i groźbę napisawszy na słupach, że to był *Gościńiec*

wojskowy (Heerstrasse) i on i pułki saskie wyciągnęły na swe leże...

W ulicach coraz większe roily się tłumy, wszystko co wczoraj jeszcze kryło się lękając prześladowania, wybiegało teraz pewne nietylko bezkarności, ale opieki. Żywioły te krajowe, co się tulały po kątach nieśmiejąc naienne światło pokazać, rachując na łatwe zdobycze w mętnej wodzie, na zemstę niepoczciwą, na grabież zdradziecką, na posługę ohydną, wybiegły wszystkie jak męty w potrząśniętem naczyniu. I widać było ludzi i twarze, jakie rzadko świat razem zebrane ogląda; wszystkie wyrzutki społeczne, chciwe swojego dnia, a raczej swęj chwili zwycięstwa krótkotrwałego. Przeleknąć się było można tych oczu krwawych, tych ust spalonych, tych łachmanów brudnych, tych rąk grabieżliwych i drżących... które się już wyciągały po łupy...

— Idą, idą! — rozchodził się szmer w tłumie.

A każdy niepoń, który długie lata chował złość w sercu, żywił zemstę, uśmiechał się tym Prusakom, któremi się miał posłużyć.

— Idą, idą! — gorączkowo, urywano powtarzała ciżba: — idą! idą!!

Zdala głuchy grzmot jazdy i brzęk broni dochodził, ale nie widać nie było.

Na zamku dwór i królowa trwali na modlitwie przed obrazem; zapalone świece... na klęczkach wszyscy... cisza... z ulicy czasem jakby wybuch

stugębnego stłumionego krzyku słychać było: —
ida, ida!

Z pałacu na Taschenbergu, jeden z katolickich kapelanów dworu, przesuwiał się mimo protestanckiego kościoła Św. Zofii na zamek. W progu zboru stało duchowieństwo protestanckie. Pastor z szyderskim uśmiechem, podjął biret z głowy i kłaniając się, zawołał:

— Adieu! bywajcie zdrowi! panowanie wasze skończone!!

Mnóstwo scen podobnych odegrywało się wszędzie; to też duchowieństwo katolickie w tym dniu zamknęło się na zamku prawie całe, a ci co mieli nieprzyjaciół i lękali się zemsty, szukali przytułku...

Ze dworu Brühla, z tych kilkuset osób co go otaczały, jedni z nim pociągnęli do Pirny, drudzy się rozpierzchnęli przed burzą: garść niemych i przybitych na straży pałacu została.

Do ostatniej godziny nie chciał minister wierzyć zajęciu Drezna; przykład Karola XII-go ubezpieczał go nareszcie w obec głośnych odgrózek Fryderyka trzeba się było poddać oczywistości. Zapóźno uczynił to minister i ze swych skarbów mało co już mógł ocalić. Wszystko prawie rzucał na pastwę mściwemu nieprzyjacielowi.

Król ze starszym synem wyjechał, królowa oświadczyła, że zostanie, że się nie ruszy krokiem, że zniesie wszystko co jej losy gotują, ale nie

ustąpi. Mówiąc o Fryderyku zapalała się, oczy jęj płonęły, rece drżały, miotała się i modlitwa nawet ukołysać wzruszenia jęj nie mogła.

Oczekiwanie straszniejsze nad wszystko, nużące trwało długo.

Prusacy, otaczający już Drezno, ciągnęli powoli, jakby te męczarnie oczekiwania przedłużyć chcieli.

Naostatek w ulicach rozległy się krzyki i tentent, a na zamku królowa podniosła się z przed obrazu, przeżegnała i stanęła jak skamieniała, bezmowna, blada.

Przybliżył się O. Guarini.

— Najjaśniejsza pani — rzekł — módlmy się do Ducha Św., aby nas natchnął męstwem i stałością. Są to dary Jego. Dni próby długo trwać nie mogą...

Baron von Spörken wszedł do sali blady.

Królowa nań spojrzała.

— Mów — rzekła.

— Dwanaście batalionów piechoty i trzy szwadrony jazdy zajmują miasto — rzekł stłumionym głosem. — W tej chwili pierwsze posterunki gwardyi rozbrajają. Opór był niepodobieństwem.

— Niech się stanie wola Boża.

— Szwajcarami obsadzają zamek...

Królowa nie odpowiedziała nic.

— A Fryderyk? — zapytała po chwili.

— Nie ma go, przybędzie jutro; wolał na spełnione przyjechać, wstydząc się tego co czyni.

W tej chwili popłoch z ulicy przenosić się zaczął do zamku.

Obszerne dziedzińce jego wypełniły się tymi, którzy pod skrzydłem królowej szukali opieki. Na tym podwórku jak salon flizami kamiennymi wykładanym, gdzie się niegdyś odbywały świetne karuzele i maskarady za Augusta Mocnego, kędy się paliły ognie brylantowe i brzmiały muzyki; ciżba przestraszona, ludzie z węzełkami mienia o którego się całość obawiali, cisnęli się teraz, szukając w cieniu, w załomach niedojrzanego schronienia.

Królowa wyglądała oknem i łzy płynęły jej po twarzy, choć rysy zdawały się nieporuszone, i jakby od bólu stężały.

Co chwila ktoś wpadł z wieścią...

— Zajmują magazyny wojskowe — wołał jeden...

— Wypróżniają arsenał... rozbierają broń...

— Zabierają kassy...

— Pieczętują dykasterya i archiwa.

Królowa zwróciła się żywo.

Archiwum sekretne, archiwum o którego pochwycenie chodziło najwięcej Fryderykowi, aby nim wojnę usprawiedliwić, znajdowało się na zamku, klucz jego miała królowa.

Baron Spörken wszedł, zabawił chwilę i stanął nieśmiejąc się odezwać.

— Archiwum? — zapytała królowa.

— Pieczętują je — rzekł generał.

W pierwszej chwili rzuciła się królowa, jakby chciała biedz na obronę jego, ale się powstrzymała.

— Baronie — rzekła — jeśli by gwałtu użyć chciano, muszę i powinnam o tem wiedzieć; pójdę sama: stanę... Niech się poważą podnieść rękę na mnie, niech mnie zabiją.

Hrabina Brühl, która towarzyszyła królowej, zżymnęła się i zawołała:

— Nie będą śmieć!

— N. Pani — odparł Spörken — na wszystko przygotowanym być potrzeba, dla króla pruskiego nie ma świętego nic: nic nie poszanuje...

— Nie będzie śmiać — zawołała Brühlowa — bo gdy nadejdzie chwila zemsty, wie, że jest nieuchronną; naówczas nie będzie też dla niego litości ani poszanowania.

Wszyscy milczeli. Baronówna Nostitz, piękna Pepita stała u okna z twarzą w ogniu i piersią wzdętą; zdawała się jedną z tych bohaterek, którym tylko oręża brak w dłoni, aby się z nim rzuciły przeciw tłumowi. Coś rycerskiego pałało w jej oczach.

Nie śmiała mówić co myślała.

W główce jej grało. Zapusty trwały długo, pokuta i post przychodzą! Szaleliśmy nad przepaścią i otwarła się przed nami. Któż nas ocali, gdy my się sami nie umiemy bronić, gdyśmy dobrowolnie do kajdan wyciągnęli ręce. A! gdybym była

mężczyzną!! gdybym była mężczyzną! Sparta się na oknie i bezmyślne wejrzenie w dziedziniec rzuciła. Nagle rumieniec jęj bladoci ustąpił, głowa się pochyliła, brwi zmarszczyły; drgnęła... Przypatrywała się bacznie, coraz baczniej.

Podwórze zajmowali w tęg chwili Szwajcarowie i Prusacy. Pomiędzy niemi kręciło się kilku po cywilnemu ubranych. Zdawało się jęj, że oczy ją mylą: poznała w jednym z tych kawalera de Simonis. Szedł obok tługstego Beguélina, który rozmawiał ze swymi ziomkami.

Myśl jakaś dziwna błyskawicą przebiegła znać po jęj główce, zadumała się ponuro, ruszyła, wróciła na miejsce i poruszyła raz jeszcze.

Nikt nie zważał na nią.

Drzwi były blisko. Posłuszna tęg myśli, której się oprzeć nie mogła, piękna Pepita wybiegła. Wschody stały puste, nikt z dworu i otoczenia królowej nie ważył się wyjść z jęj pokojów, ona jedna miała to męztwo. Z wierzchołka wschodów spojrzała w dół. Szwajcarowie obsadzali warty... nieopodal stał Simonis.

Schyliła się Pepita, oczy jęj zaiskrzyły się.

— Kawalerze de Simonis — zawołała głosem drżącym.

Max podniósł głowę i postrzegłszy piękne dziewczę, drgnął rękę podnosząc do kapelusza.

— Tu, do mnie — odezwała się — dwa słowa. Zawahał się Szwajcar, ale głos i twarz dziew-

częcia tak były nakazujące, taką miały siłę i potęgę, że się oprzeć nie mógł. Puścił się więc na wschody, nastrajając twarz pół zdziwioną, napół smutną. Stanąwszy przed Pepitą, oprócz jakiegoś poruszenia ust, które głosu nie wydały, nie umiał się zebrać na nic.

Dziewczę w całym blasku piękności swój, którą gniew czynił jeszcze dziwniejszą, majestatyczniejszą może, przybliżyło się do niego.

— Panie de Simonis — zawołała porywco — moja stryjenka ocaliła was, gdyście byli w niebezpieczeństwie, jęj winniście życie; ja wam przyrzekam wdzięczność królowej, moją, skarby, złoto, w przyszłości dostojęństwa, wszystko czego zażądacie, ale musicie przejść w służbę *moją*.

Simonis się zmieszał.

— Tak jest, *moją*! tak! Pochwyciła go za rękę oburącz oglądając się dokoła, chociaż wschody i korytarze były puste. — Jam wyczytała z waszych oczów, że serce macie dobre, choć zbłąkane myśli, choć niepewne chęci; ja was od was samych chcę ocalić, ja wam wskażę szlachetną drogę, służbę nieszczęściu, nie niewolę siły. Jesteście wolni kawalerze de Simonis, możecież lepszy uczynić użytek ze swobody waszjej nad poświęcenie jęj sprawie zacnej przeciw uciskowi najniegodniejszemu.

To mówiąc cisnęło jego dłonie, śmiałe dziewczę; paliło go oczyma: nagliło.

— Te ręce, które cisną dłoń waszą — dodała

— nigdy nie dotknęły meżkiej dłoni, nawet brata: te usta, które was proszą, nigdy o nic nie prosiły nikogo, oprócz Boga.

Idzie mi o kraj mój, o królowę; dla nich chcę i muszę was zyskać. Rodzina moja majątna, własne mienie wam oddam a sama pójdę do klasztoru, uczynię was bogatym. Wszak nie pragnęliście niczego innego nad to przyjmując służbę Prusaka. Panie de Simonis, odpowiedzi! na Boga! odpowiedzi...

Max milczał. Spadło to na niego tak, jak od wyjazdu z Berlina ciągle niespodziane nań gromadziły się niebezpieczeństwa i pokusy. Piękność Pepity, jej śmiałość, uczucie czyniły na nim wrażenie, któremu oprzeć się nie mógł. Radby był uciec, widząc przed sobą zawikłanie nowe, nowe groźby na przyszłość. Baronówna go nie puszczała.

— Pani — rzekł — daj mi się pani namyśleć; ja nie wiem, ja nie mogę...

— Na to namysłu nie potrzeba — odparła Pepita — pan musisz mi służyć, a ja daję panu słowo uroczyste, jeśli chcesz stwierdzam je przysięgą (tu rumieniec na twarz jej wytrysnął); poświęcenie wasze opłace poświęceniem bez granic!

Słowa te nie przebrzmiały jeszcze, gdy Simonis oszalały schylił się do jej rąk i gorąco je całując, zawołał:

— Rozkazuj pani!

Z siedmioletniej wojny.—T. II.

Pepita odetchnęła, odstąpiła kilka kroków; po krótkim namyśle odwagi jej zabrakło.

— W tej chwili rzekła ciszej — mam jedno tylko: zachowaj pan dawne stosunki, nie zrywaj z nikim. Niech wszystko zostanie jak było. A dziś wieczór u stryjenki, rozumiesz mnie pan...

Simonis skinieniem tylko odpowiedział, baronówna znikła.

Przez chwilę stał nie mogąc oprzytomnieć, zbierał myśli, nie dowierzał rzeczywistości; sam siebie pytał, czy takie szczęście prawdą być może. Obok tego całe niebezpieczeństwo położenia na myśl mu przyszło. Zmieszany stał jeszcze, gdy u dołu ujrzał Beguélina, który szukać się go zdawał. Zbiegł więc żywo ze wschodów ku niemu.

— A cóżeś tam waćpan robił?

— Pannę znajomą zobaczyłem...

Szwajcar ruszył ramionami pogardliwie.

— W takiej chwili o pannie myśleć, a to trzeba być takim młokosem jak waćpan. Chodźmy ztąd. Nie ma tu co robić. Sądziłem, że Król J. M. dziś przybędzie, dlatego się stawił. Bądź cobądź, przykra rzecz patrzeć na to co się tu teraz dzieje.

I boczną bramą ku kaplicy wyprowadził Simonisa w ulicę, która i z tej strony pełną była ciekawych tłumów. Przez most przeciągały wojska, wrzawa u wjazdu nań i ścisk był ogromny. Niekiedy szyderski śmiech zakręcił się w powietrzu i zmiłkł.

Ztąd widać już było strażę postawioną przy pałacu Brühla.

— No, jutro zobaczymy tu piękne rzeczy — rzekł Beguëlin — bo że mu król Jegomość nie daruje i że mu peruki przewietrzy, za to ręczę.

Rozśmiał się, ale wnet zwrot myśli ku sobie wywołał westchnienie i dodał pocichu:

— Połowy sera mojego nie sprzedałem, a co zostało... *kaput!*

I ręką machnął. — Kto mógł przewidzieć, że się to tak rychło stanie...

Simonis tu go pożegnał. Przyszło mu na myśl, ażeby pójść podziękować starzej baronowej i skierował się około pałacu Brühla, ku nowemu rynkowi.

Tu ludu mniej było; przeciągały małe kupki, poglądając w okna i jakby smakując tylko w myśli małego rabunku. Pałac słychał ze swych skarbów. Ale strażę pruskie zajmowały podwórza i wniścica. Przechodząc tędy zdala, usłyszał Simonis głos jakiś wyświstujący wesołą piosenkę. Było coś tak niezwyčajnego w tej wesołości wśród powszechnego smutku i w takiej chwili trwogi, że Simonis szukać zaczął winowajcy oczyma, gdy głos ten zbliżył się ku niemu i ogromna silna dłoń uderzyła go po ramieniu. Obejrzał się: pan Ksawery Maślowski siedział na baryerze przed pałacem.

— A! niechże cię Szwajcarze przeklęty — za-

wołał — obawiałem się, czyś karku nie skrecił, lub żeby cię nie zapakowali gdzie do komórki. Stój, gadaj co się z tobą działo...

Simonis zatrzymał się, witając go i dziękując.

— Widzę, żeś cały i śmiało teraz używasz świeżego powietrza — dodał Masłowski — bardzo się cieszę. Ale mi się należy za podarte prześcieradła, żebym wiedział co się z tobą stało. Mów!

Simonis przysiadł się przy nim na baryerze.

— Nie chciałem ani was, ani siebie wystawiać na niebezpieczeństwo. Blumli się odgrażał — rzekł — wołałem uciec.

— Dokąd? — zapytał Masłowski.

— W chwili, gdym się z okna spuścił poszarpany ręce, patrz, że jeszcze znać — mówił dalej — w tej chwili wcalem nie wiedział co zrobić z sobą. Miałem adres dany mi do Serba, mieszkającego nad Elbą, ale w przeznaczeniu znać mojem było, żebym się do niego nie mógł dostać.

— E! — więc gdzieżeście ten czas przesiedzieli.

Simonis się zarumienił mocno.

— Wyszedłszy od was przez ogród...

— I przez mur — poprawił Masłowski.

— Dostałem się na dziedziniec domu, przez którego bramę otwartą trzeba było przejść, aby się wydobyć na ulicę; zdawało mi się, że trzeba to spełnić żwawo, aby mnie jak złodzieja nie pochwyciono. Puściłem się więc kłusem przez bramę,

gdy z drugiej strony wchodziła do niej właśnie kobieta, którą, w pędzie niemogąc się zatrzymać, potrąciłem. Krzyknęła mocno ze strachu. Poznałem w niej pannę Doris, moją towarzyszkę podróży z Berlina.

— Masz waćpan widoczne szczęście do starych bab — przerwał Masłowski — bo oto druga; wszak Brühlowa chciała waćpana wziąć za sekretarza. Widoczna to wskazówka Opatrzności, abys się podżytych pilnował, bo co przeznaczone, to nie minie. Już teraz odgaduję, że Doris, której los rzucił cię w objęcia, musiała ocalić...

— Coś podobnego — rzekł Simonis — nie puściła mnie, pókim się jej nie wytłumaczył, czegom tak uciekał. Piąte przez dziesiąte wykłamałem się nie dobrze, bo coś już była o mnie i o mojej ucieczce od Miny zasłyszała. Uparła się być moją zbawczynią i przez te dni uchodziłem za jej brata.

— No, to jeszcze nic — odparł Masłowski — gorzejby było, żebyś musiał za męża uchodzić. A teraz co myślisz?

— Nie wiem jeszcze; a wy? — zapytał Simonis.

— Ja? do obozu pod Pirnę grabia Brühl brać mnie z sobą nie życzył, zostałem tutaj. Wcale się nie gniewam, to mi wszystko jedno, a mam satysfakcją patrzeć, jak się te szoldry jeść będą. Nasza ekscellencya, lękam się, żeby nie rychło chyba dostała pozwolenie powrotu do pałacu. Prusacy zabierają się tu gospodarować na dobre. Dalipan za-

bawne... Spojrzał obojętnie na Simonisa, i swą piosenkę poświstywać zaczął, a potem odezwał się:

— Masz już waćpan mieszkanie? bo spodziewam się, że u Doris nie zostaniesz dłużej?

— Będę je miał dzisiaj.

— Na przypadek potrzeby, zawsze moje na usługi wasze. Fuchsowa bardzo dobra kobieta i drugiej pościeli dostarczy.

Z tém się pożegnali. Simonis nic nie mówiąc, poszedł do kamienicy baronowej. Zdawało się, że widać było okna drugiego piętra pootwierane i staruszkę w czepcu, przypatrującą się jak z głównego odwachu przed jej oknami, pruscy żołnierze ściągali resztki nieszczęśliwej gwardyi saskiej; tłum ludu i tu stojący opodal, w milczeniu się temu przyglądał.

Jeszcze nie miał czasu dostać się na drugie piętro, gdy stara Gertruda, zapewne z rozkazu swej pani, otworzyła mu drzwi, witając go ręką i uśmiechem.

— Pańskie zawiniątko na strychu w całości: nie nie zginie...

W progu stała baronowa z twarzą promieniącą. Simonis w rękę ją pocałował.

— Cieszę się, że waćpana widzę całym i zdrowym, teraz już jesteście zupełnie bezpieczni. Ale mi mój Serb kazał odpowiedzieć, gdym się o was pytać posyłała, że tam u niego aniście byli. Lękałam się bardzo...

Kawaler wytłumaczył się, iż znalazł przytułek u przyjaciela, nie mówiąc o przyjaciółce. Staruszka go posadziła przy sobie.

— Jutro przyjeżdża nasz król... Choć to faworyt mojej poczciwej hrabiny de Camas, choć sprzyjam mu, choć go od tych Sasów wolę, co tylko hulać i swawolić umieli, a lud ze skóry drzeć; choć się ucieszę, że im da naukę: ale mi królowej żal trochę i tego niedołęgi króla, który może i teraz jeszcze nie wie co z nim robią. A Brühla, żałuję tylko, że nie pochwycił go Fryderyk... ha! ha!

Staruszka pokręciła głową.

— Prusacy zajęli miasto, nie było go komu bronić; choć do baletu nigdy nie brakło ludzi!

Gderząc tak przez chwilę pani Nostitz, przypomniała sobie, że Simonis nie miał pewnie mieszkania.

— Zajmijże swój pokój na trzecim piętrze i niech ci Gertruda da klucze, a wieczorem przyjdiesz do mnie.

Zaproszenie było bardzo na rękę: myślał bowiem, jak spełnić rozkaz pięknej Pepity, której obraz miał ciągle na myśli. Do wieczora było wprawdzie daleko, Simonis jednak tak był zmęczony i tak się potrzebował namyślić, co dalej pocnie, że cały ten czas, porządkując w mieszkaniu i leżąc wyciągnięty, przebył, niepostrzegłszy jak przebiegł. Gertruda zastukała do drzwi.

Trochę poprawiwszy stroju, zamyślony Max

zszedł do baronowej. Pepity wzrok powitał go w progu. Stała czarno ubrana i wejrzeniem dała mu znać, ażeby się nie wygadał przed staruszką. Przywitała go tak, jakby się wcale dnia tego nie widzieli. Baronowa oszczędzając synowicę, drażliwej nie wprowadzała rozmowy: pytała tylko o królowę.

— Wiem — odezwała się Pepita — że nasza pani przyjaciół nie ma, że jój charakter nigdy się nie dozwolił przypodobywać ludziom i szukać jój względów, ale dziś, dziś któż jój nie pożałuje! W tem wszystkiem nie ma jój winy najmniejszej, a dla niej, nad nią ciąży najstraszniejsza pokuta! Modli się i płacze!

— I gniewa — dodała baronowa.

— Któżby jój tego nie przebaczył? — zawołała Pepita — córka cesarska niewolnicą brandeburskiego margrabi, królowa dwóch państw, na łasce tego żołnierza.

Stara baronowa westchnęła.

— Tak — rzekła smutnie — gdy się wielkie dzieło sprawiedliwości dokonywa i niewinni porwani są burzą: gdy dęby padają, gniotą kwiaty, co kwitły pod nimi.

— Jestże to dzieło sprawiedliwości? — zawołało dziewczę.

— Tak — odparła staruszka — patrzyły na to oczy moje, gdy szalał August Mocny, nie szanując ani rodziny, ani wstydu, ani ludzkich łez; gdy mu się bóstwo jakieś śniło i Jowiszowe miłostki. Zo-

stawił po sobie niedołęznego syna, a wychował dlań opiekunów w Brühlach. Spełnia się na dziecku, na co ojciec zasłużył.

— Ale kochana stryjenko — poczęła gorąco Pepita — to tylko próba, to chwila i przesilenie. Pan nasz ma królestwo drugie, w którym znajdzie schronienie; pan nasz ma sprzymierzeńców potężnych i ukarze to zuchwalstwo. To nie kara Boża, to próba: my z niej wyjdziemy zwycięzko!

Spójrzała na Simonisa, który milczał pożerając ją oczyma: czekał on na przyrzeczoną mu rozmowę; nie jego rzeczą było myśleć o tém, gdzie i jak ona odbywać się może. Pepita miała dosyć odwagi i przebiegłości, by nastreczyć sposobność. Wcale też po niej nie widać było obawy, ani wahania. Zdawała się być swego pewną.

W chwili, gdy baronowa poszła do drugiego pokoju otulić swego Fidela do snu w jego koszyku, Pepita zbliżyła się żywo do Simonisa.

— Przed dziewiątą pożegnaj pan stryjenkę, zejdź na dół i czekaj na mnie przy mojej *porte-chaise*.

Simonis skłonił głowę, baronówna odeszła od niego prędko.

O naznaczonej godzinie, choć staruszka wstrzymać go usiłowała, Simonis wyszedł na stanowisko. Lektyka już czekała przed kamienicą.

Wkrótce potem zbiegła Pepita i wsiadła do niej, rozkazując ludziom iść powoli ku zamkowi. Max

towarzyszył jęj, stanąwszy przy oknie, które było spuszczone.

— Panie de Simonis — zaczęła Pepita — nie wymagałam od was przysięgi, choć sama mu ją złożyłam. Nie zacieży mi ofiara żadna, bylem ocalała moją królowę, mój kraj. Nieprzyjaciela, który nas, urągając się wszelkiemu prawu zagarnął bezbronnych, godzi się odpierać wszelkimi środkami. Nie mamy żołnierzy, my kobiety, chytrością, podstępem, orężem jaki nam Bóg dał, opierać się i walczyć będziemy. Waćpan jesteś moim, prawda? jesteś moim? ja na niego rachować mogę?

— Pani — zawołał Simonis — dosyć było twojego słowa, ażeby Szawła Pawłem uczynić. Pani wiesz co możesz: któżby ci się oparł?

Pepita się uśmiechnęła smutnie.

— Niestety! — rzekła — jakżeż to okropne; pan mnie nie znasz, tylko z tej odrobiny nędznego blasku jaki mi młodość nadaje. Pan nie wiesz, czyś aniołowi dał duszę, czyś się szatanowi zaprzedał! Mój Boże, dlaczegoż ja w panu zamiast tego zaślepienia we mnie, nie mogę natchnąć szlachetniejszego uczucia, litości dla uciśnionych, miłosierdzia dla tego nieszczęścia, dla tej królewskiej niedoli.

— Pani możesz mi natchnąć wszystko, bo jęj słowa mają potęgę.

— Dość, dość — przerwała Pepita — muszę tej potęgi używać, bo innęj nie mam siły; ale użyję jęj, aby was podnieść, podźwignąć! Panie

Simonis, wyście nic nie winni, ja wiem; wyście wzrosli w tych przekonaniach, że możecie, że powinniście zaprzedać się pierwszemu lepszemu dla chleba i dla przyszłości. Niestety, wasi ziomkowie służą tak po całym świecie: biedni! To było we krwi u was, ale wam Bóg dał, spodziewam się duszę szlachetną, którą rozbudzić tylko potrzeba, aby uczuła, iż człowiek nie jednym chlebem żyje, ale sumieniem i cnotą.

Podąła mu rękę przez okno. Simonis ją pocałował. Zawstydzony był, milczący.

-- Chciałabym was szeroką, jawną, jasną poprowadzić drogą; Niestety, nie czas. Nieprzyjaciel— mówiła dalej — wpędził nas w te wąwozy ciemne, w których się bronić musimy. Jesteś pan i zostaniesz w obozie nieprzyjaciela, ale dla nas, abyś nas ostrzegał, abyś działał. Musisz moją sprawę poślubić dla mnie.

— Rozporządzaj pani i bądź pewną, że będę jej wiernym.

— Będę mówić obrzydliwym językiem — odezwała się Pepita — ale raz muszę i to powiedzieć: nie straciecie na poświęceniu się waszém. Fryderyk głodem morzy swoje sługi, my przyjaciół obsypie my złotem, choćbyśmy sami nędzę cierpieć mieli. Tam niedosłużyłbyś nic, tu spodziewać się możesz wszystkiego.

— Dosyć mi będzie — gdy pani... — rzekł Simonis.

Pepita nakazała mu milczenie.

— Na te oświadczenia zawczasie — rzekła — czekaj pan, aż mnie poznasz. Jestem tyranem...

Wtém przerwała nagle.

— Jutro przybywa król! jutro, wiem pewnie, odegra się scena z królową naszą. Nie wiem jak się ona skończy, nie wiem jakie będą plany nadal. Poznaj się pan z generałem von Spörken: on nam jest oddany cały.

— Nie mogę go szukać — rzekł Simonis — ani się jawnie zbliżyć do niego.

— Tak, ale możesz pan być zakochanym we mnie — odparła Pepita — kompromituj mnie jak chcesz. Dla mnie możesz przyjść do zamku, a znajdziesz barona. O tém nikt w świecie wiedzieć nie będzie.

Mówili jeszcze chwilę, gdy Simonisowi Masłowski na myśl przyszedł z zazdrością swą i uwielbieniem dla pięknej Pepity: rozśmiał się. Na zapytanie baronownej, opowiedział jej o Polaku, malując jego charakter i dziwactwo.

— Gdyby się na takiego wartogłowa spuścić można — zawołała Pepita — mógłbyś go pan użyć dla nas.

— Nie sędzę — rzekł Simonis — dla niego ta tragedia jest komedią tylko, której się obojętnie zdala przypatruje i czyni sobie z niej zabawkę.

Pepita zamyśliła się trochę.

— Wszelkiej broni używać trzeba — rzekła —
któż wie!

Lektyka zbliżała się do zamku, u którego bramy stali szwajcarowie. Straż przyszła zajrzeć, a Simonis odezwał się do swoich ziomków ażeby przepuścili porte-chaise, co też natychmiast spełniono.

Pepita podała mu rękę.

— Nim się umówimy o inne miejsce... u stryjenki wieczorem. Jeśli będę potrzebowała was, u Gertrudy zostawię książkę; w książce między kartami wklejoną będzie karteczka. Baczność i wierność...

Raz jeszcze pochyliła się ku niemu:

— Masz pan pieniądze? — spytała.

Simonisowi przykro się zrobiło.

— A! pani — rzekł szybko — starczy mi ich na długo: wcale nie potrzebuję.

Lektyka znikła w ciemnych podwórcach zamkowych.

II.

Młodość tylko szczęśliwa i starość zubożniała, są tak obdarzone, że wśród rozgorączkowania powszechnego, wśród klęski i niepokoju, zachowują: pierwsza lekkomyślność swą, druga odrętwienie. Nie było może w całym Dreźnie drugiego człowieka, któregooby mniej obchodził gwałtowny ten wywrot i niespodziana zmiana, jak pana Ksawerego Masłowskiego. Śmiał się i powtarzał: „niech się Niemcy tłuką, a mnie to co obchodzi? Zawsze ich trochę mniej będzie!“ Lamentującej pani Fuchsowej śmiał się w oczy i ramionami ruszał, co ją zdumiało i rozgniewało prawie. Zobaczywszy Simona na chwilę się nim zajął, lecz gdy odszedł, na myśl mu przyszła piękna baronówna. Był to jedyny wyjątek w całym tym kraju, dla Masłowskiego nie obojętny. Gdyby, broń Boże, Polką była, śmiertelniebym się w nią zakochał, ale ojciec człowiek słowny — nie mam ochoty leżeć na kobiercu. Korciło go to jednak, że Szwajcar znowu pewnie do starej baronowej się wniesie i koperczaki będzie stroić.



Trzeba sumienia nie mieć, żeby na to pozwolić — mówił w duchu, siedząc na baryerze przed pałacem Brühlowskim i przypatrując się piechocie pruskiej, która po marszu nie osobiwie wyglądała. — Gdybym przynajmniej mógł mu przeszkodzić!

Dla pana Ksawerego dosyć było pomyśleć, aby się wziąć do roboty.

Taki kuglarz, co z sumieniem tu przyjechał jak drugi z małpami na pokaz, żeby taką śliczną pannę bałamucił: a niedoczekanie jego. Trzeba się o tém bliżej przekonać.

Jakoż, *dictum, factum*, pobiegł natychmiast, kryjąc się pod kamienicami za Simonisem. Zobaczył, jak wszedł do domu baronowej, a że dworska lektyka, która właśnie zaniósła baronównę Pepitę, odchodziła, przyczepił się do tragarzy, ażeby ich rozpytać.

Będąc na dworze Brühlowskim, Masłowski codzien prawie i to po kilkakroć biegał na zamek, znał całą służbę i nie było człowieka, z którymby w dobrych nie był stosunkach. Lubiono go za jego wesołość, a potrosze i za pieniądze, którymi rzucał chętnie; łatwo mu więc było zaczepić znajomych tragarzy.

— Słuchaj Hans — rzekł do jednego — kogoście nosili do stariej baronowej? przysięgnę, że pannę frejlinę Pepitę.

— Zgadłeś pan — odparł Hans — a juźci wolimy ją nosić, niż jutro może tego króla, co nam tu takiego piwa nawarzył.

— Ale jego nosić nie będziecie — zawołał Masłowski — ten albo konno albo pieszo, nigdy inaczej i nigdy bez kija. Nawet konia gdy chce popędzić, wali go laską między uszy ¹⁾ a tak samo i generałów. Dostałoby się i waszmościom.

Tragarze zamilkli. Niebezpiecznie było o tém mówić, mając już Prusaków w mieście.

— He! Hans, miałbym jeszcze się o co popytać — dodał Masłowski.

— A co? — odwracając się odezwał tragarz — byle nie o tego króla...

— Nie. Czy panna baronówna kazała wam przyjść po siebie?

— Rozumie się — odpowiedzieli oba razem — o dziewiątej.

— Hans! mógłbyś spocząć i dostać dukata!

— Jakim sposobem? — spytał tragarz.

— Bardzo prostym — a mówił chłodno napozór Masłowski — któż z was nie wie, że my Polacy jesteśmy szalone pałki. Czasem się nam zachciewa, niewiedzieć czego. Pewnieście słyszeli, jak mój jeden kolega najał sobie Niemca i konno na nim jeździł po rynku. No to cóżby dziwnego było, gdybym ja zechciał spróbować ponosić lektykę: wezmę suknię waszą, Hans, i pójdę z lektyką wieczorem po pannę.

Hans oczy wytrzeszczył.

¹⁾ Historyczne.

— Oho! oho! — zawołał kręcąc głową — czego to się waści zachciewa! Chcesz z tyłu pewnie iść i pannie coś szeptać do ucha. Baronówna poskarży przed królową, królowa powie marszałkowi, marszałek da wiedzieć starszemu, a starszy kijem wytrzepie.

— Daję na to słowo, że tego nie będzie — rzekł Masłowski.

— I to za dukata? — dodał tragarz.

— Dam dwa.

Hans zamilkł, bo drugi już odwrócił głowę i chciał targu dobić.

— Zgoda — rzekł pierwszy.

— A tobie żebyś milczał, dukata także.

Umowa na tych warunkach łatwo została zawartą: Masłowski niewymownie był z niej rad.

Stało się tedy, że gdy wieczorem Simonis odebrał rozkaz iść przy *porte-chaise* i prowadził rozmowę z piękną Pepitą po francuzku, dosyć głośno, bo się oboje nie lekali być zrozumianymi przez tragarzy, pan Ksawery wszystko wysłuchał.

Nie jeden raz zadrgała lektyka, bo się chłopak zżymnął i ochota go brała okrutna przeszkodzić, odepchnąć, zdusić, szczęśliwego rywala. Niestety! nie mógł się tego dopuścić. Wysłuchał nawet, jak Simonis mówił o nim, jak go Pepita wartogłowem nazwała i t. d. Byłby może w pierwszym impecie poleciał za kawalerem de Simonis i popełnił niedorzeczność jaką, ale suknie tragarza i obietnica

dana Hansowi, zmusiły go odejść spokojnie od ganku do izby, w której swoje odzienie zostawił; miał więc czas ochłonać i namyślić się.

Żal mu było szlachetnego dziewczęcia, które w rozpaczę chcąc ratować kraj i królewską rodzinę, rzuciło się w grę tak niebezpieczną. To co słyszał z rozmowy, jakkolwiek trzpiotem był, trafiło mu do serca. Ten najemnik tego nie zrozumie! — mówił w duchu — ale że ma szczęście, to niewątpliwa. Taka śliczna panna!

Gdy rozpląciwszy się i ubrawszy, wyszedł Maślowski z izby, zamiast odrazu na ulicę, skierował się ku podwórzom zamkowym. U bram stała straż Szwajcarów, która się nie mieszała wcale do tego, kto wchodził i wychodził; miała tylko polecenie powozów i pak żadnych, oraz tłómków z zamku nie wypuszczać. Na rozległych a teraz ciemnych podwórzach, dużo jeszcze było ludzi lękających się Prusaków, rabunku i nocnych nieprzyjaciela ekscesów.

Generałem komendantem z ramienia pruskiego mianowany był Wylich; wprawdzie objężdżał on miasto i mówił o utrzymaniu porządku, lecz na to nie bardzo się spuszczać było można. Ze strony saskiej, minister wyjeżdżając, zostawił umocowanych do zarządu krajem, stolicą i interesami: hrabiego Loss, Stammera i Globiga, trzech wicekrólów; ale tych władza była tak jak żadna: słuchał ich kto chciał, kto nie chciał nie słuchał. Było to więc jakieś bezkrólewie, którego się obawiać

każdy miał prawo. Na zamek zbiegli się najwierniejsi słudzy i poszlakowani o jawną niechęć ku Prusakom. Rodzaj obozu znajdował się w dziedzińcu. Wiele ubogich przeniosło się tu za wiedzą i pozwoleniem królowej, z małym mieniem, z dziećmi; ze wszystkiem, co unieść mogli. Wełniane kołdry, porozkładano na ziemi, w latarkach paliły się świece, karmiono niemowlęta, głodni posilali się chlebem. Starzy leżeli już i spali obojętni na to co ich spotka, inni gwarzyli pocichu. Widok dziedzińca wielkiego był zaprawdę osobliwy, jak czasu obleżenia lub wojny. Tłum ten w ciemności, w mroku mruczał i poruszał się, nie śmiejąc głośniej odzywać, aby go nie wypędzono. Gdzieniedzie promyk latarki rozświecał twarze powiędłe, złęknione, kupkę łachmanów, stos worków, a światło słabe z okien zamkowych, nieco oddalonych, nie dając rozpoznać tej masy ruchawej, fantastycznie tylko gdzieniedzie coś z jej głębi wydobywało. Pomiedzy rodzinami, które się tu schroniły, było kilka z tych, co niedawno pod opieką królowej wiarę chrześcijańską katolicką przyjęły i z Mojżeszowego wyznania do niej przeszły. Ci neofici lękali się swoich współbraci i ich zemsty.

Królowej z wieczora dano znać o tem, a że wielce zawsze była troskliwą o los nawróconych, właśnie gdy panna Nostitz od baronowej przybyła na zamek, poleciła swojej służbie, by jedzenie i okrycie wyniesiono dla jej protegowanych.

Pepita zwykle do podobnych czynności bywała delegowaną, dla śmiałości swęj i znajomości języków. Zawołano ją i teraz nim z siebie zrzuciła okrycie; dano jęj za towarzyszkę pannę hrabiankę Frohsdorf i jednego szambelana, i w chwili, gdy Masłowski wchodził na to podwórze, ujrzał zdala ze wschodów spuszcające się poselstwo dobroczynne, przed którym nieśli pochodnie dwaj pacholki dworscy.

Z gromady ludzi instynktowo podniosło się i przybiegło, co było biedniejszego. W koszach przygotowany chleb i inne zapasy żywności rozdawać zaczęmano. Korzystając z tego, Masłowski się przysunął. Znano go dobrze, wmieszał się więc niepostrzeżony między dworskich i ze śmiałością sobie właściwą, potrafił docisnąć się do Pepity.

Zdziwiła się zobaczywszy go baronówna.

— A waćpan tu co robisz? — zapytała.

— Właśnie nie mam nic do roboty i to mnie trapi — odparł Masłowski — jestem prostym spektatorem. Hrabia Brühl z sobą mnie wziąć nie chciał, w pałacu pustki, więc się kręcę po mieście.

Pepita popatrzyła nań jakoś badająco; Masłowski śmiało téż do oczów jęj pięknych zaglądał.

— Z tego próżnowania — dodał ciszej — przyszła mi aż fantazyja spróbować nosić lektykę i miałem to szczęście być jednym z tragarzy, którzy przed chwilą panią od stryjenki tu odstawili.

Zarumieniła się i wyprostowała sztywnie, hardo Pepita.

— I nie wahałeś się waćpan podsłuchiwać rozmowy? — odezwała się.

— Byłem zmuszony do tego — rzekł Masłowski — a cieszę się bardzo, iż się tak stało, bo mogę panią przestrzedz, że gra z takim jegomością jak Simonis i bardzo niebezpieczna i wątpię, by się na co przydała.

Niezmieszany Masłowski, mimo gniewnego spojrzenia baronówny mówił dalej.

— Rozumiem to bardzo, iż w podobnych razach nadzwyczajnych, tonący się brzytwy chwyta; ale brzytwa nikogo nie uratowała. Ludzie co dwom służą, zdradzają obu.

— Waćpan mnie podsłuchałeś, to niepięknie — odezwała się zmieszana panna — lecz ufam że mnie nie zdradzisz: toby było ohydne.

— Żaden Polak nigdy nie zdradził nikogo — rzekł Masłowski — robimy głupstw wiele, ale w zdrady się nie bawimy nigdy: na to jest dosyć innych, takich, jak Simonis, awanturników.

W téj chwili przyszło na myśl pannie Nostitz, że i o Masłewskim była mowa, zarumieniła się znowu i podchwyciła żywo:

— Toś waćpan słyszał co o nim mówiono?

— Ani słówka nie straciłem — kłaniając się rzekł pan Ksawery — pani mnie nazwałaś wartogłowem, jeśli się nie mylę.

Mimowolnie rozśmiała się baronówna.

— Możem na to zasłużył — zawołał Masłow-

ski — ale gdyby mnie szczęście spotkało takie jak Simonisa, a! pani, głowę bym się postarał zamienić, ażeby go się stać godnym.

Wejrzenie zapłacało śmiałemu chłopcu.

— Nie pochwalasz pan pewnie, żem Szwajcara zobowiązała do służby królowej? — spytała.

— Nie ufam mu — krótko rzekł Maślowski. — Pani go chyba możesz innym, niż był uczynić.

— Rzecz nie do poprawienia — szepnęła Pepita. Maślowski spojrział ku niej i westchnął.

— Zazdroszczę mu! — rzekł — bardzo zazdroszczę. Pani mi żal, lecz kiedy mnie los do sekretu przypuścił, pozwól pani, abym się i ja przydał na co. Ja się obowiązuję pilnować go, a jeśli spostrzegę najmniejszy krok podejrzany, no, to go zadławie.

Baronówna nieznacznie wyciągnęła rękę ku niemu, nie mówiąc nic.

— Będę jego opiekunem — rozśmiał się Ksawery — pani mi zaufać możesz; nie żądam za to nic, oprócz uśmiechu i wejrzenia dobrego, bo gdy pani spojrzysz na mnie (tu się za piersi pochwycił) ciepłej mi w duszy!

To mówiąc zdjął kapelusz, skłonił się i nim panna Nostitz odpowiedziała mu, zniknął w tłumie. Baronówna stała długo oglądając się, rozmyślając, trochę na siebie gniewając, plany układając różne, aż gdy jadło rozdane zostało i tłum się rozchodzić zaczął, wróciła na pokoje.

Mało kto téj nocy zasnął w Dreźnie. Na zamku czuwano do dnia: mieniała się służba, a w mieście mimo pruskich patrolów, włóczyli się téż ludzie ciekawi i niejedno okno do rana było odemknięte. W wielu z nich widać było światło, bo przy świetle ludzie się bezpieczniejszemi czuli. Z brzaskiem dnia, chorobliwe jakieś życie zaczęło się rozbudzać.

Na ratuszu zgromadzeni panowie radni miasta, spali na krzesłach w perukach i paradnych strojach, nie śmiejąc, na wypadek wszelki, rozejść się do domów. Prusacy coraz czegoś nowego się domagali. Dnia pierwszego zaraz zapowiedziano, że miasto będzie mieć obowiązek dostarczania komissowego chleba dla wojska, a raczej mąki, drzewa, ludzi i pieniędzy, gdyż Prusacy woleli sami pieczywa pilnować, aby im tam czego do niego nie namieszano. Nad Elbą kazano na łące dwadzieścia kilka pieców budować.

Gdy dzień zaczynało i panowie rajcy i co było urzędników, którzy się spodziewali zostać przed króla powołanymi, gotowali się wystąpić, bo wiedziano, że Frytz wstawał rano i mógł nocując niedaleko, co chwila ich zaskoczyć. Najmniejszy tentent po bruku, wszystkich ciągnął do okien.

Na mieszkanie dla króla wyznaczono pałacyk hr. Moszyńskiéj, który już od wczoraj był wyprzętnięty. Chciano go czémś dla przypodobania się królowi przyozdobić, ale generał kwatermistrz rozśmiał się, ruszył ramionami i dużo z tego, co było,

powyrzucać jeszcze kazał. — Nam to niepotrzebne — zawołał — my żołnierze nie baby i J. K. Mość żołnierzem jest też.

Jeszcze przed przybyciem króla, od strony Pirny i obozu, gościniec i wszystkie komunikacje zostały odcięte i silnie obsadzone. Od téj chwili Brühl, król, dwór, nie mogli już ani listu odebrać z Drezna, zostawał im Koenigstein na schronienie.

Gdy około dziesiątej rozległy się wołania: „król! król!“ co żyło puściło się naprzeciw, ażeby go zobaczyć. Drezdeńczycy oddawna nawykli do przepychu otaczającego majestat pański, stanęli osłupieli.

Ranek był chłodny.

Fryderyk jechał na Brühlu, to jest na najgorszym swoim wierzchowym koniu, w starym mundurze, w butach zabłoconych, okryty płaszczem poszarpanym, z laską nieodstępną w ręku, przygarbiony nieco, z głową na jedno ramię zwieszoną. Z pod trójgraniastego zrudziałego kapelusza, którego pióra nie w najlepszym były stanie, widać było tę twarz posępną, oczy bystre i usta szyderskie, uśmiechające się bez wesela, na zimno. Pomimo, że wchodził jak zwycięzca, że mu się nie tu opierać nieśmiało, jechał raczej gniewny i niecierpliwiony niż uradowany i tryumfujący. Widać było na czole troskę, w wejrzeniu niecierpliwość i niemal gniew. Spoglądał, jakby szukał tylko powodu by wybuchnąć. Za nim nieco staranniej

poubierani dwaj adjutanci, kilku generałów i urzędników. Generał Wylich mianowany komendantem, który był na przedmieście wyjechał dla spotkania Fryderyka, w pewnym oddaleniu, tuż za królem jechał, jakby rozkazów wyglądał. O miasto, o drogę, nie potrzebował się rozpytywać król, bo je znał dobrze, bo nie pierwszy raz tu był gościem nieproszonym, a poraz pierwszy, przybył tu przed laty z ojcem i wywiózł ztąd pierwszą fantazyę dla Formery i coś nakształt pierwszój miłości, rychło straconej, dla Orzelskiej.

Fryderyk jechał powoli, stępem, czasem głowę podnosił, popatrzył gdzieś pogardliwie i znowu ją spuścił obojętnie; na żółtej twarzy jego wcale widać nie było, aby to zajęcie stolicy domu panującego daleko starszego od dynastyi, którą Fryderyk reprezentował, czyniło na nim jakie wrażenie. Wchodził tu widocznie jako żołnierz, nie jako król, a na urągowisko bolesne, włożył pod niebieski mundur ciemno-szafirową wstęgę Orła białego, niby dla uczczenia króla polskiego, od którego ją miał. Gwiazda czasem się z pod płaszcza starego ukazywała. Nikt nie wiedział, dokąd król się ma udać, gdy stanawszy na chwilę w rynku, gdzie cała gromada radzców miasta w perukach, wyszła na jego spotkanie, zaledwie spojrzawszy na tych dostojnych panów, którym i głową nie kiwnął, konia skierował ku zamkowi.

Przodem już pobiegli dworscy, stojący na straży,

dać znać królowej, która ubrana czarno, blada jak trup, z usty drżącemi, stała wśród dam swoich. Między niemi była i hrabina Brühlowa.

Głuche milczenie panowało w zamku. Króla poprzedził szmer tłumy, co go otaczał i gonił za nim. Szwajcarowie stojący na warcie krzyknęli: cały odwach rzucił się z bębniem dla oddania honorów królowi; głosy straży doszły aż do pokojów Józefiny. Fryderyk wjechał zamyślony w bramę i aż na drugim stanął dziedzińcu. Spojrzał na ten tłum, co się tu był wczoraj schronił, coś poszeptał adjutantowi i z konia zszedł.

— Wylich — zawołał — gdzie tajne archiwum?

— Tu w zamku, Najjaśniejszy Panie: trzy pokoje zajmuje; wczoraj je opieczętowano: straż stoi u drzwi i pod oknami.

— U kogo klucze?

— U królowej JMości.

— Idź waćpan odemnie, pokłoń się N. Pani i proś ją o klucze. Powiedz, że ja ich żądam.

Generał Wylich wbiegł szybko na wschody, Fryderyk powoli spierając się na lasce, szedł także ku górze z flegmą i obojętnością, której w istocie nie miał, ale ją uznał za potrzebną. Dwór królowej cały był przy niej zgromadzony; etykieta surowsza niż kiedykolwiek, choć Józefina nigdy o niej nie zapominała. Generał Wylich musiał się przez szambelana zameldować w. ochmistrzyni i czekać.

Dano mu postać umyślnie. Nareszcie szambelan przyszedł z oznajmieniem, że królowa JMć prosi go.

Trzy sale, w których cały fraucymer i dwór był zgromadzony, przechodzić musiał stary żołnierz, nie zdając się tą okazałością wcale zmieszonym. W gabinecie królowa siedziała w fotelu.

Generał skłonił się nisko.

— N. Pan król Fryderyk II, pan mój miłościwy, rozkazał mi złożyć uszanowanie W. Kr. Mości i prosić jej o klucze od sekretnego archiwum.

Była chwila milczenia: królowa zerwała się z krzesła, chciała mówić; słów jej brakło....

— Powiedz waćpan swojemu królowi, że jestem tu u siebie, w domu, w stolicy mojej, na moim zamku; że nikt mi nie ma prawa rozkazywać: że kluczków mu nie dam. Wszedł gwałtem, niech gwałtem dokona, to co nim zaczął....

Wylich się zmieszał nieco, skłonił głowę.

— Spełniam rozkazy mojego króla — rzekł — odniosę mu odpowiedź; lecz lękam się ażebyśmy nie byli zmuszeni istotnie....

— Możecie być zmuszeni — zawołała królowa wyciągając rękę — która drżała widocznie jak jej głos, możecie być zmuszeni nietylko drzwi łamać, ale mnie od nich odciągnąć, ale mnie królowej, mnie córce cesarskiej, mnie.... (tu na chwilę znowu głosu jej zabrakło) mnie odtrącić, mnie zabić!!

Powiedz mu to.

I królowa na fotel padła.

Wylich skłonił się i wyszedł powoli.

Fryderyk oparty na lasce czekał na niego u żelaznych drzwi sekretnego archiwum, oczyma dziękami rzucając dokoła. Zaledwie się ukazał, krzyknął:

— Masz klucze?

— Królowa ich wydać nie chce. Niedosyć na tém, kazała mi powiedzieć, że sama osobą swą gotowa bronić nietykalności własności swojej.

Fryderyk nie odpowiadając ani słowa, pogardliwie obrócił się ku drzwiom i z całej siły uderzył w żelazne ich blachy laską, którą trzymał w ręku.

— Wyłamać drzwi! — zawołał — ślusarzy... Wylich, natychmiast; ja mam tu jeszcze dosyć do czynienia. Czekać nie lubię: niech on o tém pamięta.....

Gdy z jednej strony świta króla rzuciła się natychmiast po rzemieślników i narzędzia potrzebne do odbicia archiwum, z drugiej w korytarzu stojący dworacy królowej, natychmiast oznajmić jej pobiegli o tém.

Fryderyk stał niecierpliwiać się widocznie. Znalezenie ludzi i rzemieślników łatwem nie było, żaden ślusarz drezdeński nie dałby był się wziąć do tego, nawet najstraszniejszą groźbą: uciekali i kryli się wszyscy.

Musiano więc gwałtem zabrać narzędzia, obcęgi, młoty, sztaby, a żołnierzy pruskich użyć do téj roboty. Zaledwie pierwsze uderzenie słyszeć się

dało, gdy w końcu korytarza ukazała się biegnąca królowa, w rozpuszczonych szatach, z rozpłomienionym wzrokiem, straszna gniewem, niema ze wściekłości. Na widok jęj wpadającej między żołnierzy, ludziom młoty wypadły z rąk, stanęli jak osłupiali. Józefa rzuciła się na żelazne drzwi, osłoniła je sobą, rozpostarła ręce, położyła się płacząc na nich.

Fryderyk, który stał o kilka kroków, patrzył na to obojętnie chwilę; krew mu po twarzy przebiegła i znikła, wyciągnął laskę ku Wylichowi:

— Słyszysz — zawołał — dwóch grenadyerów niech weźmie królowę, waćpan jęj będziesz towarzyszył do jęj pokojów i postawisz straż przy nich.

Generał osłupiał i zawahał się.

— Słyszysz on! — krzyknął król podnosząc kij — słyszysz on: rozkaz spełnić natychmiast! ¹⁾

Gdy Wylich oniemiały i drżący zbliżył się ze dwoma żołnierzami i majorem Wangenheimem do królowej, krzyk się wyrwał z jęj ust okropny, bolesny, a drugim jęknął cały jęj dwór przerażony. Płacz, wołanie, przekleństwa, wrzawa stała się straszliwa. Królowa Józefina osunęła się omdlała, a dwaj żołnierze napół martwą ponieśli ku jęj pokojom. Za nią cisnęły się tłumem kobiety szlochając i ręce łamiąc.

¹⁾ Ścisłe historyczne wszystko. Zobocz Vechse, i Chronik der K. S. Residenz, t. Dresden, Życie Fryderyka i t. p.

Fryderyk stał blady i wcale nieporuszony tą sceną, drgała mu twarz szyderstwem, strasznym zimnem, które przejmowało nawet tych co nań patrzyć codziennie byli przywykli. Laskę podniósł:

— Łamać drzwi!!

Żołnierze wzięli się żywo do kruszenia zamków i zawias, jedni drugich starali się wyprzedzić i pospieszać, a w miarę jak ta robota postępowała, Fryderyk się do drzwi przybliżał. Gdy ostatnia zapora pękła i brzęcząc na ziemię opadła, a żołnierz podważywszy drzwi otworzył je z uśmiechem, król pierwszy pospiesznie wszedł do archiwum.

Na środku pierwszej sklepionej izby, stały właśnie przygotowane do wywiezienia paki, zawierające dyplomatyczne depesze, których część Mentzel był wydał do Berlina. Król gorączkowo, tak gwałtownie dobijał się do tego archiwum, obiecując sobie w niem znaleźć, coby wojnę i postępowanie jego usprawiedliwiło ¹⁾. Wiedział przez zdrajcę Mentzla, że paki te do Polski uwieźć miano. Ostatniego dnia nie było na to czasu, a nazajutrz obóz w Pirnie, król i Brühl zostali odcięci.

Fryderyk niedługo zabawił w archiwum, paki natychmiast kazano wywozić do pałacu Moszyńskich, a dwóch kancelistów pod przewodnictwem

1) Niezupełnie znalezione papiery, odpowiedziały oczekiwaniom. Na nich się opiera wydany wkrótce: *Memoire raisonné sur la conduite des Cours de Vienne et de Saxe.*

radzcy wyznaczonego, pozostali dla przejrzenia reszty. Straż stała u drzwi.

W poł godziny potém, Fryderyk z oczyma zaiskrzonymi radością, której nie tuił, śmiejąc się wyszedł z archiwum, przebiegł żywo korytarz i na wschodach będąc kazał sobie podać konia.

— Batalion żołnierzy! — zawołał do Wylicha — za mną....

Drugą bramą zamkową wychodząc ku katolickiemu kościołowi wyjechał król. Ztąd już widać było gmachy pałacu Brühlowskiego. Wszyscy odgadli, że ku niemu teraz Fryderyk się uda. Batalion żołnierzy zciągnięty z obwachu, stał w Georghenthor w pogotowiu. Król skinął, aby szedł za nim. Za żołnierzami szła ciżba milcząca. Brühlowski pałac był zamknięty, lecz na widok przybywającego króla, szwajcar w paradnej odzieży, z buławą, przy szpadzie, na oścież drzwi otworzył. Fryderyk szepnął coś i skinął, kilku żołdaków rzuciło się na nieszczęśliwego stróża i odarło go natychmiast do koszuli. Przestraszony pobiegł gubiąc perukę, w dziedziniec.

Na wschodach stojąca garstka sług, widząc to zemknęła. Król zsiadłszy z konia, z całą swą świtą i żołnierzami wszedł na pierwsze piętro nie spotkawszy nikogo. Przez przedpokój pusty, śmiejąc się wpadł do ogromnego salonu, całego w zwierciadłach, porcelanie i atłasach. Był to apartament, w którym pierwszy minister przyjmował nieraz

ksiąząt panujących, posłów wielkich mocarstw, gdzie ugaszczał Richelieugo. Wspaniałości jego dziwili się dworacy króla francuzkiego nawykli do wersalskich przepychów. We wszystkich razem wziętych zamkach i pałacach króla Fryderyka, nie było połowy tego bogactwa, wykwintności i smaku. Gdziekolwiek spoczęło oko, spotykało cudowne dzieła kunsztu, które na rozkaz pana stały się rzemiosłem, aby dogodzić fantazy królika. Nie jeden talent któryby arcydzieła mógł tworzyć, rozproszył się na te tysiące drobnuchnych, misternych ozdób, zlanych tak w jedną całość, jakby technienie jedno, jeden człowiek, jedna wola stworzyła je jednem słowem.

Fryderyk spojrział z pogardą i rośmiał się, kitem, który trzymał w ręku, uderzył w ogromną szybę zwierciadlaną: przysnęła w kawałki¹⁾. Było to hasło.

— *Zum Ausräumen!* (Uprzątnąć) — zawołał król zwracając się do swoich żołnierzy — *Zum Ausräumen!*

Niepodobna odmalować skutku tego rozkazu, który w mgnieniu oka stał się czynem. Żołnierze z okrzykiem ogromnym, z dziką radością rzucili się na salon i pokoje.

Brzęk tłuczonych zwierciadeł, łamanych sprzętów, wyciąganych szuflad, chwypanych zegarów,

¹⁾ Historyczne.

śmiechy, wrzawa rozległy się po cichym pałacu. Służba Brübła pierzchnęła, nie było na obronę nikogo, nie było ktoby w imieniu sztuki, w imieniu pracy, upomniał się o rozbijane posągi i zrucane na ziemię obrazy.

Król siadł na chwilę w fotelu i patrzył a słuchał, widać było, że się zemstą nasycił, że ją pił z rozkoszą, że mu tego jeszcze było mało. Oczyma wodził po zniszczeniu i śmiał się.

Batalion piechoty, któremu się te łupy dostały, nie starczył na uprzątnienie nagromadzonych tu bogactw, potrzeba mu było dodać drugi do pomocy. Zrucano, spiesząc dopókiby rozkaz nie został odwołany, sprzęty oknami w ulicę, wydzierano obicia, rwano franki. W miarę jak to dzieło zniszczenia postępowało, szła opanowywał żołnierzy, część ich dobrała się do kilku tysięcy butelek wina najprzedniejszego w piwnicy i hulała pijąc zdrowie Fritza w dziedzińcu. Okrzyki dochodziły do uszu króla... Generałowie stali jakoś oniemieli i posepni, mieli trochę żalu; właściwie ta gratka tak piękna, im się nie tej gawiedzi należała.

Zostawał ogród a w nim biblioteka i galerya, najdrogocenniejsze zbiory, których się nie godziło dawać na łupy zemście chwilowej. Jeszcze chwila a żołdactwo byłoby się rzuciło na nie; niebezpieczeństwo było wielkie, szczęściem obfita piwnica obroniła bibliotekę: nie chciało się opuszczać jej, dopókiby wszystko zabrane i wysuszone nie było.

Gdy się to działo, a król siedział jeszcze, kiejem okutym dziurawiąc wysadzaną misternie posadzkę, człowiek blady, przełękły, trzęsący się cały, w czarnej sukni, wszedł do zburzonej sali i strwożony stanął u drzwi.

Król spojrział nań.

— Kto on jest! — zakrzyczał.

— Bosza, Włoch, N. Panie, dozorca biblioteki, galeryi, ogrodu, N. Panie!

Włoch kłaniał się i jąkał.

— Czegóż on chce ten dozorca?

— N. Panie — wyciągając ręce z rozpaczą — przybyłem błagać go o ocalenie ogrodu, biblioteki, galeryi; N. Panie....

— Żołnierze mają to sobie darowaném, to nie moje. Co mi dasz? Co im dasz....

Bosza się zająknał.

— N. Panie, oddam co mam: cały mój majątek....

— A wieleż jego majątek wynosi?

— Nie mam nad dziesięć tysięcy talarów....

— To mało.

Włoch ukląkł, Fryderyk się rozśmiał.

— Eh! *Canailles Bagase*, dawaj te 10,000 talarów, tu zaraz mnie... i niech cię dyabeł bierze ¹⁾.

Skinał król na adjutanta.

— Ogrodu żeby mi nie tknięto!

¹⁾ Historyczne

Bosza pobiegł po pieniądze.

Jeszcze żołdactwo hulało po pałacu, gdy król ze świtą poszedł się przypatrzeć ruinie. Stawał co chwila i przyglądał się z gniewem, śmiał się, szczątki potrącając nogami i dobijając je kijem.

Cały szereg sal przeszedł tak, aż do tych dwu, gdzie cała niemal garderoba Brühla w przepysznych szafach się znajdowała. Lecz szafy te stały teraz otworem, suknie podarte walały się po podłodze, a na urągowisko półtora tysiąca peruk ministra złożono w stos ogromny w pośrodku sali; żołdactwo obeszło się z niemi tak nieprzyzwoicie, iż do niczego już nigdy służyć nie mogły.

Fryderyk stanął nad temi perukami zadumany.

— Osobliwsza rzecz — zawołał — żeby człowiek co nie miał głowy, mógł tyle peruk potrzebować 1).

Dowcip królewski homerycznym powitano śmiechem.

Najmniejszego kątką nie pominawszy i przekonawszy się, że wszystko było dosyć porządnie uprzątnięte, król zszedłszy zwolna do drzwi głównych, głośno zawołał:

— Podać mi Brühl'a!

Siadł na koń i zwolna pojechał do pałacu Mozyńskich.

Ulice długo jeszcze potem przedstawiały widok,

1) Historyczne.

jaki rzadko się trafia. Rozpuszczony żołnierz, na wózkach, na rękach, na plecach, niósł, włókł, dźwigał co mu się dostało z Brühlowskiego pałacu. Niektórzy staczali walki o pochwycone sprzęty, które się kończyły zniszczeniem ich, ażeby się ani jednemu ani drugiemu nie dostały. We drzwiach, w dziedzińcach, po ulicach odegrywały się sceny, które przestraczem przejmowały mieszkańców. Nawet otoczenie króla uczuło to, że scena z królową, a później „uprzątnięcie“ pałacu nie mogły im zjednać ani sympatyi kraju, ni przyjaciół w Europie. Lecz Fryderyk II miał w tej chwili całą niemal Europę przeciwko sobie, a z jej uczuć dla siebie żartował. „Wolałbym sto tysięcy dobrego żołnierza, niż najlepszych przyjaciół i wielbicieli.“

W mieście wieść o wypadkach na zamku i o Brühlowskim pałacu, ostudziła znacznie zwolenników pruskich. Przyczyniły się do tego kontrybucye, żywienie wojska i wszelkiego rodzaju zabory. Tegoż dnia kassy uprzątnięte zostały także.

Z temi smutnemi wieściami potajemnie wysłała królowa zaraz do obozu w Pirna zaufanego człowieka, który jako świadek naoczny, ustnie miał donieść o wypadkach. Urzędnicy pozostali sprawowali obowiązki swoje, ale w istocie drżąc oczekiwali tylko na los jaki im zgotowano.

Hr. Loss, Stammer i Globig dla osobistego bezpieczeństwa siedzieli na zamku. Zdawało się, że ich król może kazać wezwać do siebie, cały

więc dzień w mundurach i przy szpadach, w perukach, z kapeluszami pod pachą, spoglądając po sobie milczący przebyli, za każdym drzwi otwarciem przewidując posła.

Zjawił się on w istocie w postaci oficera, który zaprosił ich do generała Wylicha, a raczój iść im do niego kazał.

Hr. Loss ruszył się z powagą, towarzysze poszli za nim.

Wylich przyjął ich z fajką w zębach, stojąc nad papierami, które trzech kancelistów wygotowywało.

Spojrzał tylko na wchodzących.

— N. Pan kazał mi waćpanom oświadczyć, że ministerstwo jest rozwiązane. Dopóki my tu jesteśmy, wcale go nie potrzeba; urzędnicy niżsi niech spełniają swe obowiązki, a wyższy nad nimi nadzór, aby to szło porządnie, do nas należy.

— Jednakże — odezwał się hr. Loss.

— Nie ma tu żadnego *ale* ani *jednakże* u nas — przerwał grubijańsko Wylich. — Po żołniersku: komenda i posłuszeństwo.

W Saxonii nie było porządku, zdzierstwo i marnotrawstwo do najwyższego stopnia; my to się postaramy w karby wprowadzić. Dopóki my tu i dopóki N. Pan dla własnego bezpieczeństwa zmuszony jest zajmować Saxonję, nikt tu rozkazywać nie ma prawa. Inne rozporządzenia później nastąpią.

— Kłaniam się! — rzekł Wylich.

Trzej vice-królikowie stali niemi.

— Kłaniam się — powtórzył generał.

Spojrzawszy po sobie, mieli już odchodzić, gdy Wylich się odezwał:

— Hr. Loss i panów będę jeszcze potrzebował dla naradzenia się, choć to może dziś zawcześnie.

Sejm w Polsce się zbliża, król JM. August III, zapewne zechce nań pospieszyć, żeby choć jeden się nie zerwał. Niech mu panowie dadzą znać, że do Polski pasporta gotowe i konie na przeprzegli.

— Kłaniam się! — dokończył.

Znowu tedy zabierali się wychodzić, gdy Wylich pyknął, dym puścił i odezwał się:

— Ale, ale, tę gawiedź co darmoby chleb jadła; śpiewaków, muzykantów, operę, balet, trzeba do dyabła rozpuścić. Pieniędzy na nich nie ma, bo te co są, my musimy wziąć. Słuchać ich też i bawić się niemi nie będzie komu! Królowa nie zechce się rozrywać, nasz król nie ma czasu, a August III wyjedzie do Polski.

I znowu dodał:

— Kłaniam się!

Hr. Loss poszedł już żywo ku drzwiom, aby go już więcej nie odwoływano.

Wylich spojrzawszy za niemi tylko i do kancelisty obracając się dodał:

— Pisz waćpan: kurfirstowska kamera wyda drzewa dla piekarzy, sążni.....

Więcej już vice-królikowie nie posłyszeli, bo się drzwi zamknęły.

Poszeptali pomiędzy sobą i cicho udali się na zamek.

W mieście tego dnia tłumno było jeszcze, gwarno, lecz smutnie.....

Okolo pałacyku i ogrodu Moszyńskich stały gromady ciekawe. Po południu generał Wylich oświadczył magistratowi i przedniejszym mieszkańcom, iż powinni pójść się pokłonić królowi.

Kto mógł wymawiał się od zaszczytu tego, lecz radzi nie radzi panowie urzędnicy miejscy i wskazane osoby znaczniejsze, musiały powdziewać suknie, przypiąć szpady i ciągnąć w pokorze do pałacu, który król zajmował.

Osób przeszło dwadzieścia wielce poważnych, *honoratiores*, którzy nie spodziewali się, ażeby ich jaka owacya spotkać mogła, zjawiły się, szeregi idąc u drzwi, w których stał adjutant.

Wpuszczono ich niezwłocznie.

Król w wytartym mundurze i tych samych butach, w których go widziano zrana, siedział z jednym z generałów u stoła, na którym rozłożone były karty Saxonii i Czech. Niedaleko od niego rozbite paki wzięte z archiwum i wyjęte z nich tomy ogromne, leżały w nieporządku. Charcicę trzymając na kolanach, bo ta mu i na wojnie towarzyszyła, w kapeluszu na głowie król przyjął

deputacyą. Wstał tylko do niej wkrótce i kij wziął do ręki:

— A co mi oni powiedzą? — spytał.

Milczenie panowało długie. Burmistrz Fühlich chrząknął raz, odchrząknął raz drugi, mruknął coś, poprawił się i nic nie powiedziawszy umilkł.

— Hm? — spytał Fryderyk, a wtém sam zaczął: — Byłem zmuszonym postępowaniem tego człowieka, dla którego zbyt mam wielką wzgardę, abym imię jego wymówił: zająć Saxonję i stolicę. Bezpieczeństwo moje wymagało tego. Nie mogło być inaczej... Mam dowody w ręku, że spiskowano przeciw mnie. Króla JM. szanuję wielce, on nie winien... Tymczasowo niech jedzie do Polski, my się tu bez niego obejdziemy.

Deputacya stała milcząca.

Król począł kijem wskazywać osoby i kazał sobie mówić imiona, nazwiska i tytuły.

— Spodziewam się — rzekł w końcu — że oni rozum mieć będą i zachowają się uczciwie i spokojnie, jeżeliby zaś komu do głowy przyszło ze mną wojnę prowadzić, damy sobie z nim rady. Infamisów i kanalii odprawię do Spandau i Kistrzyna. Niech oni sobie idą, każdy do swojej roboty, ja także mam o czém myśleć....

Nastąpiły ukłony. Król na te nizkie pochylenia, grzbiety i peruki, których końce po plecach biegły, popatrzywszy z wyrazem najwyższej pogardy,

gdy się drzwi za niemi zamknęły, odezwał się do generała Quintus'a Jeiliusa:

— *Canalien Bagage!* a jakie to podłe i nikczemne. Nie ma jednego któryby mnie w łyżce wody nie chciał utopić, i nie ma jednego coby śmiał pisnąć słowo....

Plunął stukając laską o podłogę.

— Generale, wprowadzić szpiega, który miał dać informacją o obozie pod Pirną; trzeba ich zabrać, bo nam ludzie się przydadzą!!

III.

W smutną nawet porę jesienną, gdy drzewa są z liści odarte, trawy wyschłe, niebo szare, a cała natura zda się martwą i obumierającą; krajobraz około Pirny, nad brzegami Elby zachowuje swój urok majestatyczny. Rzekłbyś ruina jakiegoś starożytnego świata, prawy brzeg rzeki naprzeciw miasteczka, które po nad lewym się rozkłada, ze swemi popękkanemi, szaremi, wysokimi piaskowca ścianami, porośłemi lasy i krzewami, z jodłami i sosnami czatującemi na wierzchołkach, przeglądający się w rozlanych wodach, ludzi jakoby pozorem zwalisk, jakiejś zapomnianej budowy. Elba wije się tu od Czech płynąc, jakby chciała coraz nowe zwiedzać zakąty, jakby pragnęła się ukryć a nie mogła, dopóki na szersze nie dobywszy się równiny, nie rozleje po łąkach, zbojętniała i spoważniała wlokąc się pod mury stolicy. Pirna ze swemi mrowanemi domkami poczepianemi nad nierównym brzegiem, stoi na straży rzeki.

Wąwozy, góry sąsiednie, parowy, wysoka skała, na której niezdojta twierdza Königsteinu siedzi,

Lilienstein piętrzący się do góry, cała okolica nad-elbiańska czynią położenie warowném i dla nieprzyjaciela niedostępném. Nie można téż było lepszego znaleźć miejsca dla wojsk saskich, które zbliżone do czeskiej granicy, mogły bez przeszkody się połączyć z oddziałem austryackim generała Wied, aby stawić czoło pruskiemu wojsku Fryderyka. Nad brzegiem rzeki widać było rozbite obozy, namioty, szałas, mnóstwo ładownych wozów, stada koni i wszystko co wojsku potrzebném być może. Gościniec od Drezna zajmowały przednie straże i wysunięte placówki.

W najpiękniejszym z murowanych domów miasteczka, który Brühl urządzić kazał na pomieszczenie króla, ostawionym strażami dokoła, August III bawił już od dni kilku, dosyć podrażniony położeniem, w którym się znalazł cale niespodzianie. Księżęta Karol i Ksawery znajdowali się przy nim: Brühl był nieodstępny. Piérwszy z nich żywy, ognistego temperamentu, niecierpliwy; drugi łagodniejszy choć w nim téż krew rycerska grała, byli ulubieńcami ojca i matki. August III w Karolu przypominał sobie naturę ojca, Józefina pieściła Ksawera, który był mniéj śmiały i posłuszny.

Obaj królewicze równieź jak król znękani byli i upokorzeni wygnaniem ze stolicy, przymusem tym, który Brühl, jako chwilowy tłumaczył i wiodący do niezawodnego tryumfu.

Król spędzał tu dnie, które mu się długimi nad miarę wydawały; pozbawionym był wszystkich swych zwykłych rozrywek, opery, strzelania, myśliwstwa, galeryi obrazów, towarzystwa Ojca Guariniego i tego życia zegarkowego, do którego był nawykły.

Pomimo listów, które mu do podpisywania dawano, mimo wygnania tego do Pirny, August III nie wiele wiedział co się z nim i dokoła niego działo. Minister malował mu to w barwach świętnych, jako chwilową nieprzyjemność tylko, która się długo przeciągnąć nie mogła.

Dwunastego września, król po obiedzie siedział z fajką w szlafroku w izbie, na której kominie palił się ogień jasny. Jeden z jego błaznów, gdyż drugi chory w Dreznie pozostał, siedział skulony w kątku pilnując ogniska. Przeze drzwi nawpół naprędcie grubą portierą przysłonionych, widać było w sąsiednim pokoju gromadkę dworskich i wojskowych. Cisza panowała około domostwa przed którym chodziły straże. Królewicze oba wyjechali z Rutowskim do obozu.

Blady, z twarzą znękaną i chmurną wszedł minister, napróżno usiłując ukryć w sobie doznane świeżo wrażenie. Właśnie przez szpiega odebrał od Globiga szczegółowy opis zajęcia Drezna, odbicia archiwum i rabunku własnego pałacu. Na licu jego nienawykłym od dawna do gwałtownych wstrząśnień, znoszącym bez zmarszczenia powsze-

dnie życia bole i zdraśnięcia, znać było przejście burzy, która po sobie zostawiła ślady zniszczenia. Oczy były wpadłe, usta ściśnięte, czoło przygarbione, a choć na chwilę odzyskując przytomność, przymuszał twarz by wróciła do zwykłego spokoju, wnet roztargnienie i zapomnienie na siebie wykrzywiało ją gniewem i troską.

Przestępując jednak próg królewskiego pokoju, potarł dłonią po czole, jakby z niego chciał zmieść ślady smutków. Król odwrócił głowę; Brühl kłaniał się i uśmiechał.

— Brühl — odezwał się August III, wychodząc jakby z zamyślenia — Brühl, powiedz ty mnie, pókiż to tego będzie?

— N. Panie! — rzekł po namyśle minister — nie można nigdy dokładnie oznaczyć trwania takiego przesilenia. Jesteśmy w chwili, która decyduje o przekształceniu Europy, o przywróceniu Saxonii jej dawnej potęgi i blasku.

To bez ofiar przejść nie może.

— Tak, tak — odezwał się król — to pewna; ale ten Fryderyk, ten Fryderyk który siebie tak pozwala.

— Rozpacz go ogarnęła, N. Panie — odezwał się minister — potrzeba mu przebaczyć szaleństwo: to są ostatnie podrygi bezsilności.

— Dobrześ się wyraził — wtrącił król — uważałeś kiedy, gdy odyniec zabity i oszczep mu w bok pakują, jak się rzuca, jak kłapie zębami; ale to nie nie pomoże.

— Ani Fryderykowi téż jego zuchwalstwo, za które opłacić musi. Cesarzowa się postara aby go ogłoszono wywołańcem, całe Niemcy pójdą nań, Francya, Rosya, Austrya, my, Szwecya. Jakże się potrafi obronić?

— Tak, to prawda, Brühl — rzekł król — ale dlaczegóż ja muszę siedzieć w Pirnie? Patrzaj jak tu paskudnie, pfe i nudno. Ja do takiej dziury nie nawykłem.

— A! N. Panie, nikogo to tak nie boli jak mnie — zawołał minister — mnie najwierniejszego sługę W. Kr. Mości, któryby gotów wylać krew swoją, aby Panu najdroższemu jedną minutę przykrości oszczędzić. Niestety! są takie wypadki.

— Słuchaj, ale w tym lesie — odezwał się król — tam na brzegu przeciwnym, tam są świnie dzikie: słowo ci daję. Gdyby można zapolować! Brühl się zamyślił.

— Będziemy się starali polowanie urządzić.

— A co z Drezna? były tam jakie wiadomości? Nie przywieźli dla mnie moich myśliwskich przyborów?

Minister westchnął i spuścił głowę.

— N. Panie, zdaje mi się, że Prusacy chwilowo zajęli Drezno.

August III fajkę rzucił o ziemię, po którą zaraz paż przybiegł, i krzyknął:

— Odważył się...

— To rozpacz go prowadzi, N. Panie.

— No, patrzaj-że! byle mi moich obrazów nie pokonfiskował. Człowiek w rozpaczy i na to gotów.

— O obrazy się nie lękam, gorzej — szepnął Brühl — żeśmy archiwum wywieźć nie mieli czasu.

Król ręką machnął.

Zdawało się go to mniej obchodzić niż obrazy.

— To szczęście — rzekł — że ja tę Magdalene Corregia zabrałem z sobą. Wszak jest tu z nami?

— Jest N. Panie, upakowana doskonale: Heineken kazał na nią zrobić pudełko.

Zamyślił się mocno August, i dodał cicho:

— On ciebie bardzo nie lubi — rzekł — bardzo zły na ciebie; jeżeli już weszli do Drezna, no to oni tobie szkody narobią więcej niż mnie. Biédny Brühl!

Westchnął minister.

— N. Panie, z pałacu mojego już pozostała ruina tylko.

Król ręce załamał.

— To barbarzyńca! Dla niego nic świętego nie ma! To bezbożnik! A! co za szczęście żem zabrał Magdalene Corregia, bo na majestat Refaela, tak jak na majestat królewski porwać się nie będzie śmiał. Mówisz, że ci pałac splądrowali. A galerję?

— Bosza ją wykupił, zapłaciwszy 10,000 talarów

— Ja ci to powrócę Brühl — rzekł król wzdychając — ja wiem, że ty to cierpisz dla mnie. Niech tylko tego pyszałka zgniotę...

Łzy zakręciły się w oczach króla, który powoli poszukał fotelu za sobą, siadł, podparł się na rękę i odezwał tęsknie :

— Masz słuszność; kiedy tak, to na te dzikie świnię polować nie wypada, póki Prusaków się nie pozbędziemy.

I była chwila milczenia.

— To nam tu w tej głupiej Pirnie gotowo wszystkiego zabraknąć — dodał król.

— N. Panie! mojem zdaniem — odezwał się minister — zdrowie i spokój W. Kr. Mości droższe są nad wszystko. Kraj się podźwignie po tych klęskach, byle pańskie na tém nie szwankowało szczęście i należne mu zaspokojenie potrzeb ciała i ducha. Wkrótce ma się rozpocząć sejm w Warszawie, gdyby nawet Prusacy nie byli weszli do Saxonii, zawszebyśmy byli zmuszeni wybrać się do Polski.

— Tak, tak — rzekł król — mieliśmy polować na niedźwiedzie i łosie.

— Dlaczegożbyśmy teraz zaraz nie udali się tam. Przesilenie — mówił Brühl — trwać długo nie może: N. Pan nie potrzebujesz tu być osobą swoją. Możnaby udać się do Warszawy i tam oczekiwać rychłego rozwiązania sprawy.

— Któredy? — zapytał król — he? a gdzież ja teraz sto trzydzieści koni znajdę na przepręgi?

— Zdaje mi się, że król Fryderyk, przez Szląsk i Wrocław drogi dopuści: nie będzie śmiał zatrzymać króla polskiego.

— Masz słuszność — odparł August — jednakże, hm? jeśliby Austriacy nam w pomoc zaraz przyszli, a nasze 30,000 żołnierza połączy się z niemi, żebyśmy tego najeźdźnika ścisnęli i wrzucili do Elby, a mogli w przyszłym tygodniu powrócić do Drezna? Królowa musi być bardzo niespokojna, hm?

Brühl westchnął, nie nie umiejąc odpowiedzieć na tak zuchwałe żądanie. Nie śmiał też całej prawdy oznajmić królowi zwykłym będąc do oszczędzania mu zmartwienia i ukrywania jej połowy, ażeby zarazem zmniejszyć winę swoją.

August III kazał sobie podać fajkę, palił ją i wzdychał ciężko. Niekiedy coś do siebie pomrukiwał niezrozumiałego.

Wtém w przedpokoju głośne się dało słyszeć stąpanie. Brühl przestraszony żywo pobiegł ku drzwiom, w których pokazała się chmurna twarz generała Rutowskiego.

-- Generale! — szepnął mu — na miłość Bożą, nie nie mówcie królowi.

— Ale dosyć już tego! — zawołał stłumionym głosem Rutowski. — Nie pora...

To mówiąc zlekka odtrącił ministra i żywym krokiem zbliżył się do Augusta III, który go witał uśmiechem. Rutowski był, mimo uszanowania jakiego okazywał Augustowi, dosyć poufale z bratem!

— N. Panie! — odezwał się — hrabia musiał już choć część złych nowin z Drezna udzielić.

Wiadomości są złe, są szkaradne. Prusacy zajęli Drezno, Fryderyk odbił archiwum...

— Wiem — rzekł król — wiem, i zrabowali tego nieszczęśliwego Brühla, wszystkie te śliczności, z których ja byłem dumny.

— Ale co za zuchwalstwo, targnąć się na królowę! — zawołał Rutowski.

Brühl zapóźno dotknął ręki generała, aby go powstrzymać; może też nicby to nie pomogło. August za głowę, a raczej za perukę się chwycił, obejrzał dokoła i rzucił ku Rutowskiemu.

— Na królowę! — zawołał — jak to być może?

— Królowa osobą swą chciała bronić wnijscia do archiwum. Z rozkazu Fryderyka żołnierze ją porwali i odprowadzili... Śmieli targnąć się na majestat...

Zakrył król oczy i płakać począł: Brühl ukląkł przed nim.

— N. Panie! pomścimy się téj zniewagi... niech się W. Kr. Mość nie gryzie a szanuje swe zdrowie...

Rutowski niespokojny przeszedł się krokiem żołnierskim po pokoju.

— Dla wojska nie ma żywności! — zawołał — nie starczy nam sił, aby obsadzić przejścia wszystkie... któż wie, co się stać jeszcze może...

Brühl przyskoczył od króla do generała.

— Na miłość Bożą, nie malujcież nam tak czarno położenia. Za dni kilka połączymy się z generałem Bourem... Na to długiego czasu nie trzeba.

Rutowski ramionami ruszył...

August milczał zatopiony w sobie.

— Barbarzyńca! — powtórzył pocichu — dziki człowiek. Brühl, napisz do niego list... silny... ja go natychmiast podpiszę. Niech Bellegarde jedzie, albo ktokolwiekbądź.

— List! jemuby kulę nie list posłać trzeba — rzekł Rutowski — toby jedno poskutkowało.

Szczyściem jakoś nadeszła chwila podwieczorku, król ruszył milczący spełnić ten obowiązek i rozmowa się przerwała. Rutowski po kilka razy wtrącał jakieś słowo, ale August udawał, że nie słyszy i nie odpowiadał.

Dosyć długo potem minister przy królu pozostał, sam na sam z nim, pocieszając go umiejętnie, tak, że gdy nadeszła snu godzina, August III po wieczorném winie, zwaném „Schlaf trunkiem“ prawie uspokojony poszedł za kotarę.

Brühl ustawwszy strażę wysunął się do sąsiedniego domu. Dano mu znać w proggu, że posłaniec od żony czekał z Drezna. Był to przebrany włos Rotti, używany do posług różnych, zręczny, przebiegły, śmiały i gotów na wszystko dla hrabiny, której był ulubionym sługą. Ażeby wydobyć się z Drezna, musiał przywdziać łachmany rybackie, w których go poznać było trudno: piękny i w sile wieku mężczyzna wydawał się prawie starym.

Brühl ze świecą musiał przystąpić blisko, aby być pewnym, iż on jest nie kto inny.

Rotti miał na plecach nalepiony plaster, pod którym było pismo hrabiny. Nie listem, ale rodzajem dziennika nazwać było można. Godzina po godzinie zdawała sprawę w wyrazach krótkich, suchych, z tego co się w mieście działo. Dyaryusz ten mimo swęj zwięzłości, choć nie zawierał jednego wyrazu narzekania, choć zdawał się pisany z krwią zimną protokólisty, przejmował jakąś zgrozą. Brühl czytając go bladł, rumienił się i wstrząsał, gryzł wargi, wreszcie rzucił go na stół i twarzą ku stojącemu obrócił.

— Mów! — rzekł.

Rotti ręce roztworzył, głowę zwiesił, ramiona podniósł.

— Przepadło wszystko — rzekł — oni tam panują! Pałac zburzyli ze szczętem, zrabowali; zabrali co zabrać było można, czego wziąć niepodobna, zniszczyli. Król sam był tam w czasie rabunku.

— To nic — przerwał Brühl zimno. — Ha! zwierciadła i porcelana kupują się za pieniądze. Co więcej?

— Archiwum — rzekł Rotti stłumionym głosem.

— To wiem — odezwał się minister — co więcej?

— Kassy zabrano wszystkie, ministrom zapowiedziano uwolnienie.

Brühl się uśmiechnął.

— Ale ich nie wypędzono?

— Nie. W. Ekscellencya mieć będzie pewnie od hr. Loss osobną wiadomość.

— Teatr, i aktorowie rozpuszczeni! — dodał Rotti. Sam widziałem Hessego; wybiera się do Włoch napowrót: drudzy jeszcze nie wiedzą co zrobią ze sobą.

— Powiedz im niech poczekają trochę — szepnął Brühl — gospodarstwo to nie potrwa długo; przyjdziemy z Austryakami do Drezna, i wygonim tych intruzów.

Rotti westchnął.

— Oni bo się tam rozsiadają na dobre; — rzekł — słyszałem, że posłano do Magdeburga i Elbę mają sprowadzić, kto ich wie, mówią 250 dział żelaznych, dla obsadzenia murów i wałów: znać się chyba bronić myślą.

— To plotki — rzekł — wszystko wam w oczach rośnie.

Rotti zamilkł.

— Kiedy powracasz do Drezna? — zapytał po namyśle.

— Gdy mi W. Ekscellencya każe i gdy będzie podobna się dostać jakkolwiek do niego, bo teraz ani wydobyć się, ani dobić nie łatwo. To mówiąc westchnął. — Boże! — dodał — ktoby się był takich na nas losów spodziewał?

Brühl ręce złożywszy, oczy podniósł ku niebu pobożnie.

— I my i losy nasze w rękach Bożych: modlić się trzeba, aby nam Opatrzność pomoc zesłała.

Zbudowany tem wielce pobożny Włoch westchnął także całą pierśią, ale już usposobienie ministra się zmieniło; myślał snuć o czém inném, zbliżył się do Włocha i rękę położywszy mu na ramieniu, szeptać począł:

— Mój Rotti, musisz wziąć z sobą kartki do hrabiny i do Globiga; ale pamiętaj jeśliby cię schwytano, połknij je a nie daj im w ręce: idzie o twe życie, o króla, o mnie...

— Nie bójcie się — odparł Włoch — pisma rąk dojdą, choćbym ja miał zginąć!

IV.

W dolnej izbie sklepionej, na królewskim zamku w Dreźnie, od której jedno kraciaste okno, oddawna ręką ludzką nietknięte, z nieprzeźroczy-stemi szybami, wychodziło na dziedzińce, o wieczornej godzinie znajdowało się osób kilka, potajemnie tu zgromadzonych. Jedna świeca paliła się na przymurku, mówiono pocichu... u drzwi stały strażę... oglądano się niespokojnie za najmniejszym szelestem. Przy świetle słabem, które rzuciła woskowa świeca w ciężkim srebrnym osadzona lichtarzu, chwilowo tu przyniesiona, trudno było twarze osób rozpoznać. Izba znać oddawna za skład niepotrzebnych sprzętów służąca, zaniedbana, brudna, ze sklepieniem okopconem, przedstawiała się jakby więzienie, smutną i opuszczoną. Stół przy ścianie, kilka prostych stołków, w kątach resztki niedopalonych pochodni i drągi jakieś czarne, na kamiennój posadzce ciemne wałki jakichś starych opon i płócien rudych... powiązanych sznurami... składały wszystkim sprzęt tej kryjówki, o której w zamku

nawet mało kto wiedział. Miała ona niegdyś różne przeznaczenia za przeszłych kurfirstów i po cichu opowiadano o niej krwawe i straszne dzieje. Od Augusta Mocnego, a szczególnie za jego syna, służyła tylko stróżom zamkowym na skład łomu, którego wyrzucić nie chciano, a chować staranniej nie było warto. Dwoje drzwi, jedne od dziecińca zawsze zatarasowane, drugie od wnętrza i sieni, do której wschodów kilka schodziło, dozwalały przemknąć się tu niepostrzeżenie. Dlatego może tego wieczora zebrały się tu osoby, które ani widziane ani podsłuchane być nie chciały...

W jednej z nich łatwo poznać było hrabinę Brühlową, która postawą dumną i głową podniesioną zdawała się tu dowodzić i rozkazywać. Drugim był baron Spörken... w tej chwili widocznie niespokojny, podrażniony, ciągle oczyma biegnący ku drzwiom, z nachmurzonym czołem i krwią nawisłą.

Obok niego stał drżący i blady kawaler de Simonis, zdający się tylko przymuszonym świadkiem narady, czyniącój na nim wrażenie przerażające. Tarł niekiedy ręce i perukę, przestępywał z nogi na nogę, zakładał dłonie na plecy, chował je po kieszeniach, nie wiedząc co z sobą zrobić i z niemi.

Naostatek opodal nieco widać było nieznaną jakąś postać, z twarzą wyschłą i pomarszczoną, choć nie starą, z biegającymi oczyma, ale wyra-

zem zaciętości w ustach i całej fiziognomii, stojącą jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Człowiek ten ubiorem stanu nie zdradzał, odziany był suknią widocznie dla niepoznaki włożoną, która doń nie dobrze przystawała, a na wierzch zarzucony miał płaszcz gruby podróżny.

Hrabina Brühlowa, generał Spörken i biernie tylko posługujący im Simonis, naradzali się jeszcze pocichu. Po krótkich szeptach, hrabina wystąpiła naprzód i zbliżyła się do oczekującego.

— Panie Glasau! — rzekła pocichu.

— Po co wymawiać moje nazwisko — opryskliwie przerwał stojący — po co? to do niczego niepotrzebne.

— Waćpan jesteś Sasem, byłeś nim przynajmniej; zachowałeś pamięć o tém: chcesz służyć królowi?

Glasau głową tylko skinął na znak zgody.

Brühlowa posunęła się kilka kroków dalej, prowadząc go za sobą w ciemny kąt izby, gdzie ani Spörken, ani Simonis słyszeć rozmowy nie mogli.

— Jesteś przy królu?

— Tak: jest nas kamerdynerów kilku.

— Ciągłe przy nim?

— A i tu i w obozie, nieodstępnie — rzekł Glasau. Uszy moje i plecy o tém świadczą...

Tu westchnął.

— Gotów waćpan jesteś na wszystko?

— Mówmy-no o warunkach — przerwał Glasau — ja duszy gubić nie mogę za darmo. Prawda, że król śmieje się i powiada, iż duszy człowiek nie ma, a no tymbardziej ciała na męczarnie i zgubę nie myślę dawać.

— Przecież nie ma niebezpieczeństwa?

Glasau się uśmiechnął.

— Z nim? z nim? ale to człowiek co wszystko najgorsze zgadnie, bo sam do wszystkiego i najgorszego gotów. Cóż mi dacie? — zapytał — co mi dacie?

— Co chcesz?

— Wiele chcę, wiele; a czegoż odemnie żądacie.

— Musimy wiedzieć, kiedyby go pochwycić było można. Często się z kiku ludźmi oddala i puszcza po nocach; przewodnik mógłby go wprowadzić w zasadzkę...

— Tak, zuchwały jest; to prawda — rzekł Glasau i opuścił głowę.

— Toby było najlepszym — dodała hrabina.

— A cóżby było najgorszym — bąknął nie patrząc jęj w oczy Glasau.

— Gdyby, gdyby — szepnęła pocichu Brühlowa — waćpan rozumiesz... biały proszek... w czekoladzie...

Ostatnie słowa wymówiła prawie niedosłyszalnym głosem: Glasau głową potrząsł, ale się nie uląkł wcale.

— Prawda, że ja mu noszę rano czekoladę — rzekł — ale ją czasem wprzódy pies wypije, nim się on do niej zbierze, a toby się wydało.

Szept niedosłyszany trwał jeszcze minut kilka. Glasau się zdawał targować.

— Nie, nie — rzekł w końcu — ja go wam dam żywego w ręce, tak będzie lepiej.

I zawsze rozmawiała z nim Brühlowa, aż kazała przystąpić Simonisowi.

— Przypatrz się temu panu, — rzekła — zapamiętaj jego rysy; ani ja, ani baron nie będziemy mogli inaczéj komunikować się z wami jak przez niego.

Glasau podniósł oczy.

— To licha warto — rzekł — albo ja lub ów się omylić może, oczom wierzyć niebezpiecznie. Trzeba się umówić o znaki.

To mówiąc szybko począł ukazywać ręką Simonisowi, jak go ma witać, ile z kolei palców rozłożyć.

— Jednego znaku mało — rzekł — mógłby być przypadek: trzy ledwie starczą.

Kawaler de Simonis znajdował się biernie, nie biorąc zbyt żywego udziału w umowie. Oczy hrabiny biegały po obu.

— Tak — dodał Glasau — już my się zrozumiemy.

Brühlowa dobyła rulon z worka, który miała przy sobie i wcisnęła mu go w ręce, szepcząc coś

jeszcze pocichu; Glasau się skłonił i pospiesznie ku drzwiom skierował.

— Znajdziecie tam tego co was tu przyprowadził — pospiesznie biegnąc rzekł baron — ten was też na bezpieczne miejsce dostawi. Glasau już brał za klamkę, generał wywiódł go do sieni i powrócił. Brühlowa zbliżyła się do Simonisa:

— Za waćpana ręczyła mi baronówna, — rzekła zcicha — chociaż zdaje mi się, że na was było posądzenie żeście z Berlinem korrespondowali. Znalezione listy.

— Ja się ich nie zapieram — odpowiedział Simonis — było to wprzód, nim panna Nostitz podjęła się i dokonała mojego nawrócenia.

— Ale cóż nam ręczy za jego szczerłość?

— Pani hrabino — odezwał się spuszczać oczy Simonis — moją poręką jest baronówna, a jeśli mam otwarcie wyznać, mój własny interes. Gdzież większe szczęście spotkać mnie może?

Brühlowa uśmiechnęła się szydersko i poruszyła ramionami nieznacznie.

— Waćpanu Nostitzówna rękę swoją przyrzekała? -- zapytała.

Simonis ukłonił się milcząco.

— Tak, tego panu powinszować można — dodała — będziesz miał wielu przyjaciół, bo baronównie na wielbicielach nie zbywa.

Rzuciwszy ten sarkazm dojmujący, Brühlowa poparła go wejrzeniem czarnych oczów, które mimo

katastrof tyłu, zalotnemi i wyzywającemi być nie zapomniały.

— Baronie Spörken — rzekła, obracając się do niego z kolei — cóż mówicie o tym człowieku?

— Ja go sam nastreczyłem — odparł baron — więc inaczej jak dobrze, mówić o nim nie mogę. Jakie wrażenie uczynił na W. Ekscelencyi?

— Człowieka, który na wszystko gotów, ale za dobrą zapłatą; nie zaręczyłabym jednak ażeby w chwili czynu się nie uląkł i nie cofnął.

Nie sędzę — zawołał Spörken — na nieby mu się to nie zdało... kto mówi *a*, ten musi *b* powiedzieć... Raz wzięty w ręce, nie uciecze nam... Jak tylko przyjął pieniądze... przyszedł tu...

Brühlowa potakująco skinęła głową, palec położyła na ustach... i zdawała się przysłuchiwać krokom, które słychać było w sieniach. Spörken żywo przysunął się do drzwi, wszyscy zamilkli i czekali. Kroki i szmer powoli w oddaleniu słabły, wkrótce znowu nastąpiło milczenie.

Brühlowa narzuciła zasłonę na głowę i poprosiwszy ruchem ręki o otwarcie drzwi, wysunęła się pierwsza. Spörken został chwilę z Simonisem, z którym rozmawiał jeszcze pocichu. Wypuścił go potem, wskazując ręką wschody... a sam wzięwszy świecę z przymurku, zamyślony wyszedł ostatni powoli.

Nie bez obawy widocznej wysliznął się Simonis z tej konferencyi tajemnej i nie zachodząc do zam-

ku, przez jedną z bram wysunął się zrećźnie w ulicę, tu dopiero swobodniej oddychając; nie rychło jednak przysłoniętą płaszczem twarz odkryć się ośmielił.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy posłyszał pozdrowienie, zdziwiony, że go pociemku poznano. Był to Masłowski, który wyrósł jakby z ziemi: Simonis drgnął zdziwiony, nieprzyjemnie.

— Nie mogę pojąć, jakieś mnie waćpan mógł poznać po nocy — odezwał się nie kryjąc zdumienia.

— A! — rzekł śmiejąc się wesoło Masłowski — najprzód my mamy kocie oczy, to rzecz wiadoma... w nocy widzimy doskonale, osobliwie kogo nam zobaczyć potrzeba; za to we dnie często nie dojrzymy, gdy nam kto zawadza. Powtóre, waćpan wiesz, kawalerze Simonis, my jesteśmy serdeczni przyjaciele, sympatia!

— Aha! — zawołał Simonis — ale ja byłbym waćpana minął nie poznawszy.

— Sympaty dla mnie nie masz — odezwał się Masłowski, bez ceremonii biorąc go pod rękę

— No, a wolno wiedzieć zkąd? z zamku?

— Jakto z zamku?

— Nic, myślałem tylko.

— Cóżbym tam robił?

— No, podejrzewam waszmości zawsze o miłość dla frejliny, a ona tam przy królowej.

— Dla mnie niedostępna.

— Dla mnie téż — westchnął z przesadą Masłowski — jedne mamy losy, jedno cierpienie, jedne uczucia; musimy być przyjaciółmi. Różni nas tylko, że waćpan kochasz Prusaka... a ja...

— Sasów? — spytał Simonis.

— A gdzie tam! ktoby mógł jakiegokolwiek Niemca kochać. Niemkę... to co innego — zaczął wesoło Masłowski — Ale powiedźże ty mi szczerze, po przyjacielsku, ja cię nie zdradzę: na czém stałeś? czy zawarłeś alians z Prusakiem, czy z Austryą i Saxonią?

Simonis pytanie w śmiech obrócił...

— Myślę że masz do Prusaka słabość — dodał Masłowski — no, no, co komu do gustu... Mnie się tak zdaleka patrząc w ulicy na tego kaprala zdaje, że musi śmierdzieć, a ja mam powonienie nader drażliwe.

Simonis nie chciał się zdradzić, Masłowski nie-miłosiernie go męczył.

— Przyjacielu mój! — dodał — nie rozumiem jak pogodzisz miłość dla baronówny z miłością dla króla Fryderyka. Dla logiki będziesz musiał się w stariej Nostitzowej zakochać, a to podobno trudno.

Kawaler milczał, szli tak dalej ciemną ulicą, Simonis aby się uwolnić od przyjaciela, skierował się milczący ku swojej kamienicy. Masłowski go odprowadził aż do progu. Tu powiedzieli sobie dobranoc, Simonis wszedł szybko do domu i drzwi

za sobą zamknął. Zamyślony wstępował na górę, gdy go znowu, jak niegdyś, Gertruda za rękaw pociągnęła pokazując mu drzwi baronowej. Nie spodziewając się już tu dnia tego zastać Pepity, mniej chętnie posłuchał starej sługi i wszedł na próg powoli.

Stara baronowa w boki się wzięwszy, co u niej wielce szczęśliwe oznaczało usposobienie, chodziła po saloniku uśmiechając się do siebie. Spostrzegłszy Simonisa dygnęła mu wesoło.

— Dobrze żeś przyszedł, mam coś dla waćpana — rzekła :

I zbliżywszy się mu do ucha, szepnęła :

— Major Wangenheim czeka na waćpana na dole w pałacu Moszyńskich, ma ci coś do polecenia.

Simonis drgnął i zbladł.

— A tak! tak! misją konfidencyonalną. Ja sama nastreczyłam mu waćpana. Możesz się teraz zasłużyć i dojść daleko. Proszę iść zaraz do niego ażeby komu innemu tego nie powierzono.

Simonis nie mogąc się poruszyć stał wryty, położenie jego stawało się niewymownie przykrém. Jakkolwiekbydz, zdrajcą teraz musiał być nie sługą. Dreszcz po nim przebiegł. Nie prędko zebrał się na słowo...

— Pani baronowo — odezwał się jękając i nieśmiało — nieskończenie jej jestem wdzięczny, ale prawdziwie mam obawę; nie jestem pewny, do-

świadczenia mi brak, nie wiem czy potrafię sobie dać radę.

Pani Nostitz spojrzała nań urażona niemal.

— Przecież nie co innego ci dadzą do roboty, tylko to samo z czém cię tu moja poczciwa de Camas wysłała... Być może iż wypadnie się dostać do obozu do Pirny... ale cóż to znowu tak osobliwego: powiesz, że cię Brühlowa przysłała... Toż samo, że się tam dostaniesz, już zaufanie obudzi. Zdasz tylko raport z tego coś widział i słyszał. Major Wangenheim czeka na waćpana! Trzeba iść i to zaraz.

Spojrzała na twarz nieszczęśliwego Simonisa i zawahała się widząc go tak straszliwie przelęknym że ją litość nad nim wzięła. Rozśmiała się jednak wkrótce.

— Nie wiedziałam, że z waćpana takie dziecko! — zawołała — ależ to w takich właśnie trudnych i zawiłych sprawach ludzie się dorabiają. Panu Bogu powinienesz dziękować i głowy nie tracić.

Simonis powiódł ręką po czole, na które kroplisty pot występował.

— Czy waćpan chcesz się tego podjąć, czy nie, to darmo — dodała napróżno wyczekawszy odpowiedzi. Trzeba iść do majora. Rozmówcie się z nim o tém.

Kawaler opamiętał się nareszcie: nie było środka... musiał być posłusznym. W ulicy pożegnawszy go Masłowski, gdy się drzwi zamknęły, jak

gdyby go przecucie jakie zatrzymało, czy chętką szpiegowania Simonisa, odszedł wprawdzie powoli na stronę; lecz nie bardzo potrzebując śpieszyć, chwilę między kościołem a odwachem pozostał. Oddalił się zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy wśród ciszy nocnej posłyszał skrzyp otwierających się drzwi i zwróciwszy głowę, dostrzegł przy świetle ogarka, którym stara Gertruda przyświecała wychodzącemu Simonisowi, iż ktoś wymknął się z kamienicy. Nie był wcale pewnym iż to być miał Simonis, zatrzymał się jednak przytuliwszy do węgła ganku Frauenkirche, czekając aż się zbliży idący.

O kilkanaście kroków z postawy i chodu poznał przyjaciela. Nie wysuwając się ze swej kryjówki, dał mu ją pominąć, wyprzedzić się o dobry kawał drogi i ostrożnie poszedł za nim.

— Prawdziwe szczęście — rzekł w duchu. Czekaj ptaszku! wyprawa nocna jest mi mocno podejrzana. Muszę wiedzieć przecie, dokąd o téj porze się wybrałeś.

Szedł więc nie spuszczać go z oka, unikając aby go niepostrzeżono. Pałac Moszyńskich stał naówczas wśród obszernego ogrodu, niemal za miastem, z widokiem niczem nieosłoniętym na dalekie góry. Z samego kierunku drogi łatwo było odgadnąć cel do którego prowadziła. Masłowski się wcale tego nie spodziewał: zawrzało w nim. Jeżeli zdrada się okaże, jutro go jak psa zastrzeleżę zawołał do siebie. Mniej jednym takim jegomo-

ścią na świecie, ludzkość na tém nie nie straci. Simonis oglądał się pilnie dokoła, nim przypadł do żelaznych sztachet i bramy, która w ogród i do pałacu prowadziła. Tu stała warta i spytała go do kogo idzie, Simonis szepnął, że ma polecenie stawić się u majora Wangenheima. Żołnierz służył mu za przewodnika. Masłowski pozostał zdala na czatach.

Major Wangenheim, młody i przystojny mężczyzna, pomimo spóźnionej godziny siedział jeszcze w mundurze i przy szpadzie, gdy mu przychodzącego oznajmiono.

Spojrząwszy nań, zamyślił się nieco.

— Pani baronowa Nostitz mnie przysyła — odezwał się Simonis.

— Tak — rzekł sucho major — wiem, waćpan byłeś trochę znajomym Brühlowi i jego dworowi.

— Bardzo mało...

— Mogłoby dla waćpana być ciekawém zobaczyć co się tam w obozie dzieje?

Kawaler zmilczał.

— Mógłbyś waćpan zaofiarować hrabinie przeniesienie listu od niej do męża, ale ten musiałby być mnie wprzódy zakomunikowanym.

— Hrabina wątpię by mi zaufała — odezwał się Simonis nieśmiało.

Wangenheim popatrzał nań.

— Jednym słowem — rzekł — mój panie, masz ochotę przynieść nam wiadomość z obozu

i zanieść tam do naszych znajomych pewne rozkazy.

Simonis zmilczał.

— Będę posłusznym, gdy mi to nakazanem zostanie — odezwał się — lecz nie kryję tego iż mało mam wprawy i doświadczenia, i że na własną zrzeczność rachować nie mogę.

Major się rozśmiał wzgardliwie nieco.

— Zbytnią to skromność — odezwał się patrząc mu w oczy i badając go — w takich sprawach mało kto nabiera wprawy: ludzie się do tego rodzą. Krótko waćpanu powiem, ludzi nam brakuje, potrzeba abyś jutro się wybrał, i jak najprędzej powrócić.

Na dworze króla i Brühla jest dwóch ludzi, którym nieznacznie oddasz pan te dwa od ich żon listy. Nie w nich niema... nie zrozumie ich nikt, oprócz nich. Będiesz się waćpan starać widzieć jak najwięcej, dowiedzieć jak najdokładniej, powrócić jak najprędzej.

Major Wangenheim z pewną niecierpliwością, jak gdyby nie bardzo miłą dlań kończąc rozmowę, na listach, które złożył na stole, rzucił rulonik dukatów, i odstąpiwszy parę kroków, głowy skinieniem pożegnał Simonisa.

To złoto tak jawnie rzucone mu w oczy, z pewnym rodzajem pogardy, wywołało rumieniec na twarz Simonisa.

— Przepraszam pana majora — rzekł odsuwając rulon — mogę i muszę podjąć się służby dla J. Kr. Mości, ale bez tego dodatku.

— Jakto? — zapytał major.

— Jeśli zasłużę na co, mogę być później wynagrodzonym; nie należę do tych, którzy się zajmują.

Major spojrział mu w oczy i ruszył ramionami, nie zdawało go się to ani dziwić ani rozczulać, jak gdyby do podobnych scen był przywykłym.

— To na kosztą podróży — rzekł sucho — niepodobna byś waćpan o swoich pieniądzach ją odbywał.

I dodał — dobranoc!

Simonis wziął listy i znać nie chcąc się podać w podejrzenie, schował też rulon do kieszeni i wyszedł.

Noc była ciemna, gdy się znalazł za bramą z tak przykrém uczuciem niepewności jakiegóś, obrzydzenia, wstrętu, obawy, iż postąpiwszy kroków kilka, spytał się sam siebie, czyby nie najlepiej było zabrawszy co miał, powracać do Berna i szukać w pracy przyszłości.

Wspomnienie tylko pięknej Pepity wstrzymało go może od tego kroku. Zbliżeniem się do niej, czuł się uszlachetnionym i nie chciał już wrócić na drogę tajemniczych, brudnych intryg, która mu teraz wstrętliwą była i upadlającą. Ale jakże się mógł wywikłać z tej sieci, w którą wpadł poczęści

z własnej winy. Zbliżał się już do miasta, gdyż pałacyk leżał naówczas za jego obrębem, gdy usłyszał półgłosem nuconą śpiewkę i z wielkiem podziwieniem a przestraczem spotkał Masłowskiego. Ten udał nadzwyczaj zdziwionego.

— A to rzecz szczególna! — zawołał — że my się też nieustannie musimy z sobą spotykać? mamże uwierzyć oczom? Wszak waćpana odpro-wadziłem na spoczynek do domu, miałeś iść spać?? Jakimże sposobem? w tej stronie? Ktoby powie-dział, żeś waćpan chodził dawać dobranoc królowi pruskiemu?

— A cóż wy tu robicie? — spytał Simonis.

— Ja? ale ja nie mając nic do roboty z profes-yi, jestem włóczęgą — rozśmiał się Masłow-ski — szpieguję Prusaków. Wiesz, że to są jednak nie głupi ludzie. Jaki w nich rygor i ład... Ale mówże z kąd pan Bóg prowadzi?

Simonis nie chcąc się zdradzić, musiał się na-myślić, co powiedzieć.

— Przyznam się waćpanu — szepnął — awan-turka kobieca.

— W tej stronie? za miastem?? to chyba z dziewczką jaką od ogrodnika, bo tu nic porząd-niejszego nie mieszka?? Co mi mówisz, ale!...

Simonis umilkł. — Wierz waćpan lub nie, jak chcesz...

— Przyjmże moją radę, — dodał Masłowski — jako lepiej oswojonego z Dreznem: nie bardzo bez-

piecznie w bliskości króla mieć *rendes vous*. Fryderyk jest podejrzliwy, a rozstrzelanie u niego nie a nic nie kosztuje.

Spotkanie z Masłowskim, który go znowu przeprowadził aż do kamienicy, do reszty przybiło nieszczęśliwego Simonisa. Milczący wsunął się na swe trzecie piętro, pożegnawszy szydzącego i natrętnego Polaka. Paliły go listy, które miał od Wagenheima, niepokój niewysłowiony oka mu zmrużyć nie dał. Ledwie doczekawszy poranku, zerwał się z łóżka i pobiegł do zamku. Cały dwór był jeszcze na mszy ranniej, gdy przypadł; ukrył się więc w mieszkaniu barona Spörken; oczekując na baronównę, z którą się chciał zobaczyć. Paż miał jęj oznajmić, iż Simonis mówić z nią potrzebował. Po półgodzinném prawie oczekiwaniu piękna panna zjawiła się, tak jak była ubraną do kościoła. Spojrzała na Simonisa i zmieniona twarz jego nie jęj znać dobrego nie zwiastowała, gdyż niespokojnie zbliżyła się do niego.

— Co waćpanu jest? — zapytała.

— Osądzisz pani sama — odezwał się Simonis. Wczoraj za ledwie ztąd wyszedłszy udałem się do baronowej. Przywitała mnie tém, że powinienem był natychmiast udać się po rozkazy do majora Wagenheima. Późno w noc musiałem biedz do pałacu Moszyńskich, kazano mi z listami do obozu pod Pirnę, szpiegować.

Pepita słuchała z żywém zajęciem.

— Pani — zawołał Simonis — niema w tej chwili pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka! Gdyby nie pani, uciekłbym ztąd! Zważ pani położenie moje. Co mam począć? Zdradzić was nie mogę, zdradzić tamtych, to grozi śmiercią; ale mniejsza o śmierć: to grozi mi upodleniem, poniżeniem, którego od czasu jakem się zbliżył do was znieść nie potrafię. To przechodzi siły moje, brzydziłbym się sobą!

Baronówna podała mu rękę w milczeniu zarumieniona.

— Mogę wam służyć, nie winienem nic i nie mam obowiązków żadnych względem króla; lecz w ten sposób, nie! nie zdołam!

Rękami zakrył Simonis twarz.

— Co mam począć! co począć!

Baronówna stała zamyślona nie mówiąc słowa.

— Rozumiem — odezwała się głosem cichym — że są pewne granice, po za które żadne poświęcenie nie sięga. Honoru się nie poświęca...

— Powiedzże mi pani, jak się mam ratować!!

Baronówna przeszła się po pokoju...

— W istocie, rzecz to do rozwiązania trudna; ja za mało mam doświadczenia abym to potrafiła rozwiązać. Pan nam jesteś potrzebny. Gdybyś się ukrył na zamku, zamiast iść do obozu, mógłbyś się nam przydać tutaj; gdybyś do obozu się udawszy w nim pozostał, uszłoby to może za uwięzienie: król i Prusacy długo tu nie pobędą.

Z mowy niepewnej baronówny znać było, że sama nie wiedziała, ani co mu ma radzić, ani co z nim począć; żywe tylko rozdrażnienie malowało się na jej twarzy. Narzędzie to, na które tak rachowała, z rąk się jej wymykało.

Po namyśle pobiegła do drzwi i już biorąc za klamkę, ze spuszczoną głową, prawie nie patrząc nań — rzekła prędko: — Wybierz się pan, pożegnaj baronowę, przybądź tu, a naówczas zobaczymy co uczynić wypadnie.

Simonis nie miał czasu jej wstrzymać: zniknęła, poszedł więc i on spełnić dane rozkazy i napozór przygotować się do podróży. Domyślał się, iż Pepita musiała chcieć naradzić się z królową może, a z Brühlową pewnie, gdyż hrabina była główną sprężyną, około której obracały się wszystkie przeciw Prusakom wymierzone, dotąd bezsilne intrygi.

Max jeszcze był nie powrócił na zamek, gdy po korytarzu przechadzający się, jakby dla zabawki Masłowski, czatował na baronównę. Lękając się aby to polowanie zadługo nie trwało, pan Ksawery dał lokajowi *duser*, jak się to w języku dworskim zwało i poprosił go o wywołanie frejliny: w innych czasach byłoby to niemożliwem, ale od czasu wniścia Prusaków, działy się na dworze nigdy niesłychane rzeczy.

Baronówna wyszła natychmiast.

— Przepraszam żem panią śmiał fatygować — rzekł Masłowski — chciałem się opowiedzieć. Zdaje

mi się iż chwila nadeszła, w której mojego przyjaciela Simonisa, wypada mi uczynić „nieszkodliwym“. Wczorajszego wieczora powróciwszy ztąd, chodził w nocy do króla Fryderyka. Zdrajca jest...

— Nie, panie mój — odpowiedziała Pepita — nie; bo ja o tém wiem: iść tam musiał. Bądź cobądź, ja panu za jego czujność dziękuję serdecznie. Jesteś szlachetnym, jesteś zacnym.

Wyciągnęła mu rękę, a pan Ksawery pochwycił ją i namiętnie po polsku całować zaczął. Nie nawykła do takich gorących pocałunków, baronówna się zarumieniła, i rękę, jak oparzoną wyrwać musiała.

— Byłbym go zadławił! — zawołał — gdyby panią śmiał pomyśleć zdradzić; ale wie pani co, ja panią ubóstwiam, a jednak gdybyś mi tak, jak jemu na dwóch stołkach kazała siedzieć, darujesz, tegobym i dla niej nie potrafił.

— Spodziewam się, że i on tego nie uczyni — szepnęła baronówna, biorąc sługę swojego w obronę.

— Ano, przepraszam, żem chcąc usłużyć, na próżno pannę baronównę, niepotrzebnemi odwiedzinami memi niepokoił. Nie rozkaże mi pani nic? Zabić kogo? powiesić? udusić: dla pani gotów jestem!

Ton i wesołość z jaką Masłowski mówił, w tak dziwnej były sprzeczności z usposobieniem na zamku

panującym, iż baronówna z niejaką zazdrością spojrziała na młodego chłopaka, którego te sprawy tak mało obchodziły.

— Dziękuję panu — rzekła — i admiruję obojętność jego wśród tych nieszczęść, jakie nas spotykają. Pana to nic nie obchodzi?

— Jam tu zupełnie obcy, jam spektator, pani — zawołał Masłowski — a mam ten nieszczęśliwy nasz narodowy charakter, który nawet wśród najcięższych przygód własnych, zmusza do wesołości. Tak nas Pan Bóg stworzył!

— Nie macie się skarżyć na co — westchnęła Pepita.

— Wesołość ta nie odejmuje nam przytomości — mówił Masłowski — a jęk i narzekanie na nic się nie zdały. Ma mi pani co do rozkazania?

Pepita się zawahała.

— A gdyby ważnego co było do zanieśienia do obozu? odważyłbyś się waćpan?

— W ustach zaniosę co mi pani każe, papieru nie mogę: dystrakt jestem i gubię nawet własne pieniądze.

— Chwilkę pan poczekaj.

Baronówna znikła.

Masłowski zaczął już śpiewać, bo gdy nie mówił nic, świstał lub nucił, bezczynnym nie mogąc pozostać, gdy na korytarz wybiegł baron Spörken i szukać go zaczął oczyma. Obejrzał się czy ich

kto nie widzi, a potem wciągnął z sobą do pokoju.

— Możesz się pan dostać do obozu do Brühla?

— Jeżeli mnie Prusacy nie złapią.

— Ale właśnie trzeba się nie dać złapać...

— Nie mam najmniejszej ochoty do tego, bo mówią, że kogokolwiek do wojska zdatnego pochwyca, natychmiast mu wdziewają mundur, a ja do pruskiej służby się nie kwalifikuję.

— Idzie o to, aby zanieść ważne wiadomości.

— Ustnie? — dodał z przyciskiem Masłowski.

— Tak jest.

— Spróbuję: proszę o nie...

— Słowo, że ich nie wydasz? — spytał Spörken.

Masłowski się rozśmiał. — Prusakom? a za kogóż mnie pan masz?

— Słowo?

— Najuroczystsze!

Spörken poprowadził go pod okno.

— Fryderyk albo już wyruszył z Drezna — rzekł — lub dziś czy jutro wyjdzie. Wiemy plan jego... Chce obóz nasz odciąć od czeskiej granicy i uniemożliwić połączenie się nasze z Austryakami. Odcięci, nie zasposobieni w żywność, nie mając jak garść ludzi, których codziennie choroby, dezercya, a nawet niedostatek żywności dziesiątkują, jesteśmy zgubieni. Potrzeba ażeby Rutowski, jak skoro to będzie możliwem, wyruszył ku generałowi

Wied, nim Fryderyk drogi obsadzi. Widzisz pan, że od tego ocalenie nasze zależy.

— Rozumiem — zawołał Masłowski — są sposoby wydobycia się z Drezna, spróbuję czy też nie ma środka dostania się do Pirnej: zrobię co będę mógł.

Zegnał się już, gdy weszła promieniejąca baronówna.

— Idziesz pan?

— Nie wiem, idę, czy jadę, czy płynę — ale to wiem — zawołał Masłowski — iż mnie to bardzo bawi i pilno mi puścić się na awantury.

Skłonił się, Pepita podała mu znowu, zapomniawszy się rękę i zarumieniła się po pocałunku.

Masłowski biegł śpiewając po wschodach, gdy zwolna ciągnącego ku górze Simonisa spotkał.

— Dosyć że my we dwóch, musimy jak w kręglach kule spotykać się z sobą. Tym razem zegniam was kawalerze de Simoni, gdyż prawdopodobnie przez dni kilka nie będę mieć honoru...

— A waćpan dokąd?

— Na spacer! — zawołał kłaniając się Masłowski — adieu!

Przybywszy do Fuchsowej i swojego mieszkania, pan Ksawery mocno się zamyślił jak ma dokonać zamierzonej podróży. Gospodyni była już z tego powodu przywiązana do młodego wartogłowa, iż dosyć wiele był jej dłużnym.

— Kochana Fuchsowa! — rzekł zawoławszy jój Masłowski — boli mnie to nieskończenie, ale muszę cię pożegnać! służba służbą: Brühl w obozie i mnie do niego potrzeba.

Ręce załamując rzuciła się ku niemu gosposia. — *Herr Jese!* to być nie może... ja pana nie puszczę... pan wiesz... ojciec mi waćpana oddał w opiekę.

— Daj ty mi pokój z opieką taką, kiedy koszułe nawet nie pocerowane — odparł Masłowski — acani wiesz, że jak ja czego chcę, rozstap się ziemi! musi być! Lo Brühla się więc dostanę, ale powrócę zaraz; daję ci słowo, nie będę u niego siedział, jeżeli mnie Prusacy nie powieszają! To od was zależy pani Fuchsowa.

— Czyś waćpan oszalał?

— A tak jest, waćpani mi musisz dać kogós, co mnie do Pirny zaprowadzi i odprowadzi nazad.

Strzepnęła rękami wdowa, poczęły się targi ostre; lecz koniec końców, ku wieczorowi ucichło i Masłowski przed zwierciadełkiem wąsy golił. Tych młodych wąsów, takich ślicznych żal mu było, aż się na płacz zbierało.

Z jego pokoju i do jego pokoju wnoszono coś ciągle i wnoszono. Szeptano, biegano, naradzano się, a o mroku już zaszedł przed dom wóz, na którym siedział stary niemiec i stara baba. W pośrodku było coś takiego, jakby łoże podróżne dla chorego wysłane. Masłowskiego wcale nie było

widać, tylko z pomocą dziewczyny, zwlokła się chora kobieta, którą starannie położono i okryto. Fuchsowa stała we drzwiach zamyślona.

Wóz ruszył ku bramie do Pirny wiążącej, ale wprzód jeszcze zatrzymał się przed mieszkaniem komendanta Wylicha, w rynku, i stary niemiec wszedł doń.

Nierychło jednak wrócił do wozu, na którym baba siedziała z dwoma żołnierzami. Ci obejrzeni chorą kobietę leżącą, która głowę podniosła i zaraz na posłanie opadła, i jeden z nich towarzyszył przy wozie jadącym do Pirnajskiej bramy. Szczęściem zdążyli jeszcze w porę, nim capstrzyk odbębniło i wrota zamknięto. Żołnierz z rozkazu komendanta rozkazał przepuścić wóz i choć już mrok był znaczny, powlekli się powoli ku Pirnie. Na gościńcu, w dosyć znaczнім oddaleniu od miasta stały porozstawiane pruskie czaty.

Wszystkie przybiegały do wozu łajając, krzycząc i wstrzymując, dopóki im woźnica kartki komendanta nie pokazał.

Nakoniec późno w noc, strażę pruskie znikły; nowy gościniec był pusty, żywej na nim duszy: nawet z małych domków nadedrogą ludzie pouciekali i te pustkami stały. Nadedniem już, ponieważ błoto, wiatr i konie chude pospieszyć nie dozwalały, odezwało się „*werda?*“ saskie.

Woźnica drgnął, a chora kobieta porwała się z wozu tak, jak gdyby nigdy w życiu nie choro-

wała. Żołnierz stał na koniu z wykierowanym na jadących gardłaczem, lecz na bardzo wyrazistą z saskim akcentem odpowiedź woźnicy, wstrzymał się od nieprzyjaznych kroków. Chora kobieta domagała się, aby ich do generała Rutowskiego lub ministra Brühla prowadzono. Ponieważ patrol właśnie do Pirnej powracał, wóz żołnierzem otoczony, powlókł się dalej. Tylko chora kobieta zupełnie się zmieniła i tak z żołnierzami rozprawiła raźnie jak najzdrowszy mężczyzna.

Był też to w istocie pan Ksawery Masłowski, który tym dowcipnym sposobem, bardzo wygodnie i bezpiecznie dostał się już na terytorium zostające pod opieką wojska saskiego.

O godzinie ósmej rano, gdy Brühl jeszcze w szlafroku nad papierami siedział, niewiadomo czy odpowiedź króla pruskiego rozbierając, czy nowy list stylizując od Augusta III; oznajmiono mu, że paż jego Masłowski przybyły z Drezna, mówić z nim pragnie.

Brühl nie bardzo Masłowskiego lubił, więcej instynktem jakimś niż z jakichbądź powodów. Nie miał w istocie przeciwko niemu nic, ale ile razy sobie w oczy spojrzeli, minister w nich coś takiego czytał co mu się nie podobało. Masłowski nadto był śmiały. Dlatego czyniąc wybór mających mu towarzyszyć w podróży, pana Ksawerego zostawił w Dreźnie, nie przewidując jeszcze, iż wypadnie wprost z obozu udać się do Warszawy.

— Co waćpan tu robisz? — zawołał zdziwiony.

— Przynoszę W. excellencyi ukłon od pani hrabiny — rzekł spokojnie pan Ksawery — przybyłem z tém umyślnie.

— Kiedy? jak?

— W nocy, a, jak to trudno nawet opowiedzieć, dosyć żem cały dzięki Bogu!

— Masz waćpan pismo jakie?

— Niech Bóg uchowa: mam ustne polecenia.

Tu obejrzał się pan Masłowski i dał do zrozumienia, iż pragnąłby mówić na osobności.

Brühl wprowadził go do małego pokoiku zastawionego szkatułkami różnych wielkości. Zawierały one tabakierki, zegarki, klejnoty, pierścienie, które na wszelki wypadek minister zabrał był z sobą. Ciasne stosunkowo mieszkanie, wyciskało wielkiemu panu westchnienia i łązy niemal nad własnym losem. Nie miał więcęj nad dwadzieścia peruk z sobą i tyleż sukien, nie było przy nim więcęj nad dwudziestu ludzi do osobistęj posługi. Upokorzony był i znępany. Codziennie na modlitwie upominał się choć z pokorą, ale z pewnym naciskiem u Pana Boga o nagrodę za te ciężkie prywacye, które znosić był zmuszony dla chwały Bożęj! Szczególnięj w obozie pod Pirną, Brühl nadzwyczaj był skruszonym i pobożnym. Widywano go po kilka razy na dzień klęczącym ze złożonemi rękami pod krzyżem. Masłowski zdał mu sprawę ze swego poselstwa, Brühl słuchał jęj namarszczony, niekiedy

głową okazując nieukontentowanie i zdziwienie, jak gdyby to wszystko uważał za widziadła imaginacyi; kilka razy wyrwało mu się:

— Ale gdzież zaś...

W ostatku jakby zapomniawszy się, że ze skromnym panem Masłowskim ma do czynienia, zawołał głośno:

— Co im się śni! Fryderyk wkrótce będzie musiał sam uciekać, gdy go zewsząd w kluby weźmiemy... tego banitę!

I ramionami ruszył.

Nie odpowiadając Masłowskiego, posłał Brühl kartkę do generała Rutowskiego. Paź tymczasem poszedł spocząć z dawnymi towarzyszami, dopytującami go ciekawie o Drezno.

Gdy Rutowski nadszedł, powołano go, aby powtórzył z czém go generał Spörken wyprawił; słuchając téj powtórnej relacyi, Brühl dawał oznaki zniecierpliwienia.

— Jakto? pan generał to przyjmujesz za dobrą monetę? — zawołał.

— Za jak najlepszą, a w każdym razie daleko szacowniejszą niż fałszywe pieniądze, któremi Fryderyk nas zaléwa — odparł z uśmiechem smutnym Rutowski. — Niestety, nim się Rzesza niemiecka zbierze, nim Francuzi wyciągną, nim wkroczą Rosyanie, nim Austryacy przyjdą... my padniemy ofiarą. Wojsko nie ma co jeść! W szpitalach w Pirnie leży półtora tysiąca chorych żołnierzy!

Brühl się zżymnął.

— Nie ma wojny bez ofiar — zawołał — to darmo!

— Lękam się właśnie, by ofiary nie były daremne — odparł Rutowski.

— Cóż więc robić? — gniewnie, ale grzecznie spytał minister.

— Co najrychlej most dla przeprawy budować na Elbie i śpieszyć ku Peterswalde.

Brühl się skłonił.

— Nic nie mam przeciwko temu.

Rutowski jakby sobie coś przypomniał, zapytał Masłowskiego:

— Gdzie Fryderyk? w Dreźnie...

— Był na wyjeździe — odpowiedział paź. — Słyszałem też iż z Magdeburga Elbę dwieście pięćdziesiąt dział żelaznych, dla obsadzenia wałów i murów sprowadzić miano.

— Tém lepiej — odezwał się minister — zostaną one dla nas.

Rutowski przeszedł się po pokoju i nie odpowiedział nic. Wypowiadawszy się ze wszystkiego co miał, Masłowski, odszedł, dopraszając się tylko ażeby mógł co rychlej powrócić. Zbyto go niewyraźną odpowiedzią. Około dziesiątej przysłał Brühl, ażeby paź szedł z nim do króla; Augusta III dowiedział się od Rutowskiego o jego przybyciu i sam go chciał o Drezno rozpytać.

Właśnie kapelan królewski odprawiał był mszę na przenośnym ołtarzu w pokoju króla i sprzęt kapliczny wynoszono, a August III, tylko co był powstał z klęcznika, gdy Masłowski został wprowadzony.

Minister dał mu wprzódę dokładną instrukcyą, co i jak miał mówić przed królem, oszczędzając niepotrzebnego zmartwienia. August popatrział na wchodzącego i długo nie odzywał się wcale.

— Co się dzieje z teatrem? — spytał.

Brühl nie dał odpowiedzi Masłowskiemu, skinął na niego groźnie i sam począł:

— Właśnie oto powiada mi, iż całkiem fałszywie rozgłoszono, jakoby król pruski...

— Nazywaj go margrabią brandeburskim — przerwał król.

— Tak, N. Panie, margrabia brandeburski nie rozpuścił teatru i artystów, ale oni sami oświadczyli, iż przez miłość dla W. Kr. Mości, dla nikogo śpiewać i grać, przed nikim się popisywać nie chcą, dopóki król ich ubóstwiany do swęj stolicy nie wróci. Napróżno chciano ich zmuszać, różno kuszono złotem: oparli się.

Król się uśmiechnął.

— *Bravi!* — zawołał — Bóg da, że im to nagrodzę; zobaczycie: powiedzcie im to.

— Dopiero wskutek tego oporu — dokończył Brühl — pensye im odjęto.

— Każę im zaliczyć to wszystko...

— A hr. Loss, a ministeryum nasze?— dodał król.

Masłowski nie miał czasu odezwać się, gdy minister rzekł żywo:

Wszystko funkcyonuje, w jak największym porządku: nie ośmielono się ich tknąć.

Król odchrząknął.

— Cóż się dzieje z galeryą? był w galeryi Fryderyk?

Na to pytanie Brühl nie umiał odpowiedzieć, ale nie sądził, ażeby niebezpieczeństwem groziło danie swobody Masłowskiemu.

— N. Panie! — odezwał się paź — wiem, że król, a raczej margrabia brandeburski, kazał sobie galeryą otworzyć Heineckenowi.

August wstał trochę przełękły.

— Nic nie zginęło!!

— Nic nie tknięto, nic...

— Bogu i świętym patronom niech będą dzięki!! westchnął August.

— A cóż mówił? co mówił?

— Heinecken powiada, że admirował bardzo.

— Jednak admirował, a nie wiesz co najbardziej?

— Magdaleny Battoniego¹⁾.

Rozpromienioną twarz, dziwnie uśmiechniętą podniósł król do góry.

¹⁾ Historyczne

— Nie przeczę, piękna jest, ale do Corregia!... Nie dokończył, z politowaniem się uśmiechając ciągle...

— Znacze! znacze! — rzekł szydersko — Madonna Syxtyńska nic... Tycyan nic... Weronese nic... tylko Battoni. Margrabia brandeburski!...

— Samo nazwisko malarza, przypominające kij — odezwał się Brühl — musiało mu sympatyą margrabiego pozyskać.

Usłyszawszy to król, zaniósł się od śmiechu, ale wnet jak przestraszony tym wybuchem, usta sobie zatulił — i rzekł — pst! grożąc Brühlowi.

Zaczął potem August pytać o królowę, o dzieci młodsze, o kościół, o ks. Guaryniego, i naostatek o panią Brühlową.

Masłowski zapewnił, że wszyscy byli zdrowi; spytano czy parku około pałacu Moszyńskich nie uszkodzono i o tém podobne fraszki.

Masłowski o mało się nie wygadał o działach jadących z Magdeburga, ale Brühl czémś inném mu przerwał. O piecach wystawionych nad Elbą dla wypieku chleba żołnierzy, król już wiedział, lękał się o zwierzyniec swój i o bażantarnie. Paź upewnił, iż dotąd były nietknięte. Nastąpiła kwestya o ogary myśliwskie, o które się August domagał, aby mu je tu w jakikolwiek sposób przysłać się starano.

— Co ja bez nich pocznę! ja jestem najnie-szczęśliwszy — zawołał — póki ich mieć nie będę.

— Gdybyś W. Kr. Mość chwilowo, dla sejmu przeniósł się do Warszawy — wtrącił Brühl — tambyśmy znaleźli psiarnię.

— Jaką psiarnię! — westchnął August. — Fleta, Akteona, Lutni, Sezostrysa tam mieć nie będę!

Brühl chcąc smutek ten rozerwać, z pogardą odezwał się o charcikach margrabi; ale to króla nie rozweseliło.

— Myśliwstwo warszawskie — dodał N. Pan — nie wiele warte zapewne, lepsze niż nie; ale tam takich jak ja, psów nie mają.

Minister zapewnił, iż podobnych nie było w całej Europie, i że książę Richelieu za łaskę się domagał parę szczeniąt dla króla Ludwika.

To nieco rozjaśniło czoło pańskie. Masłowski stał ciągle w progu, bo jeszcze rzucano mu jakieś pytanie, na które najczęściej sam minister w imieniu jego fantazyjnie i niekoniecznie zgodnie z prawdą odpowiadał.

Długie badanie skończyło się nareszcie, Masłowski przypuszczonym został do pocałowania ręki królewskiej i odszedł. W godzinę potem Brühl go powołał do siebie i kazał mu oświadczyć w Dreźnie, aby próbę tę od Boga zesłaną znoszono cierpliwie; że ona długo trwać nie może, a skończy się znamienitym tryumfem; iż wojska saskie wkrótce się z austryackimi połączą i wygnają z kraju nie-

przyjaciela: słowem, że wszystko szło zgodnie z planami jego, które musiały nieomylnie prowadzić Prusy do upadku, a Saksonią do potęgi i sławy!

V.

Było to dnia 14 października 1756 roku, w dniu, który żałobną pamięcią zapisał się w dziejach Augusta III. Zima zbliżała się, ale wojny przerwać nie mogła; z obu stron gromadziły się siły, poruszały oddziały i nieustanna walka na granicy, prawie zawsze na korzyść Prusaków wychodziła.

Miesiąc upływał od czasu, gdyśmy w Pirnie króla widzieli; on i Brühl z całym dworem lękając się wpaść w ręce nie szanującego króla pruskiego, przenieśli się do Koenigsteinu, w którym tyle ofiar wprzód lata powolnej męczarni spędziło. U stóp twierdzy odegrywała się ostatnia scena pierwszego aktu tego dramatu, w dziejach zowiącego się siedmioletnią wojną.

Wkrótce po oznajmieniu generała Spörkena, iż wojska pruskie usiłować będą odciąć obóz od czeskiej granicy, Fryderyk w istocie śmiałym marszem wystąpił pod Lowositz i pierwsze odniósł tam zwycięstwo.

Po niém był już prawie panem wojska saskiego, które nierychło zebrawszy się na zbudowanie mo-

stu pod osłoną twierdzy w Koenigsteinie, przeszło go mglistą nocą z dnia 13 na 14 i znalazło się wycieńczone trzydniowym głodem, a więcej niż czterotygodniową blokadą, w rękach oczekujących już na nie Prusaków. Nie pozostawało już nic nad zdanie się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela. Generał Rutowski ze swojemi 16,000 kapitulować musiał. Wszystkie wąwozy, drogi, przejścia zawczasu były obsadzone.

Pułki saskie rade nierade, siłą wcielone zostały do armii Fryderyka, który nawet gwardyi Augusta uwolnić nie chciał, aby jak mówił, drugi raz ją brać w niewolę nie był zmuszony. Oficerów tylko na słowo puszczono. Saxonia była bezsilną w rękach zdobywcy, który ze zwycięstwem łączył to nielitościwe, cyniczne szyderstwo, które go cechowało.

Z wierzchołka niezdobytéj twierdzy, Brühl widzieć mógł zastęp ostatnich obrońców kraju, który jego winą wpadł w ręce nieprzyjaciela, składających broń i wdziwiających sinoczerwone barwy pruskie. Królowi i teraz jeszcze, wraz z Brühlem, którego imienia Fryderyk wymówić ani napisać nigdy nie chciał, ofiarowano paszporta do Polski, dodając przestrogę, iż się przecież na sejm wypadało pospieszyć.

W tak rozpaczliwém położeniu, do którego przywiódł Saxonię zarozumiały a słaby minister, umiał on jeszcze Augusta III-go pocieszać tém, iż

zwycięstwo pozorne Prusaków krótko trwać miało. Lada chwila sprzymierzeni wszyscy runąć musieli i obalić miotającego się rozpaczliwie Fryderyka. August III wzdychał, a pocichu przypominał, że najlepsza pora jesienna do polowania, bezpowrotnie przepadła. Saxonią odzyskać było można, ale nie stracone łowy! Na Koenigsteinie też smutne było życie: te mury, do których tyle westchnień i jęków przylgnęło, zdawały się rozpacz i smutek wyziewać.

Tegoż dnia 14 października, po mglistej nocy, w chłodny poranek, kwatery króla Fryderyka znajdowała się w małej wioszczynie u stóp góry niedaleko Lilienstein. Feldmarszałek Keith, któremu poleconem było spisanie kapitulacyi, zajmował obszerniejsze nieco domostwo; król swym obyczajem, z pewną ostentacją surowego żołnierza mieścił się w ciasnym domku, w którym żadnych wygod nie było. Z tej izdebki nagięj dyktował on rozkazy i rozporządzał zabranami kilkunastu tysiącami niewolnika, który wojsko jego miał zwiększyć. Rozesławszy generałów, z jednym majorem Wagenheimem na dyżurze, naprzeciw rozpalonego ognia na kominie siedział Fryderyk zamyślony, trzymając na kolanach ulubioną charcicę. Na prostym stoliku leżało kilka książek i kilka kart atramentem poplamionych, obok nich na talerzu stały jabłka i gruszki, które król przez cały dzień jadł chętnie. Kilkunastu żołnierzy składało straż całą. Milcze-

nie panowało w domku, do którego niekiedy wpadali adjutanci po rozkazy i zbyci kilku słowami, natychmiast do kwatery feldmarszałka wracali.

W tym człowieku zmęczonym, okrytym ładajakim mundurem, zbłoconym i opylonym, którego twarz więcej przebiegłości i energii, niż geniuszu zdradzała; trudno było poznać króla i wodza. Nie w nim nie było dla oka ludzkiego, dla opanowania ludzi i olśnienia ich wielkością; w stroju i postawie odbijał się charakter pogardzający człowiekiem i świadomy tego jednego, iż siłą na nim wszystko wymódz można. Z okien tego domku i izby widać było w oddaleniu majestatyczny, wspięty na skale Koenigstein. Oko Fryderyka zwracało się czasem na te mury, nie zatrzymując się na nich długo: uśmiech naówczas przebiegał usta.

Na ten dzień dosyć długo czekał, dość się nad nim napracował zwycięzca, a jednak rozpromienienia z twarzy widać nie było, raczej troskę i zamyslenie. Dla innych był to krok stanowczy, on widział, iż wojna zaledwie była rozpoczęta, świetnie wprawdzie; lecz ileż razy wiele obiecujący początek zawodem się kończy??

Wangenheim wszedł powoli.

Fryderyk twarz ku niemu obrócił.

— Generał Bellegarde z listem króla polskiego...

Skinał aby go proszono.

Słusznego zwrostu, piękny mężczyzna, w mundurze, z twarzą smutną wszedł na próg i skłonił się przed Fryderykiem.

— Dzień dobry generałowi, jak się on ma? . . . z czém-że tam? . . .

— Bellegarde długo się wachał, nim usta otworzył.

— Jeśli on chce odemnie jakiegokolwiek ulgi w kapitulacyi, to napróżno — odezwał się Fryderyk. — Nie mogę. Jestem do tego zmuszony co czynię; często mimowoli, z musu . . .

— Jednakże gwardya, N. Panie! — odezwał się Bellegarde.

— Poco mu gwardya? Niech jedzie do Warszawy, tam ma pospolite ruszenie panów „nie pozwalam“ . . . Nie ma tu czego siedzieć . . . Wasz minister, którego imię gdybym ja wymówił, usta by mi splamiło; wasz to minister na mnie naszczuł Europę całą; a jednak tego szacownego półgłówka puszczam wolno, ażeby się król w drodze nie nudził. Dam mu paszporta, niech rusza i poluje!!

Bellegarde stał poważny, na rozmowę w tym tonie nie znajdując odpowiedzi.

Fryderyk spojrział nań.

— Powiedz generale, królowi, że go szanuję, że mu dobrze życzę, ale sobie jeszcze lepiej. Trudno, bym pozwolił się zredukować, jakeście chcieli

na margrabię Brandeburga; wolę aby kurfirst saski zszedł na Miśnieńskiego Landgrafa!!

Niech do Polski jedzie: zawsze mu zostało królestwo tak bogate w lasy jak żadne a ja oskoczony, muszę się bronić, nie mając piędzi ziemi bezpiecznej.

Po chwili podniósł głowę.

— Król JM. prosi o gwardyą! — powtórzył generał.

— To próżno! boleję nad tem, ale jej nie puszczę, aby nie poszła zwiększyć austryackiej siły.

Pozdrów króla odemnie. Paszporta gotowe: niech na Wrocław jedzie: drogi bezpieczne i przepęgi mieć będzie dobre.

Bellegarde stał jeszcze, gdy Fryderyk odwrócił się, pogięty kapelusze uniósł nieco i skinął głową:

— Nie mogę więcej, adieu...

Generał wyszedł wzdychając, a król oczyma za nim pogonił.

Zaledwie się drzwi zamkneły, gdy major Wangerheim wszedł.

— W. Kr. Mość pozwolisz mi więźnia tego przypomnieć?

— Jakiego?

— Młodego Polaka, którego przed kilku tygodniami wzięto, gdy się z Pirnej do Drezna chciał dostać.

Polaka! — odezwał się król — który się tak zuchwale stawiał?

— Lecz nie przy nim nie znaleziono, a przez czas jak jest pod strażą, mogliśmy się przekonać, iż wcale Sasom nie sprzyja. W. Kr. Mość byłś łaskaw przyrzec mu uwolnienie, ośmielam się za nim wstawić.

Fryderyk pomyślał.

— Niech mi go tu przyprowadzą.

Wangenheim wyszedł, a w kwadrans potém dwóch żołnierzy przywiodło do drzwi odertego Masłowskiego, odzianego w kożuszek stary, w chodaki zamiast butów, bez czapki, podobniejszego do włóczęgi niż do owego śmiejącego się chłopaka, który tak rażno dawniej na świat spoglądał.

Nędza ta jednak i niewola, choć go wymizerowały, nie odjęły mu ani dawniej buty, ani tój wesołości rozpaczliwej, która czasem w pewnych charakterach na rusztowanie nawet towarzyszy.

— Wprowadzony Masłowski stanął u drzwi w milczeniu.

Fryderyk na niego z pogardą popatrzał, a potém rzekł:

— A co, wypościł się on?

— Z łaski W. Kr. Mości — krótko rzekł Masłowski — dosyć.

— A drwa pan szlachcie rąbał?

— Tak jest, N. Panie.

— I wodę nosił?

— Tak jest, N. Panie.

— Niech-że wie, że ja zuchwałych odpowiedzi nie lubię — zawołał Fryderyk i żywo dodał:

— W wojsku on nie chce służyć?

— Nie życzę sobie.

— Może w saskim?

— Ani w pruskim, ani saskim.

— A w jakimże?

— We własnym lub żadnym.

Król zamilkł, parsknął śmiechem i powoli wymówił przesadnie: „Nie pozwalam!”

Na bladą twarz Masłowskiego wystąpił rumieniec.

— Fort! wracaj sobie do Drezna, lub jedź z królem polować na niedźwiedzie. Żołnierza z ciebie dobrego nie będzie, bo gdybyś lepszym był, o pozwolenieby cię nie pytał, poszedłbyś pod karabin i basta.

Król podniósł kij groźnie i powtórzył — *Fort!*

Masłowski się odwrócił do wyjścia, a Wangenheim wskazał mu, drzwi otworzywszy, drogę, gdy w sieniach chaty pan Ksawery, oko w oko spotkał się tu z bardzo dziwnym zjawiskiem, które go powstrzymało zdumionego.

Stało tu dwóch ichmościów, *Cabinet* sekretarzy J. Kr. Mości, w rodzaju mundurków dosyć nieporęcznych, z papierami pod pachą. Czekali widać, ażeby ich zawołano. Jeden z nich pociesznie pękaty i mały, w peruce z lokami nad uchem i harcapkiem z jasną wstążką, żuł coś w ustach, korzystając z wolnego czasu, widocznie nie interesu-

jąc się wcale t \acute{e} m co się koło niego działo. Kiedy niekiedy r \acute{e} k \acute{a} sięgał do kieszeni, wyjmował co \acute{s} z ni \acute{e} j i sypał do gęby, pracowicie natychmiast obracając ten materyał pożywny zębami. Na wygolon \acute{e} j twarzy znać było ruchy muskuł \acute{o} w popieszne, pozwalające odgadywać godną łapczywość. Drugi obok z miną roztargnioną, tak się zdał Masłowskiemu do Simonisa podobnym, iż na chwilę osłupiał. Nie musiał to jednak być ów elegant kawaler, chocia \acute{z} twarz nadzwyczaj go przypominała, bo spojrzawszy na Masłowskiego, nie okazał najmni \acute{e} j a \acute{z} eby go poznał. Owszem, z uwagą nań popatrział, ale z obojętnością zupełną i oczy zaraz ku drzwiom obrócił. P. Ksawery stał jeszcze niewiedząc czy mu się przypomnieć, czy go spytać, gdy major Wangenheim powtórzył mu rozkaz kr \acute{o} la, aby dopóki wolnym jest, ruszał gdzie chce. Radził mu, co najbli \acute{z} e \acute{j} dostać się do Koenigsteinu do Brühla, gdzieby odzież lepszą mógł dostać.

Nieszczęśliwego Masłowskiego, gdy po sprawie poselstwa przedzierał się do Drezna, schwycały były plac \acute{o} wki pruskie. Zaprowadzono go do gł \acute{o} wnej kwatery, okrzyczano szpiegiem. Zrazu była mowa o rozstrzelaniu. Zimna krew, przytomność, obce mo \acute{z} e pochodzenie, brak wszelkich dowod \acute{o} w, tłumaczenie się śmiałe, zjednały chłopcu opiekę starszyny wojskowej. Powiedziano o nim kr \acute{o} lowi, który z pocz \acute{a} tku kazał go by \acute{t} wcielić do wojska: Masłowski się temu oparł. Stawiony przed kr \acute{o} -

lem, powiedział że jest szlachcicem polskim, z czego Fryderyk drwił tylko sobie; jednakże trochę francuzczyzny a wiele przytomności umysłu, wyjednały mu tyle względów u króla, iż mu dał do wyboru: albo drwa rabać i wodę nosić przy obozie, lub wdziać mundur. Wodzano go za obozem z kilką innymi więźniami, aż go major Wangenheim wyprosił.

P. Ksawery mógł się pochwalić, że przetrwał jedną z najcięższych prób, jakie w czasie wojny spotkać mogą, i to zwycięzko. Na chwilę nawet, przy chłodzie, głodzie, wśród znęcania się i urągawiska żołnierzy, nie opuściła go krew zimna i humor wesoly. Ci co mu dokuczali, wydziwić się nie mogli praktycznej filozofii chłopaka i nieustraszonemu jego męztwu. W czasie bitwy pod Lowositz, na chwilę był w ogniu najstraszniejszym, wlażł na wóz, patrzył na potykających się, śmiał się i bił brawo. Ta odwaga jednała mu podziwienie i serca. Zdawało się, że człowiek z takim usposobieniem, powinien był nabrać smaku do wojennego rzemiosła; lecz Masłowski na ponowione propozycje odpowiadał, że woli z musu nosić wodę, niż z ochoty bić się za Prusaków.

Wangenheim o tym osobliwszym oryginale mówił podobno Fryderykowi, a król z przekąsem nazywał go „*panem niepozwalam*”; koniec końców uwolnić go jednak kazano. Nie pozostawało Masłowskiemu nic innego, tylko dostać się do naj-

bliższego Koenigsteinu, bo w stroju jaki miał do Drezna w zimną porę, trudno się było wybierać. Strój ten, jakśmy mówili, składał się ze zgrzebnej, bardzo brudnej koszuli, w części dziurawej; ze szkaradnego, zatłuszczonego kożuszka dziurawego, także ze spodni płóciennych i chodaków, które niegdyś były skórzane, a trzymały się tylko dzięki miernie poczepianym sznurkom. To co się nazywało czapką, było w istocie kawałem łachmana, w którym mógł się bardzo domyślny znawca, dobadać resztki futra i tkaniny, która suknem być mogła. Nadto Masłowski nie posiadał narazie więcej, oprócz kawałka prostego sznura, znalezione go gdzieś na drodze, którym się opasywał. Wymizerowany był strasznie, a mimo biędzy, oczy mu się śmiały i usta drgały, byle cośkolwiek zabawniejszego nad żołnierzy pruskich zobaczyć. Na polu bitwy pod Lowositz zdobył był sobie płaszcz, buty i niejaki zasób po austriackim oficerze, z którego trupem się spotkał; lecz w kilka godzin gwardya J. Kr. Mości łup ten sobie przynależny odebrała.

Masłowski jeszcze stał przypatrując się temu mniemanemu czy prawdziwemu Simonisowi, który go wcale znać nie chciał; gdy Wangenheim szepnął mu, aby do kancelaryi poszedł po bilet, za którymby mógł się dostać do Koenigsteinu.

I w tej chwili zwrócił się do stojących Cabinet-sekretarzy króla.

— Niech który z panów pójdzie napisać uwolnienie temu panu.

Z dwóch kandydatów do pisania, pierwszy który był zajęty pożywaniem tajemniczego zapasu wydobywanego z kieszyni, uczynił taki ruch, jakby mu niezmiernie było pilno spełnić rozkaz; lecz w ruchu tym, napozór gwałtownym, łatwo było dostrzedz, że mimo pośpiechu rad się był dać swemu koledze wyprzedzić. Poruszał się bowiem w miejscu, nogami tupiąc, przechylając, ale zarazem w zgarnianiu papierów trzymany, szukając pretekstu do pozostania. Simonis czy też jego Sozia zdawał się nie chcieć zrozumieć, że rozkaz się do niego stosował.

Skutkiem tego żaden z nich się nie ruszył, a major zniecierpliwiony, zawołał palcem wskazując pierwszego:

— Proszę iść, napisać bilet . . .

Masłowski tak był nawykły do podrzędnej roli, iż za próg się nie ruszył pierwszy. Widocznie nie rad z danego mu polecenia Simonis, (nazwijmy go tym imieniem) milcząc wyszedł szybko, nieoglądając się za siebie, wprost do domku sąsiedniego, w którym pracowali wojskowi pisarze i kancelarya przyboczna. Nie wielka przestrzeń rozdzielała go od kwatery króla. Masłowski wysunawszy się za nim natychmiast, napróżno usiłował dogonić idącego przodem, który jakby naumyślnie pośpieszał

i doszedł drzwi kancelaryi, nim pan Ksawery mógł za nim zdażyć.

Aż nadto było widocznem, iż unikał spotkania z więźniem, co pana Masłowskiego utwierdziło w przekonaniu, iż to był prawdziwy Simonis. Jaką on tu grał rolę? sługi czy zdrajcy? odgadnąć było trudno. W razie gdyby drugą przyjął na siebie, trzeba mu było przyznać odwagę niepospolitą: Masłowski się jęj po nim nie spodziewał. Bądź co bądź jakimś zdrajcą był zawsze Simonis, albo króla pruskiego lub dwór saski poświęciwszy dla widoków swoich.

Panu Ksaweremu sprawiło to pewnego rodzaju obrzydliwość i obudzało w nim pogardę.

Gdy za Simonisem wszedł do małej izby, w której się znajdowali pisarze, znalazł tu ścisk, gwar i wrzawę, tak, że trudno się czego było dopytać. Niepodobne to było wcale do królewskiej kancelaryi, ale raczej do jakiejś kordygardy i gospody. Żołnierze różnej broni, obdartusy najosobliwsze, więźniowie, księża, przekupki, wszystkiego tu było pełno. Do stołów przy których pisano, docisnąć się było trudno. Pan Ksawery od progu się przypatrywał temu malowniczemu widokowi, gdy go z piórem za uchem, pisarzyna wezwał do drugiej izby. W tej już się był skrył ów Simonis. Była to kancelarya osobna sekretarzy gabinetowych, mało co porządniejsza od pierwszej, ale przynajmniej nie-

dostępna dla tłumy. Tu już za stołem przybyły sekretarz zajęty był pisaniem.

Masłowski w progu stanąwszy nie spuszczał go z oka.

— Dokąd się waćpan chcesz udać? — nie podnosząc nań oczów spytał piszący.

— Przez Koenigstein do Drezna, bo przynajmniej buty i koszulę spodziewam się dostać u J. Kr. Mości, jeżeli król ma ich dwie pary.

Simonis nie odpowiedział, widocznie znać nie chciał Masłowskiego, chociaż głos jego zdradzał, i już omylić się ani wątpić nie było podobna.

— Czy mogę panu sekretarzowi — rzekł cicho Masłowski — służyć czém, jeżeli szczęśliwie do Drezna dopłynę?

Czekał na odpowiedź, ale tój nie otrzymał. Po pewnym przestanku, w ciągu którego pilno zajmował się pisaniem sekretarz, podniósł głowę, spojrzął na Masłowskiego, namarszczył się i palec położywszy na ustach, wnet się wziął znowu do wyciskania pieczęci na bilecie.

P. Ksawery nie już nie mówił nawet, uśmiechał się tylko szydersko. Simonis przygotowany bilet porzuciwszy na stoliku, wybiegł do pierwszej izby wrzawliwej, zahałasował tam bardzo, pokręcił się, wrócił, drzwiami okrutnie trzasnął za sobą, obejrzał się w okno poza którym chodziła straż, kiedy niekiedy się ukazująca za szybami; pobiegł do szafki, wziął

z półki kawałek chleba razowego i przybliżywszy się do Masłowskiego wcisnął mu go w rękę, szepnąwszy: „Spörken na zamku...“ Potém co najprędziej chwycił bilet już gotowy i począł po niemiecku krzyczeć na cały głos na Masłowskiego, aby sobie szedł do djabła, dopóki cały. Otworzył mu drzwi łajac jeszcze i zawołał na cały głos:

— Wynoś mi się!

P. Ksaweremu na śmiech się zbierało, ale chleb za koszulę wcisnąwszy, wyszedł bilet trzymając w rękę. Nie miał już tu co robić, obejrzał się tylko ku obozowi saskiemu, w którym zamęt i hałas panował niesłychany, aże jeszcze most, którym wojsko w nocy przeszło, stał naprzeciwko Koenigsteinu, powoli się kierował ku niemu. Po drodze pełno spotykał Prusaków, którzy już dokoła Sasów posterunki zajmowali. Naprawdę téż, oprócz oficerów, trudno było jedno wojsko od drugiego rozpoznać; głodnym Sasom dano chleba, piwa i wódki i wszyscy pospołu z Prusakami chciwie się odżywiali, bo od dni trzech mało który co miał w gębie. Po drodze leżały konie zdechłe, wozy połamane i ludzie, którym nagłe osłabienie lub choroba dalej iść nie pozwoliła. Widok to był straszny i litość obudzający. Nie było jednak komu litować się i ratować, tak każdy sobą i własnym losem był zajęty. Masłowski szedł, stawał, patrzył ale i jemu spieszyć się trzeba było, bo i on ostatnich dni wiele sił stracił, a pomódz nikomu nie mógł.

Po razy kilka zatrzymywały go strażę pruskie, pokazywał swój pas i szedł dalej. Minęło go kilku saskich oficerów puszczonych na słowo, popatrzeni i poszli. Most na rzece jeszcze był cały, przeszedłszy go powoli, skierował się na zamek. Tu resztki gwardyi szczupłe, straż trzymały u bramy. Wdrapawszy się na górę i wpuszczony przez sklepienie wrota do środka, p. Ksawery zaraz w nich spotkał się z Wernerem, paziem Brühla, który poznawszy go krzyknął.

— Prowadź mnie — rzekł — do J. Excell., żebym przynajmniej miał się w co odziać i powrócić do Drezna.

Trudno się tu było czegokolwiek dopytać, taki popłoch panował na zamku. Werner przy najlepszej chęci usłużenia dawnemu towarzyszowi, nie mógł narazie lepiej mu się przysłużyć, jak wprowadzając go do ciepłej izby i obiecując jedzenie.

Wypocząwszy i odzyskawszy swój humor, Masłowski potrafił nawet już między paziemi nabyć sobie na kredyt ubranie porządne i ciepłe, nie chciał go jednak włożyć, pragnąc przedstawić się ministrowi tak, jak z niewoli powrócił.

Z południa ledwie wezwano go do domu komendanta, w którym i król i Brühl się schronili. Minister widząc zbliżającego się odartego człowieka, cofnął się ze wstrętem przed nim, gdy Masłowski dał się mu poznać.

Załamął ręce Brühl.

— Co się z waćpanem działo?

— Tak mi się służba przy boku W. Ekscelencyi poszczęściła — rzekł Ksawery — iż na całe życie będę miał co opowiadać i o czém pamiętać.

— Jakim sposobem?

Masłowski przerwał.

— Opowiadać W. Ekscelencyi takie smutne przygody moje, byłoby zadługo, dosyć że mnie Prusacy zmusić chcieli do służby i miesiąc im drwa rąbać musiałem, nie chcąc karabina nosić; nareszcie mnie uwolniono.

— Pomścimy się za to wszystko! — szepnął Brühl, A cóż waćpan myślisz robić z sobą?

— Ja muszę do Drezna — rzekł Masłowski. — Ztamtąd prawdopodobnie na Wrocław do Polski powrócę, bo tu się już W. Ekscelencyi przydać nie mogę.

— Jakto? i owszem — zawołał Brühl — dwór mój rozbity. My prawdopodobnie też do Polski na jakiś czas z królem się udamy. Waćpan zostaniesz przy mnie.

Masłowski się skłonił.

— Ale proszę W. Ekscelencyi o pozwolenie udania się do Drezna, bo tam wszystko co mam zostało, a w dodatku i długi.

Brühl roztargniony nie zdawał się słuchać, chodził po izbie z namarszczoném czołem.

— Gdzie waćpana trzymano? — zapytał.

— Przy wojsku, razem z połapanemi włóczęgami. Wycierpiałem wiele, lecz nabrałem doświadczenia: nie skarżę się.

— Cóż to tam za wojsko tego króla — przerwał Brühl — to zbierana drużyna, kupa rozbójników, obieżyświaty; kogo tam nie ma: to być musi lichota!

— To prawda — rzekł Masłowski — ale kij i groźba trzyma to w takiej ryzie, że ot biją najprawowitszych w świecie Austryaków.

— Przypadek i nieopatrność — szepnął Brühl. Zamilkł i zbliżywszy się do Masłowskiego zapytał cicho:

— Słyszałeś waćpan co? cóż myślą dalej? Co mówią o dekreście banicyi, krórej Rzesza wydała przeciw królowi?

— Śmieją się — rzekł Masłowski.

Brühl spojrział srogo.

— Jak? cóż to ma znaczyć?

— Ale bo to ta nieszczęśliwa omyłka druku!

— Jaka?

Brühl nie wiedział nic. W istocie drukowany dekret zawierał najszkaradniejszy *lapsus*, jakiego się mógł zecer kiedy dopuścić. Któż wie czy nie popełniono go umyślnie. „*Spieszące* posiłki państwa“ drukarz zmienił na *nędzne* posiłki¹⁾.

¹⁾ Zamiast *Eilenden Reichshilfe*, wydrukowano: *Elende*.

Niesmiało wytłumaczył Masłowski, co się w dekrete znajdowało. Minister zamilkł.

— Król J. pruski—dodał— wszystko to przypisuje W. Ekscelencyi, do której ma największy żal; to też w obozie nieraz się słyszeć dawały odgródki, że skoro czas będzie potemu, oczyszczą Prusacy i kamienia na kamieniu nie zostawią, w dobrach W. Ekscelencyi w Nischwitz pod Wurzen, w Grochwitz pod Herzbergien, a nawet na zamku w Pforten na Łużycach.

— Niedoczekanie ich! — mruknął Brühl.

Masłowski uzyskawszy tytułem pożyczki zasiłek i pożegnawszy ministra, który dłuższej rozmowy unikał, wybrał się do towarzyszków. Nazajutrz miał odjeżdżać do Drezna, generał Bellegarde przy nim więc wybrać się postanowił.

Prusacy od czasu osadzenia i zabrania w niewolę Sasów, daleko mniej się obawiając, nie pilnowali już tak komunikacyi pomiędzy Dreznem a resztą kraju. Królowi dozwolono ściągnąć ztamtąd co mu do podróży było potrzebem, gdyż stanowczo za sześć dni do Polski jechać wprost miano. August III najmocniej przekonany, iż to wygnanie długo się przeciągnąć nie może, przyspieszał sam wybór na sejm i wypoczynek w Warszawie. Brühlowi też dosyć było pilno wyrwać się z zasadzki i znaleźć dalej nieco od nieprzyjaciela, który się nań odgrażał.

. Nie zapomniawszy o owym kawałku razowego chleba, przeznaczonym dla Spörkena, p. Ksawery

umyty, uczesany, odziany, podobniejszy do człowieka, weselszy coraz, dosiadł jakiegoś lichego konia pożyczonego mu tutaj i pokłusował za generałem do Drezna.

Dostał się tu jeszcze w porę, aby po miesięcznej przeszłości niebytności dostrzedz niezmierną różnicę między ową stalicą Augusta mocnego i słabego, a miastem zajętem przez pruską załogę.

Nietknięto wprawdzie zamku, w którym królowa, niezważając na nieprzyjemności spotykające ją i niebezpieczeństwo na jakie narażoną być mogła, chciała pozostać do końca; lecz przebrzmiała w nim muzyka, teatr był zamknięty, włosi rozpedzeni, liczny dwór zmniejszył się dezercyą, prześladowaniem, brakiem funduszków na jego utrzymanie. Król Fryderyk, który całą zajmował Saksonię i kiedy niekiedy wypłacał coś komuś fałszywemi pieniędzmi, które umyślnie na te ciężkie czasy bić kazał, królowej pensyi odmówił, życząc aby się o nią udała do męża i ministra.

Cicho więc i smutno a pusto było na zamku królowej.

W mieście królowało wojsko i militaryjny pannał porządek. Na wałach i murach ustawiono już owe magdeburskie działa, w pysznym pałacu japońskim zrobiono skład słomy dla wojska; koszary na Nowém mieście, gmach korpusu kadetów, ge-wardhaus, ratusz zmieniły się na lazarety, do których zwieziono rannych z pod Lowositz i ze wszy-

stkich utarczek. W ulicach więcej widać było wojskowych niż mieszczan i ludu. Nad Elbą dwadzieścia kilka pieców z saskiej mąki, na saskiem drzewie wypiekało chleb dla żołnierzy Fryderyka. Generał Wylich rządził w mieście. Z rozkazu protektora Saksonii, wprowadzając słuszną oszczędność, kancelaryom ze 190,000 talarów, pensją zredukowano do trzydziestu. Talary z dobrego srebra zabierano do kas pruskich, a mieniano je na Efraimy różnego rodzaju, w których miedzi więcej niż srebra było.

Masłowski wjechawszy do Drezna poznać go nie mógł: ani owych lektyk złożonych, ani świetnych ekwipażów, ani elegantów dworskich, nie widać było nigdzie. W pałacu Brühla Prusacy zrobili odwach i szpital. Pożegnawszy generała, któremu towarzyszył, Masłowski pojechał wprost do Fuchsowój. Tu go bodaj za zabitego miano. Gdy stanął u drzwi i szukał oczyma, komuby powierzył konia, spostrzegła go i poznała gospodyni i jak szalona ze wschodów ku niemu zbiegła.

Zabrakło jej tchu i głosu, gdy go witać zaczęła. Ludność domu całego zbiegła się zmartwychwstałego oglądać. Masłowski ledwie z serdecznych uwolnwszy się uścisków, poszedł na górę. Szczęściem Fuchsowa obroniła się była od pruskiego oficera, którego jej chciano dać na załogę: mieszkanie było wolne, a rzeczy, z wyjątkiem niewielu obróconych na użytek w rachunku należności,

znalazły się jeszcze całe. Fuchsowa wchodziła, wychodziła, śmiała się, płakała; rozpowiadała jak ją oficer chciał gwałtem pocałować, jak mu się heroicznie obroniła, i nie dała spocząć Masłowskiemu, póki nie spotrzegła, że słuchając jej, padłszy na łóżko, mimo wymownego opowiadania usnął głęboko i chrapał.

VI.

Nazajutrz rano, pan Ksawery niezapomniawszy o chlebie przeznaczonym dla barona Spörkena, poszedł najprzód do kościoła. Królowa najczęściej teraz słuchała mszy świętej w kaplicy małej zamkowej, nie pokazując się w łoży. I tym razem Maślowski pustym go zastał prawie. Przed wielkim ołtarzem, kilka osób się modliło, msza była cicha. Nie uważał nawet, że u góry w jednej z łoż odsunięto franke i kobieta zakwefiona ukłękła się modlić. On też modlił się, czegoś smutniejszy dziś niż zwykle, przynajmniej chwilowo milczący ów kościół przejął go jakimiś przypomnieniami kraju, młodości, nabożeństw okazałych i głośnych. Dom ojcowski, życie owo szlacheckie, towarzysze, zabawy, wszystko mu przyszło na pamięć i zatęsknił do powrotu; miał już dosyć tego co przecierpiał, a choć z początku śmiał się ze wszystkiego, na krwawem pobojuwisku po raz pierwszy uczuł, że nie w każdej chwili i nie z każdego wypadku śmiać się godzi. Ta wojna, w której żadna strona nie

pociągała go ku sobie, gdzie czasami mimowolnie rad był pobitym Sasom, niekiedy litował się nad nimi, oburzając przeciw Fryderykowi, nużyła go już, jak zbyt długo przeciągnięte widowisko.

Po skończonej mszy wszedł powoli na zamek, zamierzając szukać generała Spörkena, gdy u wschodów zastąpiła mu drogę piękna Pepita. Spojrzała nań i mimowolnie załamała piękne rączki.

— Mój Boże! — zawołała — cożeś to waćpan wycierpieć musiał, kiedy tak na nim znać doznane cierpienie. Myśmy nic o nim nie wiedzieli.

— A kogożby to obchodzić mogło, co się zemuą stało, przy tylu innych nieszczęściach! — rzekł wesoło witając ją Masłowski.

— Ja nie wiem — odparła żywo panna Nostitz — nie wiem czy kogo to obchodziło, ale zaręczyć panu mogę, że ja często myślałam o nim.

— Jużćie nie tak często jak o Simonisie? — przebaknął złośliwy Masłowski.

Baronówna się zarumieniła i potrzęsnęła główką tylko.

— A wie pani com robił przez ten miesiąc — zawołał Masłowski — rąbałem drwa na kominek króla JM. pruskiego, nosiłem wodę, pasłem konie, wszystko to dlatego żem munduru włożyć nie chciał. I chodziłem bosi, w starym kożuszku, aż mi samego siebie strach było. Nareszcie zabrawszy całe wojsko saskie, mnie uwolnili, widząc że żołnierza nie zrobią z takiego kłoca niezgrabnego.

Panna Nostitz słuchała z uwagą. Ksawery spojrział na nią, ale i na jej twarzy, choć spokojnie na zamku siedziała, znać było przebolełe dni trwogi i upokorzenia. Zbladło świeże lice, smutek oblewał je i zamyślenie w jej wieku przedwczesne. Zestarzało biedne dziewczę. Nie śmiała go pytać o nic, długo, ale się wpatrywała nieśmiało, wahała się, jakby nie wiedząc od czego zacząć, aby się nie wydać niepotrzebnie.

Oszczędzając jej zakłopotania, Ksawery odezwał się:

— Widziałem kawalera de Simonis w nowych jego obowiązkach, ale dopiero ostatniego dnia; mówić z nim jednak ja nie mogłem, a on ze mną nie chciał.

Panna Nostitz przystąpiła bliżej.

— Gdzież? jak go pan widziałeś? co robi? nic nie polecił panu?

Milcząc dobył Masłowski kawałek chleba z zasukni, i trzymając go w ręku, ukazał baronównie.

— Ten chleba kawałek przeznaczony dla barona Spörken...

Dziewczę sięgnęło po niego ręką, ale p. Ksawery przypomniał, że powinien był oddać baronowi.

— Chodźmy więc do niego — zawołała Pepita — chodźmy.

W pokoju generała siedziała hrabina Brühlowa. Na widok Masłowskiego wymizerowanego, zne-

działego, posypały się pytania, na które długo odpowiadać musiał.

Słuchając opowiadania Brühlowa płakała, ale łzy to były nie bólem, tylko gniewem wyciśnięte. Na twarz jej buchały płomienie, w oczach błyskał ogień dziki. Spörken tymczasem ów chleb w drugim pokoju rozciął i wyjął zeń cyfrowaną kartkę; ledwie czytelną; którą odczytać się starał. Hrabina Brühlowa poszła mu dopomódz, a baronówna została sam na sam z Masłowskim. Pytaniom nie było końca, przybyły musiał opowiadać, a Pepita słuchając, często ocierała łzy z oczów.

— Zostaniesz pan z nami?— spytała w końcu pocichu.

— Nie pani — odpowiedział Masłowski — jam tu niepotrzebny wcale, a w domu stary ojciec może choć teraz zatęsknił za mną, gdy się o wojnie dowiedział. Cóż wam tu ze mnie?

Spojrzała baronówna.

— Gdybyś pan w istocie nie był nam potrzebnym, nie wątp, że byłbyś miłym zawsze. Jednym więcej uczciwym i szlachetnym człowiekiem czuć przy sobie, to zawsze szczęście wielkie. My ich tu nadto nie mamy!

Doświadczamy, niestety, co może siła, szczęście i niedola. Powoli opuszczają nas wszyscy, zostajemy same; ludzie biegają kłaniać się wschodzącej, choćby łunie pożarnej.

I zamilkła w okno spoglądając, a potem zwróciła się doń zmieniając rozmowę:

— Powiedz mi pan jak wygląda Simonis? jak go znalazłeś, gdzieś go widział?...

I nie dokończywszy tego pytania, zarumieniona dodała zaraz:

— Nie posądzaj mnie pan: nie rozpytuje o niego dlatego, żebym miała czulsze powzięć dlań sentymenty. Jestem dosyć szczerą i śmiałą, że do tego bym się przyznała; ale nie tak jest: Pytam, bo mam dla niego obowiązki wdzięczności. z mojej przyczyny rzucił się w paszczkę lwu, (poprawiła się nagle), przepraszam wilkowi; uczynił to dla mnie. Wiesz pan w jakim znajduje się położeniu. Należy mu się choć wspomnienie i o los jego troska.

Masłowski słuchał z uwagą, głos jej drżał, ale w istocie nie odzywała się w nim czułość, raczej obawa i sumienie. Z największemi więc szczegółami opisał jej spotkanie, znalezienie się jego i nadzwyczajne ostrożności, któremi się otaczał widząc z nim nawet bez świadków.

Słuchając Pepita ręce załamała.

— O nieszczęśliwe położenie, które nas zmusza, nas kobiety, mnie nawet do mieszania się w takie sprawy, z których co chwila płyną łzy, a co moment krew wytrysnąć może.

Obejrzała się na drzwi pokoju, w którym była Brühlowa.

— Nie dziwuję się hrabinie, ją to nawet bawić może; ale mnie! mnie! I posługiwać się często takimi ludźmi, do których wstręt czujemy i czynić na co się wzdryga niewieście serce!

Spuściła oczy.

— Jużciż do tych ludzi w których się czuje wstręt, nie liczy panna baronówna tego nieszczęśliwego Simonisa.

— Dla niego nie mam ani wstrętu, ani nadzwyczajnej sympatii — odpowiedziała z wyrazem szczerości — mam obowiązki.

— A na czém się to skończy! — zawołała nagle — i kiedy się to skończy. Król wyjeżdża do Polski, my z królową zostajemy same, kobiety, na wyłomie...

I zakryła sobie oczy.

Masłowskiemu żal się zrobiło dziewczęcia, spojrział na nią: łzy w oczach miała.

— Gdybym ja się pani na co mógł przydać! — rzekł cicho.

— Nie chcę was mieć na sumieniu — odparła baronówna. — Prawda, że na świecie, teraz szczególnie czuję się bardzo osamotnioną; że czyjeś silne ramie i poczciwe serce brata, bardzo mi było pożądanem: ale możnaż wymagać takiej ofiary i czémżebym ją mogła opłacić? ja co nie mam nic, nawet swobody rozporządzania sobą. Ja nie należę do siebie — dodała — kazano mi się poświę-

cić dla interesów królestwa. Żołnierze oddają za kraj życie, dlaczegóżbym ja szczęścia oddać nie miała?

Te wyrazy szybko wyrzekłszy, panna Nostiz wybiegła nie patrząc na Masłowskiego, który przez chwilę pozostał jak wryty u okna; potem przeszedł się po pokoju, a gdy baron Spörken wyszedł, pożegnał jego i hrabinę Brühlową.

— W Pan zostajesz z nami? — zapytała żona ministra — która pragnęła do swoich intryg wmieszać i mieć pod ręką jak najwięcej osób.

-- Jego Ekscellencya kazał mi wracać do Polski, gdyż dworu będzie w Warszawie potrzebować — odezwał się Masłowski. Muszę być posłusznym, jednakże nie wiem kiedy wyjadę, bo wypocząć muszę i czuję, że drodzebym teraz nie podołał, po służbie u Prusaków...

— Dopóki waćpan nie wyjedziesz — dodała hrabina mierząc go oczyma, w których się wierzyła jeszcze — proszę się zgłaszać do mnie.

Z tém Masłowski wyszedł.

Nie mając nic do czynienia, umyślnie przesunął się po mieście, ciekaw przeistoczeniu jakiemu uległo. Znajomych nie spotykał prawie nikogo, inna zupełnie ludność krążyła po ulicach, miasto całe wyglądało na koszary. Nierychło znużony i znudzony pan Ksawery powrócił do mieszkania. Ostatnia rozmowa z baronówną tkwiła mu w myśli, gniewał się sam na siebie.

— Nietylko pan stolnik, ale ja sam sobiebym dał na kobiercu, gdybym się miał w niemieckiej baronównie zakochać dlatego, że jej oczy czasem łzami zachodzą, a w głosie brzmi coś tak serdecznego; ale Pepita istotnie niebezpieczna. Już mi się do domu odechciało, choć rano miałem najmocniejsze postanowienie.

Uderzył pięścią w stół gniewnie.

— Nie wart jestem być polskim szlachcicem!

Wyrzuty te jednak czynione samemu sobie nie pomogły, obraz pięknej baronówny stał mu przed oczyma. Masłowski nie mając czém się zerwać aby się od téj zmory, jak powiadał uwolnić, położył się spać z rozpaczy.

VII.

Nadeszła zima, która dała odetchnąć Fryderykowi, a raczej do nowej, upartszej i straszniejszej przygotować się walki. W Dreźnie napozór nie zmieniło się nic. Na zamku ta sama gromadka wiernych, coraz szczuplejsza otaczała królową, ścisnąc się i kupiąc koło niej. Tu wrzała codzien rosnąca nienawiść przeciwko Fryderykowi, z każdym dniem potęgujące się namietności i najrozpaczliwsze przeciwko niemu spiski. Na czele najczynniejszych nieprzyjaciół jego, stała zemstą pałająca hrabina Brühlowa. Przedłużające się położenie to, które co chwila pogorszać się zdawało, rodziło szął jakiś bezsilny, rzucający się do wszelkich środków możliwych przeciwko Fryderykowi. Ztąd wychodzili potajemni posłańcy śledzący każdy krok jego, upatrujący zręczności, w którejjby podstępem, zdradą, opanować go można, pochwycić, nawet pozbawić go życia. Nie zastanawiano się ani nad trudnością wykonania planów podobnych, ani nad brakiem sił i narzędzi. Posługiwano się ludźmi

jacy się nastreczali, wierzono we wszystko co przynosili płatni szpiedzy, łądzono się możliwością tego, co było niepodobieństwem.

Z drugiejj strony król pruski, który tak zwanych swych: „*cujons*“ opłacał sowicie, przez rozsianych po całym kraju, w postaciach różnych najemników, uwiadomiony był o usposobieniach przeciwko sobie dokładnie, a jeśli nici żadnego spisku schwycić nie mógł, miał się na baczności, czując, że one go otaczają. Brühlowa posyłała ludzi do kwatery Fryderyka, król pruski słał na dwór saski coraz gęstsze szpiegi. Z obu stron ostrożności były największe, owoce tego potajemnego śledzenia bardzo szczupłe. Fryderyk wreszcie z rodzajem fatalizmu zaniechał zbytich ostrożności, spuszczając się na szczęście swoje. Brühlowa, królowa, generał Spörken, z zaciętością trwali w swych zamiarach.

Simonis namówiony, wyprawiony, z ręcznie dostał się do kancelaryi, otrzymał miejsce sekretarza gabinetowego; i choć z największemi ostrożnościami, przysyłał wiadomości o projektach, miejscu pobytu, sile straży otaczającej i ludziach, których można było pozyskać. Oprócz niego kamerdyner króla Glasau, zjednany był oddawna, opłacony i baron Spörken z hrabiną Brühlową usiłowali go skłonić, aby królowi wsypał do czekolady proszek, który mu powierzono. Glasau wziął go wprawdzie,

ale nie przyrzekł że użyje: wstręt jakiś i obawa go wstrzymywały.

Łudzono się tém, iż zasadzka, których już przygotowano kilka, potrafi żywcem pochwycić króla i uwięzić go do austryackiego obozu. Środek ten mniej się wydawał wstrętlivym, a nawet łatwiejszym do wykonania.

Tymczasem król się z miejsca na miejsce prznosił, osnute plany niespodzianie się obróciły w niwecz, a Glasau naglony, ostatecznego środka użyć się wahał.

Pobożna królowa, chociaż nie wiedziała o środkach, domyślała się spisków i modliła z dobrą wiarą za ich wykonanie szczęśliwe. O. Guarini nie pochwalając nic, nie biorąc udziału w niczem, bardzo zręcznie umiał tłumaczyć, nawet przykładami biblijnymi, jak dla ocalenia kraju i wiary, daleko zajść było można. Całe to tajemnicze krzątanie się, pokrytém było dla oczu ludzkich pozorną rezygnacją, lecz baczniejszy wzrok łatwo się istnienia zabiegów skrytych mógł dobadać.

Stary generał Wylich, komendant Drezna ówczesny, jeden może nie domyślał się, nie przypuszczał, aby coś podobnego istnieć miało.

Wyżły jego przychodziły często z doniesieniem, że na zamku coś się smaży, że nieustanne narady, biegania, szepty, nie mogą być bez celu i znaczenia. Żołnierz i człek prosty, śmiał się z tego

i odpowiadał, że się bab i babskich intryg nie lęka wcale.

Ciągnęło się to więc coraz żywiej wzmagając, bo czas i bezkarność ośmielały hrabinę Brühlową.

W początku zimy, Simonis, który miał ciągle stosunki z generałem Spörken, umiał bardzo zręcznie wyrobić sobie pozwolenie, a nawet polecenie do generała Wylicha. Sam król ustnie kazał mu ostrzedz komendanta Drezna, iż na zamku knują spiski, że wysyłają przekupionych, że stosunki mają nawet w jego otoczeniu, których dotąd dojść było niepodobna.

Słuchając téj instrukcyi, Simonis musiał zebrać całą siłę swą i odwagę, aby nie okazać, jaką go przejęła trwoga. Spodziewał się wprawdzie urzędowej misyi, ale nigdy tak niebezpiecznej, tak ciężkiej.

Fryderyk, który z posług Szwajcara dosyć był zadowolony, a nie powziął dotąd najmniejszego podejrzenia, kazał mu dać małą gratyfikacją i prędki powrót zalecił. Ktoby był widział nawówczas Simonisa po krótkiej rozmowie wychodzącego z pokoju, z zaszcłemi usty i językiem do podniebienia przylgłym, bladego, z oczyma obłąkanemi, byłby się może domyślił, jaką trwogę miał w duszy. Simonis wiedział bardzo dobrze, iż narażał się na szubienicę. Nierychło cokolwiek mógł przyjść do siebie, a w drodze dopiero wstąpiło w niego cokolwiek odwagi. Przychodziły mu wszakże myśli

i przypuszczenia tak straszne, że w podróży już chciał się wyrzec wszystkiego i gdziekolwiekby szukać bezpiecznego schronienia.

Glasau wiedział o Simonisie, tak jak on też znał całą historią przekupionego kamerdynera, nad którym dozór miał polecony a na charakterze jego nie polegał wcale. Zmuszony oddalić się, lękać się zaczynał aby Glasau trwogą przejęty lub pochwycony na jakim uczynku, nie wydał jego współnictwa. Jechał do Drezna, gdzie na dany znak łątwo go mogli pochwyć.

Im bardziej zbliżał się do stolicy, tém ta trwoga więcej go opanowywała. Nawet obraz pięknej Pepity, dla której poświęcił wszystko z długim od niej oddaleniem, stracił na potędze i uroku. Zbliżenie się wreszcie do Fryderyka i poznanie lepsze charakteru energicznego wodza, kazało mu wątpić na jaką stronę waga zwycięstwa się przechyli.

Szczególniej ta ostatnia wątpliwość podziałała na Szwajcara, w którego charakterze przemagała piecza o interes własny i wyratowanie, naprzód siebie. Przybywał więc do Drezna w usposobieniu wątpliwém, z obawą wielką, ostygły znacznie, namyślając się co począć dalej. Zaczynał wierzyć w ducha, że mimo 700,000 sprzymierzonych przeciwko niemu, Fryderyk ze swemi 260,000 może zwyciężyć. Naówczas Simonis był zgubionym. W drodze jednak nie uciekł do Szwajcaryi, chociaż wielką

miał do tego pokusę. Chciał widzieć naocznie jak rzeczy stały na dworze królowej.

Rozbrojenie wojsk saskich, wcielenie ich do pruskiej armii, wyjazd króla i Brühla do Polski, moralne znękanie Saksonii, zwycięstwa odniesione nad Austryakami, wszystko to przyczyniło się wielce do zachwiania postanowieniem Simonisa, poświęcenia sprawie dworu saskiego.

Jadąc z poleceniem króla, musiał naturalnie stawić się, zameldowawszy u bramy, wprost generałowi Wylichowi.

Godzina była bliska południa, gdy go wpuszczono do komendanta, który właśnie się do obiadu zabierał. Stary żołnierz nabrał był obyczajów cynicznych króla swego i przesadzał jeszcze grubiaństwem i szorstkością.

W izbie do której go wpuszczono, stół był nakryty na dwie osoby. Simonis przez drzwi otwarte postrzegł niezmiernie zdziwiony, siedzącą dawną swą znajomą pannę Doris, wyróżzowaną, wybieloną i dosyć strojną, która na widok jego o mało też nie krzyknęła.

Wylich z rękami w kieszeniach, z fajką w ustach powitał go z wysokości swój komendanckiej godności.

Nieznacznie, po przywitaniu, dał mu do zrozumienia przybywający, że miał doń poufne od króla polecenie.

Wylich pannie Doris, odwróciwszy się kazał iść... do dyabła. Francuzka schowała się tylko do trzeciego pokoju, od którego komendant drzwi zamknął. Naówczas Simonis, łagodząc nieco, zdał mu rozkazy królewskie, tyżące się spisków i kno-
wań zamkowych.

Wylich wysłuchał ustami kręcąc.

—Dobrze dobrze—rzekł—posłów nie ścinają i nie wieszają, ale to są bzdurstwa, któremi królowi JMości zdala nabijają głowę. To moja rzecz. Ja tu wiem o najmniejszym szepcie, mojego oka nic nie ucho-
dzi. Nie ma się tu czego lękać. Królowa się mo-
dli, Brühlowa się wścieka i po wszystkiém.

Ręką machnął.

— Co więcj?

Simonis odpowiedział na pytań kilka i zamilkł. W pół godziny skończyła się i wyczerpała roz-
mowa, Wylich stanął w oknie, a Simonis zabierał się do wyjścia.

— Panie generale — rzekł — mam pelecenie dowiedzenia się cokolwiek i przypatrzenia zblizka temu co się w zamku dzieje; oznajmuję więc o tém.

Wylich się rozśmiał.

— A wleź sobie choć na wieżę i rozpatruj się w czém chcesz, to mi wszystko jedno.

Uwolniony w ten sposób, Szwajcar wydobył się na swobodę i poszedł szukać mieszkania, któ-
reby nazbyt na oku nie było. Wynalezienie łatwo

nie przyszło, tak Prusacy wypełniali miasto całe. Prywatne nawet domy, gdziekolwiek obszerniejsze znalazło się mieszkanie, zajmowali chorzy oficerowie i gawiedź wojskowa.

O zmroku już wybrał się z pewnemi ostrożnościami, aby łatwo nie być poznanym i wyszpiewanym do zamku. Nie bardzo pewnym był do kogo się udać dla dowiedzenia o baronównę, gdy na dole u wschodów spostrzegł Masłowskiego. Pan Ksawery opóźniwszy bez powodu wyjazd do kraju, kręcił się częściej niż było potrzeba około zamku i sam przed sobą wyznawał, że zasługiwał na to, co mu ojciec przyrzekł. Nie chciał się zgodzić na to, żeby był zakochany w Baronównie, ale mówił sobie iż go bardzo zajmowała i miał wielką dla niej sympatyą i przyjaźń.

Posługiwał jęj jak umiał, jak mógł, a korzystał z tego, żeby ją widywać jak najczęściej. Widok twarzy Simonisa przykre bardzo na nim uczynił wrażenie. Ścisnęło mu się serce. Nie umiał nawet pokryć niechęci, z jaką rad nie rad go witał. Zwykle wymowny aż nadto, tym razem stał jak słup.

— Chciałbym się widzieć z baronówną — odezwał się Simonis pocichu.

Masłowski wskazał mu palcem drogę na górę, ale prowadzić go nie miał ochoty, ani dłużej rozmawiać. Poszedł więc rozglądając się Szwajcar i trafił do mieszkania barona Spörkena, który go

z niewymowném wzruszeniem przywitał. Lecz że sam przez się nic nie czynił, ruszył się natychmiast dać znać hrabinie Brühlowej.

Napomknęliśmy już kilkakrotnie o roli, jaką odgrywała hrabina. Namiętnój téj, nieszczęśliwój zbląkanój kobiecie, potrzeba było zawsze czegoś do zabawy, coś coby ją budziło do życia i usnąć jej nie dało. Od wyjścia za męża gorączkowo tak chwytiała się wszystkiego, co sztuczny cel próżnemu sercu jej dać mogło. Wychowywała dzieci, któremi już rozporządzano, i które się jej wprzód z rąk wyrwały, a teraz zupełnie uciekły. Miłości ich nawet zyskać nie mogła. Zaprzatała się tak z kolei wszystkiém co życie może uczynić znośném, co o ranach pozwala zapomnieć. Fantazye czasem dochodziły do szarów, po których znowu następowała apatya, milczenie, ziewanie, nudy. Naówczas gorączkowo zajmowała się jakimś Blumli, jakimś Seyfertem, starała się z nich uczynić ludzi... ideały serca, a kończyło się to jak ze Seyfertem pod pręgierzem, jak z Blumli na wyczerpaniu i pogardzie.

W takich paroksyzmach pragnień i rozczarowań przeżyła Brühlowa aż do dni ostatnich; Fryderyk Wielki obumierając już wskrzesił do życia, do zemsty. Rzuciła się z całą gwałtownością charakteru swojego do wojny przeciwko niemu. Prowadziła ją jak dotąd wszystkie życia sprawy, nie zna-

jąc miary w namiętności i nie przebierając w środkach.

Bezskuteczność starań tych, zaczynała ją nudzić i niecierpliwieć. Czekać nigdy nie umiała. Życie przy królowej znękaniej, fanatycznie pobożnej, pół dnia spędzającej na religijnych praktykach przykryło się. Brakło jej tego dworu młodego, dawnych lat, z którego sobie wybierała ofiary. Nie była już tą panią wszechwładną, na której skinienie twarze się zmieniały, jawili się i znikali ludzie.

Gdy baron Spörken dał jej znać o przybyłym Simonisie, hrabina była właśnie w tém usposobieniu apatyczném, znużona, tęskniąca prawie do śmierci. Wiadomość ta poruszyła ją, zelektryzowała. Zerwała się i pobięła.

Simonis już dawniej był wpadł jej w oko i — fantazya została nie spełnioną. Miała mu za złe, że tak łatwo mógł się jej wyrzec. Trochę zemsty czuła w sercu. Nie pokazała mu jej wszakże i wyszła, spojrzawszy w zwierciadło, chcąc być piękną, ożywioną, więcej udając gorączkę niż w istocie rozgorączkowana.

Wchodząc podała mu rękę.

Spörken usunął się nieco.

— Przecież! rada jestem, że was widzę narazie. Tak długo czekałam wiadomości, tyle czasu upłynęło bez skutku! Cóż się dzieje? co robicie! My z założonemi rękami, a Prusacy zwyciężcy. Król...

— Pani — odezwał się Simonis — czyniliśmy co mogli, nie było sposobu stanowczego przedsiębrać kroku.

— A Glasau? wszakże to każdego dnia się spełnić może. Cóż mówi Glasau?

— Ociąga się, zwleka — rzekł pocichu Simonis — mieliśmy nadzieję, nie uciekając się do tego środka.

— Tu nie ma co w środkach przebierać — przerwała namiętnie Brühlowa. — Szkodliwego zwierzęcia pozbywa się na wszelki sposób. Glasau zdradza nas, a pan... pan nie dosyć go przynaglasz... Wszystkie trzy plany pochwylenia tak wybornie osnute w niwecz się obróciły.

— Nie z naszej winy — odparł Simonis — król zmieniał kwaterę, a z nią zmieniły się warunki.

Brühlowa odwróciła się pogardliwie, lecz wprędce zmieniając usposobienie, łagodniej przemówiła i pociągnęła Simonisa ku oknu. Tu jakby w głąb jego duszy zajrzeć chciała, męcząc go wejrzeniami wyzywającemi, badawczemi, zagadkowemi dlań; przedłużyła rozmowę niepotrzebnie, nie dając mu odejść i powracając do jednych zarzutów, wymówek i badań.

Simonis dosyć zręcznie zrazu uniewinnił się, potem tok tej rozmowy zmieniać się zaczął. Brühlowa wywodziła skarki, malowała swe położenie, uczucia, czyniła zwierzenia, starała się okazać zaj-

mująca, czuła, nieszczęśliwą. Z niezmierną zrecznością i świadomością środków, z zalotnością kobiety, która przeszła przez długie doświadczenia, starała się wyrzeć wrażenie na Simonisie, zapisać tę chwilę w jego pamięci, słowem, zawrócić mu głowę.

Długą godzinę trwało to, póki Szwajcar nareszcie nie zebrał się na przestrzeżenie o tém, z czém go Fryderyk wyprawił. Zalecał ostrożność. Śmiała się Brühlowa.

Spörken znużony oczekiwaniem, wyszedł zostawując ich sam na sam. Przedłużyło to jeszcze narady, w ciągu których hrabina tyle obcych wtrącała przedmiotów, iż byłyby mogły trwać nie wiem jak długo, gdyby baronówna, dowiedziawszy się od generała o przybyciu Simonisa, nie weszła do pokoju.

Przywitanie było z obu stron pełne zakłopotania jakiegoś i chłodniejsze niż spodziewać się było można. Pepita nigdy nie miała nazbyt gorącego uczucia dla człowieka, dla którego musiała być tylko przynętą. Simonis wahał się już czy iść dalej... spotkali się więc jak często po długim niewidzeniu bywa, zimniejsi daleko. Hrabina szydersko popatrzwszy na oboje, nie dozwoliła im zostać sam na sam i postanowiła być natrętną.

Słów kilka zaledwie mogli przemówić do siebie; baronównie zwykle wymownej i odważnej, słów brakło.

— Nie spodziewaliśmy się pana bardzo — rzekła — wiemy jak trudno ze szpon króla się wydobyć.

— Ja też na sznurku tylko wypuszczony jestem z klatki — odpowiedział Simonis — i natychmiast powracać do niej muszę.

— Tak — wtrąciła Brühlowa — byle tylko skuteczniejszą była ta wyprawa. Każda godzina dla nas wiekiem.

— A! pani! — zawołał Szwajcar — czémże ona dla mnie dopiero?

— Myślę żeś się pan z tém przeznaczeniem trochę pogodzić musiał — szydersko dopowiedziała Brühlowa.

Simonis westchnął spoglądając na pannę Natalię.

Hrabina odstąpiła tylko na chwilę, aby się przejść po pokoju, ale nie spuściła ich z oka. Szyderski jej uśmiech zarówno Simonisa, jak Pepitę ostudzał; bali się ust otworzyć. Szwajcar w końcu nie mogąc dłużej pozostać, aby nie ściągnąć podejrzania, kilka słów przemówiwszy, wysunął się.

Uważał, że baronówna mniej niż dawniej była śmiałą i trzymała się w niejakiem oddaleniu.

Już był w korytarzu, gdy hrabina wyszła za nim i skinęła.

— Potrzebuję z panem zupełnie na osobności pomówić bez świadków... tak nawet, aby drudzy

o tém nie wiedzieli; jest to konieczném. Tu niepodobna.

To mówiąc zbliżyła się doń i oddając mu klucz, opowiedziała, w którym domu w zamkowej ulicy czekać na niego będzie przed nocą. Dom ten przez Georgenthor łączył się z zamkiem samym; hrabina miała w nim, jeśli nie mieszkanie, to kryjówkę, w której przyjmowała swych powierników. Simonis zrazu chciał się wymawiać, lecz nakazujące, ponowione żądanie usta mu zamknęło. Hrabina nie rozumiała tego, aby jej coś odmówić było podobna.

Gdy z głową jakby upojoną i rozmarzoną dziwnie, rozdrażniony Simonis znalazł się sam nareszcie, i zszedłszy w podwórze, spotkał się znowu z Masłowskim, którego się tu spodziewał i który czekał w istocie na niego, długo przemówić nie mógł, potrzebując znowu przyjść do zwykłego stanu. Brühlowa potrafiła dokazać co chciała; Simonis czuł się pijanym wszystkiém tém, co niby niechcący rzuciła mu w duszę.

— Umyślniem tu na was czekał — rzekł Masłowski — bo, kto wie czybyście gdzieindziej chcieli się widzieć ze mną. No? cóż z wami?

— A wy? — spytał Simonis.

— Ja, to nic: mam długi i te mnie za poły trzymają.

Szwajcar westchnął.

— Gdybyście się nie obawiali — szepnął Masłowski — zaprowadziłbym was do gospody Brühlowczyków. Reszta dworzan ministra, która się tu mimowoli została, schodzi się tu wieczorami kłaść Prusaków.

— Którzy was podsłuchują — dodał Simonis.

— Gdyby tylko jeden wieczór słuchali, jużby nas tu żadnego nie było — rzekł Masłowski śmiejąc się.

— A gdzieś ta wasza gospoda?

— Idziesz ze mną? — zapytał Ksawery.

Zawahał się sekretarz gabinetowy.

— Nie mogę — rzekł — wybyście się obawiali mnie, a ja was: nie mogę.

Pożegnali się i Masłowski zniknął w ciemnej ulicy.

Szwajcar zaszedł do swęj gospody spocząć, a o wieczornęj godzinie naznaczonej znalazł się z kluczem u drzwi domu przy ulicy zamkowęj. Zabawił tam późno w noc, a gdy wyszedł rozmarzony bardziej jeszcze niż z rana, nie uważał nawet, iż miał jakiegoś anioła stróża za sobą, który z daleka odprowadził go do gospody.

W pierwszym planie Simonisa, zatrzymanie się w Dreźnie nie wiele miało zabrać czasu; nazajutrz wszakże z gospody się wyniósł niewiadomo dokąd i przed Masłowskim przyznał się, iż zapewne dłużej zostanie niż myślał. Drugiego dnia poszedł do generała Wylicha. Żołnierz go tak przyjął

jak zwykle wojskowi biuralistów przyjmują, nie tając mu pewnego rodzaju lekceważenia.

— A waćpan tu jeszcze?

— Tak jest panie generale, przyszedłem mu dać znać, iż zapewne dni kilka zabawić będę musiał, bo trafiłem na poszlaki pewne, z których będę musiał zdać sprawę.

Generał na niego popatrzał i pokiwał głową.

— Dobry wyżeł z waćpana — rzekł mrużąc — ale i my tu też nosy mamy... To do mnie nie należy... Wąchaj sobie waćpan i... kłaniam się! — głośniej dodał drzwi ukazując — kłaniam się.

Ztąd poszedł Szwajcar do Béguelina, który go przyjął z niezmierném respektem, wiedząc już, że ma do czynienia z jednym z sekretarzy króla. Béguelin w obec władz wojskowych zmalał był i smutną miał postać. Séry stały zamknięte i nie wydawał się z niemi, aby ich w rekwizycyą nie wzięto. Posadził gościa na czarnej kanapce i na wojnę w ogóle uskarżać się zaczął.

— Niewygodne położenie — rzekł skrobiąc się w głowę — Austriacy gotowi bombardować, a bomby nie pytają gdzie który radzca mieszka... Uchawaj Boże, wezmą Drezno... nasz król będzie niechybnie odbierał i spali...

Podniósł ręce do góry.

— Do czego te wojny! — mruknął — handel psują, ludzi dużo ginie i spokojności nie ma...

Béguelin był tego zdania, że należało lepiej zły pokój zawrzeć, niż najszcześniejszą wojnę przedłużać.

Zabiwszy trochę czasu, Simonis wrócił do zamku, ale do baronówny dostąpić nie mógł. Spotkał Brühlowę, która go na krok nie puszczała. Narady były ciągłe, we dnie i wieczorami.

Baronówna też niebardzo się narzucała Szwajcarowi i oboje teraz znaleźli się daleko więcej obcemi niż byli. Kilka dni upłynęło nim Simonis pochwycił zrzeczność rozmówienia się z Pepitą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy — rzekł do niej — bo choć tu już dni kilka siedzę, zbliżyć się do pani mi nie wolno.

— Czy moja w tém wina? — spytała Pepita — mów pan otwarcie.

Simonis się trochę zmieszał.

— Ja prawdziwie nie wiem, z mojej strony ja także winy nie czuję.

— Może przeznaczenie? — odezwała się baronówna.

Szwajcar milczał.

— Niepodobna ażebym ja was szukała — ciągnęło dalej dziewczę coraz śmieliej — tego po mnie wymagać nie możecie, a bądźcie szczerzy; czy wam z tém bardzo źle: ja nie wiem?

— Pani wątpi?

— Nie, ja jestem pewna, że zbyt za mną nie tęsknicie. Proszę was nie zmuszajcie się do za-

dnych czułości sztucznych. Ja w razie potrzeby słowa dotrzymam, nie potrzebujecie się silić na zakochanie we mnie.

Mówiła to tak chłodno, bez żadnego gniewu, bez zazdrości, iż Simonis uczuł się tём dotkniętym.

— Widzę żem zupełnie łaski u pani stracił — szepnął.

— Bądź pan spokojnym — dodała Pepita — spełnij tylko coś przyrzekł, bądź nam wiernym, a na moje słowo rachować możesz...

To mówiąc jak gdyby rozmowy przedłużać nie chciała, odeszła. W chwilę potём Brühlowa zabrała go z sobą dla narady z generałem Spörken.

Przybycie Simonisa było jakby bodźcem do coraz bardziej gorączkowej czynności. Codzienną nową sprawą było na stole, a rozprawy o każdym kroku zabierały godziny. Tego dnia znowu odebrano wiadomość, iż ułożone porwanie i wydanie generałowi Bour króla pruskiego, udać się w żaden sposób nie mogło.

Brühlowa była gniewna.

Chodziła po pokoju nie kryjąc swojego oburzenia i narzekając na niedołęztwo wszystkich co tyle kosztowali, a nie dotąd zrobić nie mogli.

— Należy natychmiast wyprawić do Głasuau'a — dodała — ostatniego użyć środka... zmusić go aby nie zwlekał... Waćpan napiszesz zaraz do

niego, a generał wyśle pismo przez zaufanego człowieka.

Simonis się zawahał, ale niecierpiąca sprzeciwienia się najmniejszego kobieta, tupnęła nogą i wskazała mu miejsce przy stole.

— Ja to biorę na moje sumienie, na odpowiedzialność moją: czasu dosyć zmarnowano... niech Glasau spełni co przyrzekł... Nie słucham nic... poślijcie mu co zechce... ja oddam co mam... Zapłacimy mu ile każe...

Zmuszony do pisania, przelękły Szwajcar usiadł. Nie było sposobu się oprzeć, spojrział kilka razy na hrabinę, nie dała mu mówić. Powtarzała ciągle: ja to biorę na moje sumienie.

Simonis napisał, co mu kazano, obwinęto papierem tym rulon dukatów. Spörken go opieczętował i wyszedł. Max wstawał blady od stołu.

— Pani mi daruje — rzekł cicho — jakkolwiek Glasauowi udać się może...

— Musi! — przerwała hrabina.

— Lecz gdyby coś niespodzianego zdradziło.

— To nie może być.

— Jednakże — wtrącił Simonis — ja nie wiem czy w takim razie potrzeba żebym i ja padł ofiarą?

— Waćpan? — przerwała, za rękę go chwytając hrabina — waćpan! nigdy w świecie! Jesteś mi potrzebny. Ja losu jego się podejmuję. Ba-

ronównę możesz odstąpić komu chcesz, waćpan nie potrzebujesz jej, ja zapewnię jego przyszłość.

Skłonił się Simonis i dosyć poufale spytał cicho: — Lecz jeśli tak jest, czy nie lepiej abym czekając na wypadek, skrył się. Jeżeli Glasau chybi...

— Glasau chybić nie może! — z gniewem w oczach i głosie odparła Brühlowa — niecierpliwisz mnie!

Dopiero ochłonawszy, rzekła rękę mu kładąc na ramieniu:

— Tak jest Simonis, na tym obrzydliwym świecie możliwe wszystko: skryj się. Masz jakieś przeczucie. Ja straciłam wszelkie: gdy przeczuwam dobro, przychodzi zło, a gdy się zła spodziewam, ono jedno niezawodzi. Tak, skryj się — dodała głosem drżącym — ja potrzebuję cię...

Głowę otuliwszy dłońmi, przeszła się kilka razy po pokoju milcząca i zamyślona. Widać było, że myśl o zemście, o sprawie królowej, o kraju, ustąpiła bliższej jakiejś o własnych losach.

Zwróciła się do Simonisa.

Waćpan powinienesz stanowczo zerwać z baronówną — rzekła — ona go nie kocha, to są więzy. Ja tego nie chcę.

Baronówna! — dodała — baronówna nie ma więcej nad kawałek ziemi w górach i pusty zamek. To wszystko niewiele warte. Mój mąż wyrobi wam dar od króla znaczniejszy, ja potrafię mu uzyskać

posadę. Ta wojna wiecznie trwać nie może; a jeśli Glasau...

Ale nie chcę ani mówić o tém, ani rachować. Choćby Glasau chybił, są inne środki...

Tak, tak — zawołała, coraz się rozgorączkując — choćby się sto razy nie powiodło, choćby się wszyscy ulękli i cofnęli, ja nigdy! nigdy! Moja miłość i nienawiść nie kończą się, mogę usnąć, ale się budzę jutro rzeźwiejszą jeszcze. Chybabym umarła.

Przeszła się tak kilka razy po izbie, i uspokoiła nareszcie; przystąpiła do Simonisa zdejmując soliter z palca i trzymając go w rękę — rzekła pocichu:

— Ten pierścień dawno miałam od króla, daję go wam na znak, że spełnię com wyrzekła. Zerwij z baronówną, ja się dzielić z nikim nie mogę.

Simonis całował jęj rękę blady, gdy generał i Pepita weszli i przerwali tę scenę. Brühlowa zapewne chcąc ułatwić to zerwanie, którego się domagała, natychmiast wysunęła się z generałem do drugiego pokoju, oczyma nakazując Simonisowi, aby spełnił jęj rozkaz.

Baronówna wchodząc do pokoju, choć nie postrzegła może oddawania pierścienia, mogła się domyśleć poufałego zbliżenia z postawy hrabinęj i pomieszania Simonisa, który zbyt spiesznie postrzegłszy ją się cofnął. Nadto wiele wiedziała i słyszała życia ówczesnego piękna Pepita, aby się

jego tajemnic i intryg domyśleć nie mogła; życie hrabinęj było jej znane dobrze. Miłość własna ucierpiała może w pierwszej chwili, lecz po rozmyśle uspokoiła się łatwo. Chłodna więc i na pozór zupełnie obojętna znalazła się naprzeciw Simonisa witającego ją z nadskakującą grzecznością.

Spojrzała mu w oczy z takim wyrazem wszechwiedzy i spokoju, że Max się trochę zmieszał, czując odgadniętym.

— Może przeszkodziłam? — odezwała się.

— Nie, wszystko skończone — odparł Max.

— Spodziewam się, że szczęśliwie — dodała spoglądając na pierścień, który Simonis ukryć zapomniał.

Nie odpowiadając na to obwiniony, spuścił oczy.

— Tak jest, tak — rzekł — ale kiedyż można być pewnym, że to, co się wydaje szczęśliwem, rzeczywiście się powiedzie.

— Masz pan wielką słusność, jest to prawda, która w całym życiu zastósować się daje. Nie jesteśmy nigdy niczego pewni.

— Niestety! — westchnął Max.

Pepita spojrzała nań i rozśmiała się. — Cóż dalej? — zapytała.

— Najsmutniejsze to, — odpowiedział Simonis — że ja zapewne będę zmuszony przez czas jakiś

się ukrywać i że nie będę miał szczęścia widywać pani.

— Ale czyż to się mogło szczęściem nazywać — odezwała się baronówna — mnie się zdaje, że to kłopot niepotrzebny. Ja się wcale nie łudzę.

— To ja powinienym z tych słów pani, a podobno i z wielu innych — podchwycił Szwajcar — wniesć, że nie powinienem się łudzić. Nie mam u niej łaski.

— Ale masz pan słowo moje — rzekła zimno Pepita — to dosyć.

— Jeśli nie mam i muszę się wyrzec serca? — dodał Simonis.

— Któż może mówić o sercu! — rozśmiała się baronówna. — Gdybym chciała dać je, nie mogę; bo serce nie daje się, ale zdobywa...

— A ja nie umiałem, nieprawdaż? — zapytał Simonis.

Pepita zamilkła.

— Musi to być panu obojętném.

— Przepraszam panią — rzekł Max — gdybym się miał wyrzec serca, wyrzekłbym się ręki.

Zdziwioną trochę zdawała się baronówna.

— Za pozwoleniem — odezwała się — czy to wyrzeczenie się miałoby za sobą pociągnąć i odstęstwo od naszej sprawy? mów pan otwarcie?

— Téj sprawy już ja odstąpić nie mogę — z uśmiechem przykrym dodał Simonis — podpisałbym wyrok na siebie.

Panna Nostitz stała z jakąś niepewnością, obawą i jakby promykiem nadziei na twarzy.

— Panie de Simonis — rzekła — umiem cenić to coś mi powiedział, przyjmuję to zrzeczenie się serca i ręki, a co się tyczy majątku...

Max nie dał jęj dokończyć, skłonił się nisko, zakreślił — i rzekł głośno:

— Godzina nagłaca, pani daruje...

— Zatem ja jestem wolna! — spytała, rękę wyciągając baronówna z nietajoną już radością.

— Najzupełniej — odparł Max i chwycił za kapelusz do wyjścia.

Usłyszawszy kroki, Brühlowa wyszła na próg drugiego pokoju, zmierzyła oczyma Pepitę i Simonisa i podała mu rękę na pożegnanie. Max wybiegł.

W tydzień po tęg rozmowie, jasnego zimowego dnia, pocztylion w ciężkich butach, obmarzły cały na koniu, z którego para buchała, zatrzymał się przed kwaterą generała Wylicha. Była to poobiednia godzina, podstarzały żołnierz drzemał z fajką, a piękna Doris grała na gitarze pocichu w drugim pokoju. Wpadnięcie niespodziane kuryera, który do drzwi nawet nie zapukawszy, jak stał wtoczył się do generała i podjąwszy płaszcz, z torby skórzanej papierów zaczął dobywać, rozgniewało pana komendanta. Już miał na ustach *lumpen*... jakieś

osolone, gdy spojrzawszy na papiéry, do których przyklepiony był kawał pióra na znak pośpiechu; na pieczęcie ogromne, na notatki u góry, zamilkł i drzwi od Doris zamknąwszy, zaraz się rzucił do papierów. Pocztylionowi ręką wskazał, aby odszedł.

Generał Wylich miał dosyć złe oczy, pismo było pilne i sekretne, zdawało się wiele zależeć na niem; zadzwonił więc wzywając w pomoc pisarza, chcę się nim posługiwać nie lubił.

Pisarz ten nazwiskiem Blind, człowiek do wszystkiego niezmiernie zręczny. Kaligraf niezrównany, koncepcista osobliwy, posiadający wszelkie style, piszący wiersze, domyślający się prawdy, przy sądach wojennych ułatwiający śledztwa; jednem słowem genialny robotnik, był zarazem najniebezpieczniejszém stworzeniem, jakie ziemia kiedy nosiła. W wojskowym trzymany rygorze, chodził posłuszny jak koń dobrze wytresowany, lecz było mu na chwilę popuścić cugli, spłatał zawsze coś takiego, za co mało było nawet kijów powszednich. A jednak bez Blinda obejść się nadzwyczaj było trudno. Generał Wylich wzięwszy go w spadku po towarzyszu, trzymał przy sobie jak w więzieniu. Na oko Blind był chłop nie szpetny i silny, chociaż czerwonymi plamami okrytą miał twarz i nieco kulał. Ubiór zakrawał na pewną elegancją.

Zobaczywszy go generał, poszedł pannę Doris zamknąć w trzecim pokoju, a sam wróciwszy kazał

mu czytać depesze. Szły one wprost z głównej kwatery w...

Blind rzuciwszy okiem na ogromny arkusz na wpół zapisany, pobladł i zachwiał się.

— Co ci jest! czytaj.

Zaczął w istocie czytać Blind jękając się, lecz ledwie pierwsze słowa wymówił, Wylich mu papier wyrwał z rąk i ręką głowę zatulił. Pokazał pięść, krzyknął: milczeć! i wypchnął za drzwi.

Depesza była największej wagi i sekretna, niegodziło się, by na niej oko kancelisty spoczęło. Generał nie rad był z siebie, iż dozwolił Blindowi pokosztować tego owocu zakazanego. Co najgorzej, że znając spryt tego wisusa, pewien był iż raz spojrzawszy na papier, cały już połknął i umiał go z końca w koniec na pamięć. Takie przynajmniej miał o Blindzie wyobrażenie.

Zamknawszy drzwi generał wziął się do papierów, czytał je drżący. W ostrych nader wyrazach skreślone było pismo. Król wyrzucał w niem Wylichowi, iż ślepy, nieudolny, zarozumiały, dozwolił pod swoim bokiem knuć spiski na życie króla, wysyłać szpiegów i morderców, korespondencye i pieniądze, że dopuścił na zamku w biały dzień konspirować żonie ministra, generałowi Spörken i królowej.

Cała ta sieć intryg, której o mało Fryderyk nie padł ofiarą, tylko jego własną przytomnością umysłu i bystrem spojrzeniem odkryta została.

Niejaki Glasau, opiewała depesza, będący w służbie kamerdynera przy królu, przekupiony przez Brühlową, będący w stosunkach ze świeżo zbiegłym byłym sekretarzem gabinetowym niejakim de Simonis, nasłanym także przez żonę ministra i zdradzającym tajemnice, jakie mu były powierzone, dał się pieniędzmi skłonić do podania J. Kr. Mości trucizny w czekoladzie. Król gdy mu ją przyniesiono, spojrzawszy przypadkiem na twarz Glasau'a, postrzegł na niej pomieszenie, bladość, coś podejrzanego. Zapytał go surowo co mu jest; kamerdyner złożył to na niezdrowie. Czekoladę postawiono na stoliku. Fryderyk nie miał ochoty pić jej zaraz, czytał właśnie Plutarcha. Tymczasem Thisbi charcica skoczyła na stół i łapczywie zaczęła zajadać królewskie śniadanie. Gdy król się obejrzał, czekolady połowa już była wypita, a suczynka prawie natychmiast poczęła skowyczeć, tarzając się, pienieć i zdechła.

Pochwycono kamerdynera Glasau'a a resztę napoju dano na próbę wiejskiemu psu, który w kwadrans potem nie żył. Trucizna była więc dowiedziona. Nakazano jak najsurowszą tajemnicę, nie chciał bowiem król, ażeby wiadomość o tem stała się powszechną. Glasau'a stawiano natychmiast, zapewniając mu życie, jeśliby wyznał wszystko. W ten sposób odkrytą została zdrada Simonisa, stosunki z Dreznem; papiery nawet, które wprawdzie imion osób nie zawierały, lecz stwierdzały

zeznania Glasau, i spisek uknuty w Dreźnie, jeśli nie z wiedzą królowej, to nie bez milczącego jej przyzwolenia.

Do opisu wypadku przyłączony był rozkaz najsurowszy, wyprawienia natychmiast hrabiny Brühlowej do Warszawy, poszukiwania i uwięzienia Simonisa, najsurowszego nadzoru nad wszystkimi co do zamku uczęszczali i mieli z nim stosunki.

Generał Wylich utonął w mnóstwie szczegółów, spotniał czytając, a co najgorzej czuł, że winę swą miejscem okupi i że wkrótce przez kogo innego zastąpionym zostanie¹⁾. Ażeby na straszniejszy jeszcze gniew króla nie zasłużyć, chwyciwszy się za głowę, jał się zaraz krzątać około czynnego wystąpienia. Ale od czego tu począć było??

Zadzwoił na Blinda.

Nadszedł żołnierz oznajmując, iż go nie było, że przed chwilą wybiegł na miasto. Generał przełakł się, tego domyślając, słusznie czy nie, że Blind rozgadać może przedwcześnie to co było i powinno zostać tajemnicą.

Chwili czasu nie miał do stracenia. Ubrał się więc, przywołał adjutanta, wziął żołnierzy, i że mu najwięcej szło o Simonisa, pobiegł do jego mieszkania.

Tu dowiedział się, że od dni dziesięciu Szwajcar *wyjechał*. Posłano przetrząsać wszystkie domy

¹⁾ Zastąpił go generał Schmettau.

które szpiegi wskazać mogli, uganiano się do wieczora napróżno, nareszcie Wylich kazał zamek ostawić strażą, i postanowił w nim robić poszukiwanie.

Wiedział bardzo dobrze, iż nawet za brak uszanowania dla królowej lub jej dzieci, pewnie ukaranym nie będzie. Generał von Spörken wyszedł naprzeciw komendantowi.

— Co się stało? panie generale? — zapytał.

— Nie wiecie jeszcze, no to się dowiecie — odpowiedział oburzony Wylich. — Niejaki de Simonis przechowuje się w zamku, były sekretarz króla, zdrajca, którego szubienica czeka, jeśli nie ćwiertowanie; albo mi go wydajcie, lub...

— Nie ma go tu, za to mogę zaręczyć — rzekł generał Spörken.

— Od dachu do lochów strząśnę wszystko, — krzyknął Wylich.

— Sile się nie możemy oprzeć, jużemy tego doświadczyli — odezwał się Spörken — czyńcie co się wam podoba. Lecz jeśli później Europa cała, za znieważenie rezydencyi J. Kr. Mości i kurfirsta następcy...

Wylich nie dając dokończyć — zawołał:

— Was wszystkich i waszą Europę nie mam za tyle... (Wyraził się jeszcze ostrzej). I krzyknął na żołnierzy:

— Na zamek!

Spörken znikł, ażeby przygotować królowe. Gdy komendant wchodził na pokoje, pierwsza mu drogę zabiegła hrabina Brühlowa: straszna była gniewem, ale zarazem i trwogą.

Wylich nie witając się z nią nawet, odezwał się grubiańsko:

— Mam rozkaz waćpanią wyprawić do Warszawy. Słyszysz pani?

— Co to jest! jakto?

— Rozkaz króla, który zostanie spełniony.

— Cóż za powód?

— Nie mam potrzeby przed waćpanią się tłumaczyć.

Gdy się to działo w sali, na której progu przeciwnym, królowa za portjerą słuchała i przypatrywała się, rozjątrzona do żywego tą napaścią, zamek patrole przetrzasali jak najpilniej.

Hrabina Brühl wiedziała, że szukano Simonisa. Na kilkanaście minut wprzód Blind, który od dawna był ujęty, dał znać o tém co z depeszy miał czas wyczytać. Kawaler de Simonis w istocie znajdował się na zamku, ale w tych starych murach tyle było kryjówek, przejść, schówek, drzwi zamaskowanych, podłóg odmykających się, zwierciadeł, za którymi w grubości muru wyźłobione były gabinety ciemne, które za Augusta II służyły do czarodziejskich niespodzianek, a dawniej może na straszniejsze narzędzia kary, tyle tu było tajemnic ledwie nie wielu osobom znanych, że żoł-

nierze pruscy, wedle wszelkiego podobieństwa nie znaleźć nie mogli. Simonis w jedném z takich wyżłobień w wielkiej sali ukryty, słyszał jak żołnierze przechodzili ją, jak się dokoła drzwi odmykały, jak zamek tętniał przekleństwami, wykrzyknikami i ciężkiem stapaniem Prusaków, jak Wylich kłął i niecierpliwił się i czekał losu, jaki go miał spotkać. Na kilka dni wprzód przewidując niebezpieczeństwo, opatrzył się był w truciznę, którą trzymał w pogotowiu, gdyby przypadkiem ci co ściany opatrywali i bili w nie szukając, gdzieby zadzwoniła próżnia, trafili na ukryty gwóźdź, cienkie utrzymujący zwierciadło.

Dwie godziny trwało nadaremnie przetrząsanie zamku, w czasie którego pokcje królowej nie były oszczędzane. Żołnierze przetrząsali łóżka, zrywali opony, wciskali się w najciaśniejsze kąty. Ołtarz domowej kaplicy otworzono z tyłu, myśląc, że tam się zbieg ukrywa.

Późno już było, gdy generał Wylich, coraz gniewniejszy, strażę u bram zostawując, kazał nareszcie poprzestać. Wszedł jednak raz jeszcze na górę i przywołanej hrabinie oświadczył surowo, żeby się natychmiast w podróż wybierała.

— Jeżeli chcecie wiedzieć o przyczynie, to wam jęj taić nie będę — zawołał generał. Schwytano tego, któregoście przekupili dla dania królowi trucizny. Wszystkie wasze sprawy wiadome. To gniazdo osie oczyścimy.

Brühlowa przymuszonym ale głośnym wybuchnęła śmiechem, a Wylich się oddalił.

Na zamku panowała trwoga i oburzenie, dworska służba stała niema, Spörken przechadzał się po galerii zżymając się i naradzając sam z sobą.

Nie obawiał się on wcale, ażeby Prusacy kryjówkę mieli odgadnąć, lecz nie zupełnie był pewnym swój służby, aby któryś z nich pobytu na zamku nie zdradził. W owych czasach nikomu zbytńo dowierzać nie było można. Dlatego nie spuszczał się na nikogo, sam ukrył Simonisa. Kilku jednak ludzi o poprzedniem jego mieszkaniu na poddaszu wiedziało.

Przez cały czas poszukiwań hrabina Brühl stała po nad wschodami, z zaciśniętymi usty, drgając na każdy wykrzyk głośniejszy, cisnąc ręką pierś zburzoną i nieumiejąc w sobie ukryć niepokoju, jaki nią miotał.

Kilka razy słabnąc, chwyciła się galerii. Przywiązanie jej do Simonisa, niedawno jeszcze, przeszło w namiętność, która niedługo może w sercu trwać miała, lecz tém też teraz była gwałtowniejszą. Spoglądała błagajaco na Spörkena, który jej dodawał męztwa, a gdy się wreszcie skończyło wszystko, poszła bezsilna paść na krzesło.

Simonis był wprawdzie ocalonym chwilowo, lecz należało go z zamku uprowadzić i ułatwić mu ucieczkę.

Pośpiech był koniecznym, a wykonanie zdawało się prawie niepodobnym. We wszystkich bramach stały strażę. Wśród tego tłumu jaki jeszcze napełnił zamek, łatwo się było szpiegów domyślać.

Hrabina błąkała się tak myślami, nie umiejąc znaleźć środka, gdy baronówna stanęła przed nią, a widząc, że jej nie postrzeżono, lekko dotknęła ręką dłoni Brühlowej, która krzyknęła z przestraszu.

— To ja — odezwała się spokojnie Pepita, — to ja. Potrzeba radzić.

— Straciłam głowę! Glasau pochwycony, stracone wszystko. Simonisa ocalić niepodobna.

— Musimy to uczynić — odpowiedziała baronówna.

Hrabina spojrzała jej w oczy.

— Wiesz sposób...?

— Trzeba go szukać, jest ich tysiąc, a najprzód czekać spokojnie i nie wydawać się z obawą.

Na te słowa wszedł Spörken, wszystko troje stanęli milczący, gdy szmer zwiastował wnijscie czyjeś: Brühlowa spostrzegła idącą królową i podniosła się.

Królowa Józefa nosiła już w sobie zaród tej choroby, która ją wkrótce życia pozbawić miała. Błada, drżąca, z oczyma pełnymi łez i gniewu, wlokła się raczej, oparta na ramieniu jednej z pa-

nien, niżeli szła. Stawać musiała co chwila, i od-
dychać.

Z poszanowaniem dla téj niedoli rozstąpili się
wszyscy.

Królowa była jakby w gorączce boleści, która
jéj nadawała powagę męczennicy i natchnienie
wieszczki. Powiodła oczyma nie widząc nic.

— Cóż więcej nas czeka? — zawołała — jakie
jeszcze upokorzenie? jakie urągowisko? Mówcie,
ja zniosę wszystko; jam zniosła już tyle, że z méj
rodziny nikt ze mną na równi stanąć nie może.

- - Generale mów!...

— N. Pani — odezwał się Spörken — nie
ma nic nowego, ani nic zagrażającego J. Król.
Mości.

— Nie oszczędzajcie mnie — poczęła królowa
— Bóg wie co i dlaczego zsyła... Jam przyszła
tu abym grzechy ojców naszych zmazała pokutą.
Niech ręka Boża chłoscze, ażeby krew zmyła
plamy, ażeby pokolenia następne czyste były
i wolne. Karz nas Boże a przebacz plemieniowi
naszemu!

Mówiąc to płakała, a mówiła nie dla tych, co
ją słuchali, ale jakby sama do siebie, zmuszona
do téj spowiedzi uczuć i myśli.

— To nie koniec — rzekła po chwili — to
początek drogi krzyżowéj, a każdy na niéj krok
zmywa plamę. Karz Boże! chłosczcz mnie, abys

dzieciom przebaczył! — powtórzyła bijąc się w piersi.

Podano krzesło gdyż Józefa osłabła i siły ją opuściły nagle. Wszyscy stali nieporuszeni. Usta jój jakby cichą, szybką odmawiały modlitwę.

Upłynęło minut kilka, zdawała się nieco uspokojoną.

— Spörken — rzekła — ja widziałam tych napastników, wiem, że znowu popełnili tu gwałt; ale nie wiem przyczyny. Cóż się stało?

— N. Pani — poczęła hrabina Brühlowa głosem ochrzypłym od połykanych łez — targnął się ktoś na życie tego, który sam targa się na wszystko. Przypisują ten zamach, nie wiem komu; mnie może, bo mi precz ztąd jechać kazano... na zamku szukano współników.

Królowej oczy się ożywiły ciekawością.

— Zamach? co to było?

— Mówią... trucizna... którą pies wypił...

— Biedny pies — odezwała się pocichu królowa. — Kazano ci wyjechać? — zapytała Brühlowej. — Jesteś szczęśliwszą odemnie, ja nie mogę ruszyć się ztąd, bom powinna dotrwać na stanowisku; moje miejsce jest tutaj: ja tu umrę...

Spörken odezwał się uspokajając królowę, zaczęli mówić wszyscy, opowiadano szczegóły, których królowa zdawała się słuchać z zajęciem. Powoli poruszenie, gniew, boleść uśmierzyły się, królowej Józefie wróciła jój rezygnacya i dała się swym

kobietom nakłonić do przejścia do swych pokojów. Po drodze tylko wstąpiła do kaplicy, a kapelana przywołano na wieczorne modlitwy.

Na zamku uciszało się powoli, światła gasły, i tylko straże u bram, chodem ciężkim i szcękaniem broni ją przerywały.

VIII.

Pan Ksawery Masłowski spał jeszcze, gdy gospodyni jego nie pytając o pozwolenie weszła do pokoju.

— Na miłość Boga! pan śpisz, a pan nie wiesz nic! — zawołała.

Porwał się stolnikowicz oczy przecierając.

— Cóż się stało? kot waćpani zdechł!

— Jak można żarty w takiej chwili stroić. Na zamku się coś stało? Ja nie wiem: po całym mieście chodzą okropne wiadomości. Prusacy wczoraj cały zamek trzęśli, szukali po piwnicach, po strychach; hrabinie Brühlowej precz wyjeżdżać kazano. Mówią, że pochwycono człowieka, co chciał struć króla pruskiego. Szukają jakiegoś sekretarza co z nim należał do spółki, jakoby ukrytego na zamku. Sądnny dzień... a pan śpisz...

Usłyszawszy ostatnie wiadomości Masłowski, który wiedział trochę, co się na zamku działo, bo się tam często jakoś podkradał ażeby czasem piękną baronównę zobaczyć, porwał się z łóżka jak

oparzony i zaczął wołać aby mu do ubierania się podawano.

Pośpiesznie odział się, nie bardzo zważając, co na siebie kładzie, a że zima była już bardzo ostra i mróz wielki, narzucił futerko, aby co prędzej biędz się dowiedzieć na zamek.

Zrana wprawdzie pruskie straże były pozdejmowane, stali znowu Szwajcorowie; na pozór nie było nadzwyczajnej pilności około zamku: lecz dokoła spotykało się twarze i figury, jakie się tu zwykle nie trafiały. Po ulicy Zamkowej i około katolickiego kościoła przechadzało się mnóstwo odartusów, których łatwo było posądzić, iż niedawno pruskie mundury pozrzucali. Nie doznał pan Ksawery żadnej przeszkody wchodząc na podwórze. We wnętrzu było spokojnie. Poszedł więc jak zwykle na wschody, ażali gdzie w korytarzu kogo znajomego lub baronówny nie spotka.

Była to godzina mszy ranniej, której królowa słuchała w małej kaplicy. Masłowski stanął tak, aby wracający dwór go nie minął. Jakoż wkrótce potem wyszła zakwefiona królowa, a za nią hrabina Brühl i inne panie. Pepita zobaczywszy Masłowskiego zatrzymała się.

— Wiesz pan o wszystkiém? spytała.

— Nic nie wiem, oprócz, że coś się miało stać nieprzyjemnego. Na tę wieść przybiegłem.

— Simonisa szukają... cały zamek wczoraj przetrzesiono... Ocalić go potrzeba. Jabym na sumieniu

miała jego nieszczęście, bom go wciągnęła, namówiła, skusiła. Ja go ocalić muszę! muszę! — powtórzyła baronówna z energią wielką.

Masłowski spojrzał.

— Czy mi pani ufasz? — spytał.

— Pytasz pan o to? — ruszyła ramionami.

— Jest on tu?

Pepita głową tylko odpowiedziała. Ksawery zamilkł posepnie, potarł czoło.

— W korytarzu naradzać się niepodobna — rzekł — chodźmy, jeśli pani pozwoli.

— Proszę! chodź, zmiłuj się! Myślałam o was, spodziewałam się jeszcze wczoraj.

— Ja nic nie wiedziałem.

Mówiąc tak weszli do pokoju frejliny.

Było to mieszkanie, do którego w zwykłe dni, nigdy stopa obca posunąć się nie mogła. Masłowski pierwszy raz przestępywał próg tych cichych pokojów, w których niewieścia dłoń z wdziękiem właściwym kobiecie rozłożyła wszystko. Nie śmiał się posunąć daleko od progu.

Pepita wskazała mu by szedł za nią. Zrzuciwszy z siebie zasłonę, w której szła do kaplicy, stała przed nim w całym blasku piękności, której smutek i znużenie dodawały uroku. Załamała ręce.

— Na miłość Bożą, radźcie! — szepnęła — lecz nie mieszajcie się wy, ażebym po raz wtóry nie miała na sumieniu ciężaru. Jego szukają, na

niego czatują; chociaż go wczoraj nie znaleziono, są pewni, że się tu znajduje.

— Najprzód o tém się przekonać potrzeba — rzekł Ksawery — wprowadzie około zamku kręci się mnóstwo ludzi, jakby z szubienicy oberwanych, ale ci może troskliwi są o co innego.

— W nocy go wyprowadzić trzeba — dodała Pepita.

— Najgorzej przerwał Masłowski — nocą pewno pilnować będą, w biały dzień najbezpieczniej.

Zamyślił się pan Ksawery.

— Bądź pani spokojną — rzekł — wyprowadzę go, znajdzie się na to jakiś środek. Lecz gdy go wyprowadzimy... cóż dalej? dokąd?...

Pepita oczy sobie zakryła.

Pomocnik jej tak już był sprawą tą zajęty, że zdawał się nawet gospodyni, dla której był z takim uwielbieniem, nie widzieć.

— Gdyby to nie było bardzo straszne — rzekł — jakieby to było zabawne; z pod nosa Prusakom go wziąć i to w biały dzień.

— Jakże w dzień?

— Przebrać go najłatwiej, przecież na zamku znajdziemy w co... Niechno mnie pani puści do barona Spörkena.

Ruszyła się Pepita, ale Masłowski ją wstrzymał.

— Przecież i po dachach jeśli zręczny, może doskonale dostać się na drugą stronę ulicy.

— Najłatwiejby go spostrzeżono. Co za myśl?

Masłowski z kolei najrozmaitsze podawał środki, ale jedne od drugich trudniejsze do wykonania. Wyczerpał cały swój zapas imaginacyi i stał trochę zmieszany.

— Bądź co bądź — dodał w końcu — jeżeli w tej chwili największa jest pilność, należy go przetrzymać, później mniej będą zwracać uwagi.

— Ale męczarnia tego człowieka!

Masłowski ramionami ruszył.

— Na to nie ma sposobu.

— Siedzi zamknięty w ciasnej i ciemnej kryjówce.

— Daj mi pani trochę czasu, namyślę się, coś zrobić musimy...

— Panie — składając ręce odezwało się dziewczę — zdejm mi z sumienia ten ciężar, całe moje życie wdzięczną ci będę. Myśl ta mnie dusi: jam winna.

— Trochę czasu, trochę czasu: bądź pani spokojną.

— Dają panu godzin...

Masłowski uszy zatknął.

— Nie przyjmuję tego warunku, idę i nie wrócę aż coś wymyślę.

Wybiegłszy z pokoju baronówny, Masłowski wprost skierował się do bramy i już miał się wyknąć w ulicę, gdy z dwóch stron para ciężkich rąk uderzyła go po ramionach i uczuł się zatrzy-

manym. W mgnieniu oka ręce mu w tył zarzucano i pruski żołnierz zawołał: Vorwärts!

Napróżno Masłowski się wrywał i łajał, otoczono go i popychano. Gawiedź ta była najpewniejsza, że w młodym człowieku wzięła szukanego Simonisa. Tłum uliczny począł się natychmiast gromadzić, i z hałasem wielkim, ulicą Zamkową pchano go tak ku rynkowi. Masłowski zły był, choć zresztą nie obawiał się żadnych następstw groźnych. Uroczyście bardzo prowadzono go tak do komendanta, gdyż z każdym krokiem gromadziło się więcej ludzi. Przodem już pobiegł ktoś dać znać, że Simonisa prowadzono. Wylich w rozpiętym mundurze wybiegł naprzeciw tak pożądanego gościa; spojrział i z gniewu obie ręce podniósłszy z pięściami do góry, krzycheć począł.

Ci którzy wzięli Masłowskiego chcieli usprawiedliwić pomyłkę i obdartus jakiś na ucho coś bardzo żywo począł wskazując winowajcę, opowiadać Wylichowi, który się powoli uśmierzył. Wprowadzono go z rękami związanymi do izby komendanta, żołnierze się cofnęli, ale instygator pozostał. Zaczęło się badanie, na które bardzo spokojnie odpowiadał Masłowski, świadcząc się gospodynią swą i mnogiemi znajomemi kto był.

— Ja wiem, że ty nie jesteś Simonis — zawołał Wylich — ale sługa Brühlów, który do wszystkich intryg należał.

— Niczym sługą nie jestem — rzekł Ksawery — byłem dworzaninem ministra, a dzisiaj przez samo poszanowanie dla królowej i pozostałej rodziny mojego króla chodzę do zamku.

— Ty o wszystkiem wiesz i ty mi musisz powiedzieć wszystko! — krzyknął Wylich — do więzienia! do więzienia!

Masłowski z początku się wymawiał, wspominał o bilecie wydanym z rozkazu króla, o pochodzeniu, ale to nie pomagało nic. Wylich był zły i słuchać nie chciał, tupał nogami powtarzając: do więzienia!

Szlachcicowi w końcu już się i tłumaczyć sprzykrzyło, odwrócił się milczący i dał prowadzić gdzie chciano. Izba, do której go zamknięto nie dalej się znajdowała, jak na odwachcie, a odwach naówczas był w Brühlowskim pałacu. Była to więc doskonale znajoma panu Ksaweremu ciemna, sklepiona komnata, w której dawniej stróże i pałacy w piecu przemieszkiwali.

Gdy go tu wepchnięto, znalazł się wśród kilkunastu ludzi pobranych za różne przewinienia, którzy tu losu swego czekali. Gawiedź była uliczna, obdarta, brudna, patrząca dziko, towarzystwo wcale nie przyjemne; lecz pan Masłowski, który nowicyat odbył w pruskiej niewoli, umiał się zgodzić z przeznaczeniem. Przyjęto go wejrzeniami nieufnemi i złośliwemi. Myślał, że znajdzie może twarz jaką znajomą, lecz zrazu nie postrzegł ni-

kogo. Pozarastałe zresztą w więzieniu brody, łachmany, sadze i brud, czyniły tych ludzi nie do poznania zmienionemi.

Ławy pod ścianami służyły za siedzenia; wiadro z wodą i czerpakiem do powszechnego użytku. Milczenie przymusowe panowało w izbie, przerywane tylko mruzeniem, które, gdy się cokolwiek głośniejszém stawało, żołnierz stojący pode drzwiami wołał kaprała, a ten z laską wchodził, i nie szukając winnego, grzmocił po plecach pierwszych z brzegu, co wpajało potrzebną solidarność gromadzie. Musieli się wszyscy wzajem pilnować, aby hałasu nie było. Niektórzy palili coś nakształt tytoniu, napełniającego izbę dymem wlokącym się pasmami do okna. Masłowski począł rozmyślać nad swym losem, gdy mężczyzna ogorzały, przygarbiony, z zawiązaną gębą, w czapce naciśniętej na uszy, tak że twarzy jego prawie widać nie było, zbliżył się do niego. Stał nad nim, bo Ksawery przysiadł był na rogu ławy, ręce w kieszenie włożył i patrzył długo. O ile twarzy z pod szmat otaczających ją widać było, zdawała się uśmiechać.

Masłowski popatrzał i nierychło poznał w nim stróża niegdyś pałacu Brühlowskiego, który był przed kilku laty wzięty z Warszawy. Zwano go Kondratem. Był to Dyogenes w swoim rodzaju: milczący, posłuszny, powolny, śmiejący się ze wszystkich, niepotrzebujący wiele, obojętny nawet

na razy, i chodzący wśród najwytworniejszego dworu Brühlowskiego, w obdartym kożuchu lub płóciennęj odzieży, z rodzajem pogardy dla tych, którzy się na świecidełka zmagali.

Kondratem na dworze posługiwali się słudzy sług: on mył, wodę nosił, w piecu palił i robił to czego nikt się nie podjął. Lecz służba jego i swoboda kończyła się z brzaskiem. Gdy inni wstawali, Konrad gdzieś się w dziurę zaszywał i spał. W nocy włóczył się po najpyszniejszych salonach, często z ironicznym uśmiechem brał w ręce kosztowne cacka, przyglądał się im i stawiał drwiąco na miejscu. Główną zaletą jego była nieposzlakowana wierność. W pokoju gry często znajdował walające się pieniądze, po salach balowych zgubione klejnoty: wszystko to zbierał starannie i oddawał jak najwierniej.

Jemu nad ciepły łachman, strawę, dziurę, w której spał, i kieliszek wódki, nic więcej nie było potrzeba. Kondrat znał w pałacu nietylko ludzi wszystkich, ale wiedział tajemnice, stosunki, nocne wycieczki, grzechy powszednie i śmiertelne téj gromadki, która grzeszyła wiele i nie bardzo się nawet z tém kryła.

Obojętny dosyć widz patrzył, śmiał się, ramionami ruszał, a że języka ledwie urywanych wyrazów się nauczył, nie miał nawet przyjemności żółci swęj wylać przed nikiem, chyba przed którym z polskich paniczów, jak ich nazywał. Z Polakami

dzieje się to zwykle, że doma buty mają do zbytku, ale zagranicą gdy swój język posłyszają, gotowi nawet takiego prostego chłopca uścisnąć. Tak przynajmniej dawniej bywało; Kondrat więc, jakkolwiek obdarte stróżysko, czasem się z paniczami wdawał w rozmowę: Masłowskiego zaś szczególnie lubił.

Teraz z politowaniem jakimś patrzył na niego, ale zarazem twarz mu się, nawykła do szyderstwa, krzywiła ironicznie. Długo nie odzywał się nic. W końcu:

— No, a co? paniczu — rzekł — dobrze?

Ksawery spojrział.

— A ty tu dawno?

— Ja? a od rabunku. Ciąłem jednego po pysku i wsadzili, proszę panicza; a pan co?

— Ja nie zrobiłem nic, ot tak zachciało im się.

— A to wy tu nie wyżyjecie — rzekł Kondrat ja to co innego, ale wy. U nas, z pozwoleniem, świnie lepiej karmią...

— Jużem ja próbował też w niewoli pruskiej i zgniłego chleba i żadnego.

— Długo? — spytał stróż — ja dwa dni, jak woda jest i jest się gdzie położyć, to wytrwam przez niczego...

— A ja też — rzekł Masłowski.

Kondrat głową pokręcił.

— To proszę panicza, na szlachcica dużo! to dużo!

Wśród téj rozmowy w obcym języku, co było Niemców słuchało ciekawie, co było Serbów z Łużyc, którzy gdzieniegdzie słowo chwyтали, uśmiechało się niby braterskim dźwiękom mowy. Ale Kondrat już dłużej nie chciał gawędzić, zamyślił się posepnie. Masłowskiemu zdawało się, że go puszczaą po kilku godzinach, ale nie przyszedł nikt. Rozdano chleb komisowy, posłano po wodę, naostatek i jakiś polówki w kociołku dali. Szlachcie chleb swój wziął, jeść mu się nie chciało. Kondrat swój osolił dobywszy z węzełka soli i począł zajadać z wielkim apetytem.

Jedzenie gwar zwiększyło, kapral z kijem wszedł i ucichło wszystko. Stróż, ponieważ miejsca nie było na ławie, padł na ziemię niedaleko od Masłowskiego.

Inni téż jako tako podjadłszy, gdzie kto mógł, na podłodze próbowali spać, aby czas prędzej przeszedł. Gdy się uciszyło, Kondrad pochylił się do ucha Masłowskiemu.

— Gdybym ja chciał, uciekłbym; a co mnie z tego?

— Jakim sposobem? — spytał Ksawery.

— E! bestye te nocą śpią jak zabite, a tu były w murze drzwi, które ja sam pomagałem w jedne cegłę zakładać. Jakby podłubał trochę, dziuręby zrobić łatwo.

— Gdzie one wychodzą? — zapytał Masłowski.

— Do pustej sieni, no z sieni do ogrodu i powszystkiem...

— A strażę?

— Od ogrodu ich nie ma. Ale nie warto pod zimę na mróz uciekać — dodał Kondrat — niechajno...

Ta wiadomość poruszyła mocno Ksawerego.

— Jedną noc przetrwam — rzekł w duchu — a drugiej wybije mur.

Do wieczora nie zgłosił się nikt, nie spytał. Masłowskiemu zaczynało być bardzo nudno; przypomniawszy sobie jednak położenie Simonisa, wołał jeszcze swoje.

Noc przeszła na czuwaniu i słuchaniu chrapań i krzyków tej ciżby, której niespokojne sumienie odzywało się przez sen. Kondrat przespał na podłodze jakby w najwyśmienitszej pościeli. Powoli zaczął się zimowy dzień robić i w pałacu ruch się wszczął niezwykły.

— Coś te dyabły robią — rzekł stróż — albo pałac uprzatają albo go do reszty burzą.

Ode drzwi więźniowie coś pochwyciwszy z korytarza, mówili, że pałac dla króla sztyftują.

W istocie tak było podobno.

Około dziesiątej od komendanta przyszedł oficerzyna i zawołał pana Masłowskiego. Uwolniono go, nie mówiąc ani dlaczego, ani z czyjej łaski. Oficer mu tylko zapowiedział ażeby sobie z Drezna się wynosił.

Z równą prawie obojętnością jak się dał zamknąć, wyszedł Masłowski wsunawszy coś w dłoń Kondratowi, który pozostał tak spokojnie, jakby mu to zupełnie było jedno. Niespokój o Simonisa, chęć widzenia baronówny, skłoniły go, ledwie nieco otrząsłszy się i obmywszy, pobiedz do zamku. Bez pozwolenia tym razem poszedł wprost do pokoju Pepity. Nie było jęj tutaj i młoda służąca tylko, której narzeczonego zabrali Prusacy, siedziała płacząc u okna. Masłowski poprosił jęj by pani o nim oznajmiła.

W kilka minut nadbiegła rozpromieniona Pepita.

— Podziękuj mi pan — rzekła — gdybym nie uwolniła go, siedziałbyś do końca wojny.

Masłowskiemu tego tylko było potrzeba, ażeby rękę pięknej panny pochwycić i serdecznie spojrzeć jęj w oczy.

— Jakim sposobem? — spytał.

— Przez stryjenkę moją, którą Prusacy szanują — żywo odpowiedziała Pepita, cbejrzała się na siedzącą sługę i dodała cicho: — Gdybym tak mogła...

Wzrok jęj dopowiedział, że Simonis jeszcze na zamku pozostał.

— Kiedy wyjeżdża hrabina Brühlowa? — spytał.

— Prędko, prędko; ale nie prędzęj aż... rozumiesz mnie pan.

Masłowski musiał się domyśleć, że szło o zabranie Simonisa.

Więzienie nietylko mu nie odebrało odwagi, ale go uczyniło zuchwalszym. Dał znak pięknej pannie, aby z nim wyszła na korytarz.

— Nie ma co zwlekać — odezwał się — król Fryderyk ma przybyć do Drezna, naówczas wszystko się stanie trudniejszém. Podejrzliwy, zgryźliwy, mieszający się do wszystkiego; kto wie do czego się może rzucić. Ja biorę na siebie, że Simonisa wyprowadzę; dajcie mi go tylko: przebiorę, uczernię go, zbrukam, zabiorę do siebie i albo oba zginemy, lub ucieczemy.

Baronówna zaprowadziła go do Spörkena, który rad był pozbyć się i odpowiedzialności i więźnia.

Zgodził się na wszystko. Poszli więc razem do pustej sali i pozamykawszy drzwi, wyciągnęli Simonisa z kryjówki. Miał on tu i posłanie i jedzenie, zdaje się, że nawet dodając mu odwagi, odwiedzała go hrabina Brühlowa; jednak gdy się wydobył na światło dzienne, ledwie na nogach się mógł utrzymać. Kręciło mu się w głowie, blady był jak trup.

Z sali przez cały szereg pokojów, przeszli pocihu do gabinetu, w którym Masłowski zajął się przebraniem Simonisa. Generał sam dostarczył łańchmanów, sadzy komin, a inwencyi Masłowskiego żywa wyobraźnia. Szklanka wina orzeźwiła drżącego. Rozpuściwszy mu włosy i obmywszy je

z pudru, zaczerniwszy twarz, okrywszy go łachmanami, zdawało się Masłowskiemu, że dokazał arcydzieła. Simonis posłuszny jak dziecko, robił, co mu kazano.

Sznur i wiązka drew na plecach, służyć miały do dopełnienia tej maskarady, która się tragicznie skończyć mogła. Spörken namówił Simonisa, aby za siermięgę wziął puginał i w razie gdyby go kto chciał pochwycić, bronił się nim a uciekał.

Masłowski isć miał nieco przodem, tak aby go z oczów nie tracić. Wszystko było jak najlepiej ułożoném i zdawało się niepodobieństwem ażeby Simonisa pod tą postacią poznać miano; brakło tylko jednej rzeczy: przytomności i męztwa. Szwajcar znużony więzieniem, osłabły od nieustannego strachu, gdy miał wyjść za próg, tracił męztwo i wyprasał się do zmroku. Napróżno Masłowski starał się mu tłumaczyć, iż właśnie wówczas strażę najczujniejsze były.

Naostatek gdy już z niego szydzić zaczynano, Simonis ruszył się nareszcie w korytarze puste. Masłowski zbiegł drugimi wschodami. Spörken ukryty w oknie, zdaleka miał mieć oko na cały przebieg tej niebezpiecznej próby.

Dziwnym trafem, w chwili właśnie, gdy Simonis z bijącym sercem wychodził w podwórzec zamkowy, rozmierzając oczyma dosyć znaczną przestrzeń, która go dzieliła od wrót, ulicy i swobody;

na Kreuz-Kirche, Frauen-Kirche i w innych kościołach uderzono gwałtownie we dzwony.

Król Fryderyk w swoim starym płaszczu, na Brühlu wjeżdżał do miasta; tym razem, chcąc być zamku bliżej, nie do pałacu Moszyńskich, ale do Brühla pałacu jadąc prosto, gdzie sobie kazał wyporządzić mieszkanie.

Simonis usłyszawszy dzwony, nagle zadrżał; nogi mu zadygotały, nie wiedział co to znaczyć miało: zatrzymał się jakby zapomniawszy, w którą ma się kierować stronę.

Była to właśnie dla niego chwila najpomyślniejsza, bo żołnierstwo wybiegało do bram w ulicę Zamkową, w nadziei, że tam króla zobaczy; w drugich wrotach został jeden żołnierz roztargniony. Simonisowi wszakże dwoiło się w oczach, widział niebezpieczeństwo, nie pojmował tego składu pomyślnego okoliczności. Masłowski już stał w bramie i sobą napróżno zasłaniał żołnierzowi drogę, aby przekradającego się nie mógł zobaczyć. Simonis stał. Spörken, który na to patrzył za oknem, ręce łamał i kłął niezdarnego awanturnika. Tak drogi już moment pierwszy został stracony. Dzwony biły ciągle zapamiętale.

Superintendent Am Ende, który w kilka dni potem miał króla-filozofa ucęstować predyktem, do którego użył za godło *Suum cuique*, witał właśnie Fryderyka w rynku. W mieście panowała wrzawa dochodząca aż tutaj. Simonis wreszcie

oprzytomniał i widząc, że nikt nań nie patrzy, nikt się go nie czepia, począł iść ku bramie.

Szczęściem to było w istocie, iż nikt nie miał czasu nań spojrzeć, tak źle grał swoją rolę staro- stróża, przygarbionego pod wiązką drew niesioną do domu. Biegł zbyt żywo, prostował się, stawał, zdradzał niepokój i niepewność siebie.

Ale żołnierz właśnie patrzył w ulicę, a Masłowski ciągle służył za parawan, gdy naostatek Simonis szybko się z bramy w ulicę wychwyił. Tu mu sił zabrakło, musiał się oprzeć o ścianę.

Masłowski odetchnął wolniej.

Wkrótce potem przebrany biédak wywłókł się po za kościół; Ksawery poszedł za nim.

Do mieszkania jego trzeba było iść przed pałacem Brühla, przed którym stał właśnie batalion piechoty i gdzie się króla spodziewano. Obawiając się aby nieprzytomny Simonis nie rzucił się na oślep, Masłowski mijając go musiał mu szepnąć:

— Za bramę, nad Elbę... i naokoło do mnie... czekam na was...

Iść razem nie było podobna, tu zresztą Simonis nie zwracał już niczyjej uwagi i mógł się łatwo w tłum wmieszać, którego wszędzie było pełno.

Jakkolwiek lud był może przywiązany do dynastyi, dwa takie panowania jak Augusta Mocnego i Słabego, nie mogły przejść bez skutku. Na kilkuset ludzi co się rozrzutnością dworu żywili i zbo-

gacali, miliony cierpiały pod uciskiem niesłychanym. Podatki były ogromne. a obchodzenie się z krajem surowe. Szlachta miejscowa kilka razy chciała u stóp tronu złożyć najpoddanniejsze prośby, ale Brühl ich nie dopuścił. Lękano się jej i zastąpiono cudzoziemcami. Cały kraj oprócz tego był protestanckim i fanatycznie do reformy przywiązany, która na dworze cierpianą była, gdy katolicyzm doznawał opieki czynnej i krzewił się coraz więcej. Widziano w Fryderyku, który wprawdzie przynosił wojnę, kontrybucye, kwaterunek, werbowanie przymusowe, monarchę protestanckiego i opiekuna kościoła. Część więc znaczna ludności zwracała ku niemu oczy. Król, który w Berlinie nigdy prawie, oprócz obrzędów uroczystych i przymusowych, nie bywał w kościele, w Dreźnie gotów był nawet kazań służyć cierpliwie.

Pochód przez miasto pod oknami zamku, pod oczyma królowej i jej rodziny, umieszczenie się o kilkadziesiąt kroków od rezydencyi, mogło uchodzić za brawadę, i było nią zapewne w istocie, bo pałac Brühla zniszczony zupełnie, ani wygodnym, ani przyjemnym być nie mógł.

Simonis unikając kup, które się tu gromadziły, wyszedł zaraz za bramę i spuścił się małą ścieżką po pod samymi murami, która stała całkiem pustą. Gdy Elba wzbierała, rzeka niekiedy podchodziła pod stare ściany twierdzy; teraz pomiędzy niemi a rzeką była dróżka, która prowadziła na

przedmieścia zamieszkane przez rybaków. Pomimo chłodu, czuł pot na czole; otarł go, sparł się o mur i stał długo, odzyskując z wolna trochę odwagi i energii. Lecz nie był to już ten sam człowiek, który się niedawno ważył na wszystko.

Przedłużona trwoga ciągłego oczekiwania wyczerpała siły i ochotę do czegokolwiek bądź, oprócz ocalenia życia. Myślał znowu z tęsknotą o Bernie, o siostrze, i byłby przyjął ubóstwo wieczne, byle z nad jego karku ustąpił ten miecz Damoklesa.

Szubienica, koło, rwanie końmi, ćwierutowanie, wszystko to z kolei przychodziło mu na myśl. Hrabina Brühlowa, wielkość przyszła, dostojęństwa, bogactwo, czémże były, położone na szali obok takiego sromotnego końca. Długo stał Simonis, nim się opamiętał i powłókł dalej. Rozgorączkowanie myśli, to chwilowo usunięte niebezpieczeństwo, dozwoliły mu zapomnieć, iż powinien był pozostać zgarbionym włóczęgą w łachmanach. Naprzód wiązkę drew rzucił pod murem, potem trąc czoło i twarz oczyścił ją w części z sadzy i umyślnego brudu; na ostatek rozprostował się i zwykłym krokiem począł iść nad Elbą.

Tu już naówczas stało kilka letnich domków i mieszkań w ogrodach zajmowanych przez zamożniejszych dworaków. Simonis zapomniał lub nie wiedział, że i wuj Ammon miał tu maleńką posiadłość. Przypuszczać zresztą było trudno, ażeby

ją w tój porze zimowój mógł odwiedzać. Lecz są ludzie stworzeni do tego, ażeby im się nie wiodło.

Troskliwy o swój opuszczony domek, powracał właśnie stary Ammon pieszo spiesząc do miasta, usłyszawszy dzwony zwiastujące króla przybycie; gdy na drodze oko w oko niemal go potrąciwszy, spotkał się z Simonisem. Oba stanęli osłupieli. Ammon wiedział od Wylicha o swoim kuzynie i jego zdradzie, wypierał go się z całych sił; gdy w tём dziwném przebraniu zjawił mu się przed oczyma. W piérwszėj chwili zawahał się z poznaniem, Simonis tęż chciał nie dając czasu do rozmysłu uciekać, gdy Ammon się rzucił na niego.

— Stój! ty trutniu! przechero jakiś! łajdaku! stój. — I pochwycił go za ramię.

— Czy waćpan chcesz mnie wydać? — zawołał Simonis obejrzawszy się, że na drodze nie było nikogo.

— Co ty tu... co ty tu śmiesz robić? jak?... — Ammonowi wyrazów nie starczyło: — ty jakiś... mów!...

— Chcesz mnie wydać? — powtórzył Simonis — tego tylko brakło.

— Mam cię przechować? ty niepoczciwy, którego się wyparłem; ty zbóju — wołał Ammon — mam dla ciebie szyć poświęcić?

— Puśćcie mnie tylko, nie chcę więcej nic.

— Tak, idź, idź na złamanie karku; patrz — odwrócił się stary — Elba o dziesięć kroków;

wiesz co masz najlepszego do zrobienia? idź, utop się: idź...

I pchnął go z całej siły; uszedł potém kroków kilka, gorączkowo począł szukać po kieszeniach, wyciągnął zieloną sakiewkę, wysypał z nięj ręką drżącą, co było i rzucił stojącemu Simonisowi, nie odwracając głowy, puścił się ku miastu.

Max wyczekał trochę, i kołując poszedł szukać mieszkania Masłowskiego, który nań oddawna czatować musiał: nie łatwo przyszło mu je znaleźć po dosyć długięj włóczędze.

Ksawery nie chcąc aby widziano przybywającego, wszystkich powyprawiał z domu; sam z za drzwi wyglądał w ulicę: syknął i dał znak a Simonis wbiegł co prędzėj. Na górze czekały go suknie, spoczynek i jedzenie, którego nie skosztował. Zaledwie zrzuciwszy z siebie brudną odzież, którą Masłowski wepchnął do palącego się pieca, Simonis padł na łóżko i omdlał.

IX.

Ktoby był widział pięknego dnia zimowego powozy i dwór króla Augusta III wracające z łowów i zdążające o słońca zachodzie ku Warszawie, wspaniałe ubiory łowczych i myśliwców, piękne cugi, kosztowne futra, dwór od złota i srebra świecący, pióra nad kapeluszami, wstęgi, aksamity, dyfdyki bogate, któremi wierzchowce pokryte były, nie domyśliłby się wcale, że panu temu dziedziczne jego kraje zajmował sąsiad, że mu całą młodzież do wojska pędził, sekwestrował dochody i w stolicy jego gospodarował jak w domu, z tą jednak różnicą, że domu się zawsze oszczędza, a cudzej stolicy jak najmniej.

Lecz dzięki geniuszowi Brühla, fałszywe pojęcia o stanie spraw politycznych Europy nie miały przystępu do ucha Augusta; wiedział on, że za jego sprawę biło się siedemkroć sto tysięcy sprzymierzeńców, że lada godzina będzie mógł swobodnie powrócić polować w lasach Hubertsburgskich i słuchać opery w Dreźnie.

Brühl nieustannie powtarzał królowi iż się niczego obawiać nie było potrzeby, w Polsce miał schronienie bezpieczne, szkody zaś poczynione w Saksonii łatwo było odzyskać przyłączeniem od Prus obszernych prowincyi. Co zaś najwięcej bawiło i radowało poczciwego króla, to że nawet raz udało mu się Fryderyka oszukać wybornie.

W czasie tego nieszczęśliwego pochwycenia wojsk saskich w obozie pod Pirną, gdy nawet ocalenia gwardyi utargować nie mógł Rutowski, przycałił się tak zręcznie Brühl, iż wszyscy niby zapomnieli o najpiękniejszych czterech pułkach Saskich stojących w Polsce. Te pułki przez Morawię pociągnęły pocichu w pomoc Austryakom.

Król ile razy sobie tę wyborną przypomniał sztuczkę, śmiał się patrząc na Brühla i mówił:

— A co Brühl, moje cztery pułki? ha?

Brühl uśmiechał się także; a August odpowiadał mu jeszcze raz śmiechem. To pewna że nie tyle go martwiła strata całej armii, ile cieszyło wykradzenie tych czterech pułków. Równie tryumfował z tego, że wywiózł z sobą Magdalenę Corregia, i Fryderykowi zostawił Battoniego, która jak dla takiego znawcy, jeszcze była arcydziełem.

Naostatek jakkolwiek Warszawy do Drezna naówczas porównywać nie było podobna, ale założono i tu zwierzyniec do strzelania napędzonej dziczyzny, psów było dosyć do wprawy w celowanie, gdy na pole się ciągnąć nie chciało, saski pałac mieścił

z biedy dwór i królowi samemu starczył, teatr zaś z niedobitków dreźnieńskich i muzyką nadworną, wcale nie zły złożyć się udało.

Ile razy solo fletowe przychodziło w czasie koncertu, król zwracał się do Brühla i szeptał mu na ucho:

— On tak nie zagra!

Ten *on* oznacza, Fryderyka, który w tej chwili zapomniawszy o flecie wygrywał na Saskich grzebiach, koncert wcale nieharmonijny.

Tu z Warszawskiego punktu widzenia, cała wojna i przyszłe rozwiązanie tego dramatu nieszczęśliwego wydawały się tak jasno, tak nieochybnie tryumfalną sceną, iż król August, który z Koenigstein wyruszył tak markotny, wdychający, zamyślony, odzyskał połowę umysłu zwykłą i wszystkie obyczaje szczęśliwego człowieka.

Zachciewało mu się czasem czegoś z Drezna, ze zwierzyńców, z galeryj, ale Brühl który o sobie dla pana zapominał, umiał zawsze w zastępstwie tego co brakło, wyszukać coś co pana uspokoiło.

Jedno tylko dobrego króla martwiło, gdy mu minister, co się cały dlań poświęcił, opowiadał o poniesionych stratach, zrabowanym pałacu, popalonych zamkach, potłuczonej porcelanie, zbezczeszczonej garderobie.

Naówczas wdychał król, nazajutrz sypał starostwami, jakie miał do rozporządzenia, ażeby choć

w części te ofiary biędnemu człowiekowi wynagrodzić.

Życie w Warszawie mało co było odmiennęm od drezdeńskiego, tu tylko na pokojach częściej się spotykało wygolone głowy i szable, których właściciele tak się nauczyli nisko kłaniać i w rękę całować króla J. Mości, jak gdyby byli rodowitemi Sasami. Nie przeszkadzało to do rwania sejmów, ale któż może odgadnąć jedną wichrowatą czuprynę wśród kilkuset? I tu król był obwarowany strażą z zaufanych ludzi złożoną, aby nikt mu się nie podkradł z niepotrzebnemi wiadomościami. Brühl czuwał nad tē, ażeby z pola wojny przychodzące doniesienia zredagowane były zawsze tak umiejętnie, by wszelka klęska zdawała się zwycięstwem, a najmniejszy szarmyćel pomyslną, wygraną, walną bitwą.

Zbierano tēż starannie wszystkie anegdotki o Fryderyku, które go w śmieszność podać mogły.

Brühl utrzymywał Augusta w tēm przekonaniu, iż lada godzina skończy się to wszystko stłuczeniem na miazgę nieprzyjaciela. Czasem bardzo znużony król zapytywał:

— A co ?

— Wszystko jak najlepiej, N. Panie — odpowiadał minister. — Francuzi już idą, armia rosyjska już wyszła, Szwedzi w drodze, Austriacy wszędzie górą. Lada dzień katastrofa. . . .

— Żeby go żywcem wziąć! — żeby go żywcem wziąć! — mówił król.

— Tego się niechybnie spodziewamy N. Panie — odpowiadał niezmiyszany Brühl — już dwa czy trzy razy o mały włos. . . .

— O włos! — powtarzał August — ale zawsze ten włos!

Z Drezna wiadomości dochodziły nieustanne, Brühl kierował sekretną administracją hr. Moss, Globiega i Stammera, dawał instrukcje Hennikemu ciągnął nawet pieniądze, o ile obok wyciąganych przez króla Fryderyka, dało się bocznemi drogami wydobyć; lecz z tego co przychodziło ze stolicy, robiono na użytek króla wybór troskliwy, aby o tém co niepotrzeba nie wiedział. Zrana przychodził Brühl zapytać o zdrowie i rozkazy, później wpuszczał wybranych przez siebie, podpisywano papiery, przychodziły na stół sprawy polskie, a po nich obiad wykwintny. Król rozbierał się do koszuli po tém znużeniu, zapalał fajkę, a osoby które wpuszczano były starannie dobierane, poufałe, potrzebne koniecznie lub zabawne. Niekiedy trafiał się obraz albo do nabycia lub przez którego z panów polskich ofiarowany. Stawiano go na staludze, a król wzdychał nad galeryą od której był oddalony. Troszczył się najwięcej o Madonę Rafaela, którą się pysznił, dla której gdy ją przywieziono, tron z sali kazał usunąć, aby wielkiemu mistrzowi zrobić miejsce. — Któż wie? — mawiał — lada głu-

pia kula austriacka może świat pozbawić arcydzieła!!

Jeżeli był teatr okolo czwartej lub piątej, siedł król na operę, albo na koncert, albo jechał do Mokotowa, lub na Bielany na małe łowy. Wieczorem kładziono pod pałacem zwykle zdechłego konia, do którego schodziły się psy; król do nich strzelał z altany, zawsze z tą oględnością, aby ich nie zabijać tylko ranić, boby mogło ich w końcu zabraknąć. Strzelał zaś tak wprawnie, iż zwykle mawiał do Brühla:

— Brühl, prawa łapa...

I prawa łapa była strzaskana.

Minister prawie tak doskonale strzelał jak August III, ale rozumiał to że mu gorzej zawsze wypadało celować i niekiedy chybiać.

Inne też rozrywki dwór bawiły: puszczano się kuligiem, bywały ognie sztuczne misterne, popisywali się wędrowni wirtuozowie, i opera na małą skalę przypominała Ecjuszów, Titusów, Aleksandrów drezdeńskich. Niestety, Faustyny tu nie było, a żadna jej zastąpić nie mogła. Na wspomnienie divy, król się zamyślał, nie mówił nic, oczy wlepił w ścianę: czuć było że w kontemplacyi ducha cześć oddawał jej obrazowi przytomnemu wyobraźni.

Dnia tego kawalkata, która była wyruszyła ku Bielanon, szczególnym trafem już na przedmieściach Warszawy napotkała drugą.

Łatwo było poznać w tym szeregu powozów

zmęczonemi pocztowemi zaprzężonych końmi, drezdeńskie ekwipaże dworu; król który w odkrytym jechał, odwrócił się do tuż towarzyszącego mu Brühla, ręką wskazał i zawołał:

— Brühl, otóż masz! a to co?

Minister właśnie poznał był żonę swoje i dwór jej.

— N. Panie! — zawołał — żona moja... Sama nam przywozi ważne wiadomości z Drezna.

Król milczącym, wdzięcznym ukłonem pozdrowił wyglądającą panią. Uwolniony dla rozporządzenia umieszczeniem hrabinę, Brühl pojechał za nią, a król do pałacu. Dobrze pół godziny upłynęło nim minister, na którego niecierpliwie oczekiwano, zjawił się w pokoju króla.

Zobaczywszy go powstał August III i spojrział mu w oczy.

Brühl jak zwykle przychodził z twarzą jasną.

— Królowa? jak się ma królowa?

— W zupełnym, w najlepszym zdrowiu. Są od N. Pani listy i od księcia kurfirsta, które żona moja chce mieć zaszczyt sama złożyć w ręce W. Kr. Mości.

— *Sehr angenehm* — szepnął król — bardzo mi będzie przyjemnie.

— Z wiadomości — dodał Brühl — ta tylko ważna, iż Fryderyk o mało nie zginął.

— A! jakim sposobem.

— Kamredyner Glassau chciał go otruć w czekoladzie!

Król ręce podniósł do góry.

— Ale pies wypił truciznę.

Nastąpiło wątpliwe głowy rozkołysanie.

— Z tego powodu — mówił Brühl — posądzono mnóstwo osób w Dreźnie, chciano więzić, więziono nawet. Odkryto zdradę sekretarza gabinetowego...

Słuchał z uwagą król, ale nie mówił nic.

— Szczególną niechęć zwrócił Fryderyk ku żonie mojej, czując w niej nieprzyjaciela i dlatego ona oddalić się wolała.

— Zapewne — dodał król — tak lepiej.

Jeszcze raz zapytał o królową August i przeszedł się zamyślony, zwrócił potem nagle do Brühla:

— W bażantarni? w zwierzyńcu...

— Wszystko całe, na mnie spada zemsta jego: pałac i niszcza.

— Ale ja ci to nagrodzę — odparł król — zobaczysz, niech się to tylko raz skończy. Pałac trzeba żebyś sobie budował tutaj, zda się.

— Z łaski W. Kr. Mości.

— Ja ci na to dam. Są pieniądze?

— Są, N. Panie.

Zadumał się król, na tém się skończyło.

Za panią Brühlową przybył cały jój dwór. W chwili wyjazdu pomnożył się on niespodzianie rozkazem gabinetowym króla, który oprócz hrabiny skazywał na opuszczenie stolicy baronównę Nostitz,

jako zbyt czynną w zamkowych intrygach. Generał Spörken ledwie się potrafił utrzymać.

Simonis ocalony i wyprawiony przodem do Wrocławia, tu się połączył z dworem Brühlowej, do którego Masłowski należał. Zmienił tylko Kawaler Max Simonis nazwisko swe na Henryka Ammona, i pod tém zjawił się w Warszawie.

Któż odmaluje radość, zapach, szal niemal, z jakim pan Ksawery, podrzucając czapkę do góry, powitał stolicę i dźwięk mowy, której był spragniony. Działo to nań tak, że zaraz za Wrocławiem zaczepiał wszystkich kogo spotkał i gęba mu się nie zamykała.

Wesołość ta często zbyt uczynna wyrażała się dziwnie, żartami niekiedy bolesnymi z Simonisa, który jechał przybity, milczący i w ogóle zmieniony bardzo.

Do powozu też w którym siedziała baronówna przypadał nieustannie, aby ją bawić, bo była smutną i zapewniać że po Saxonii płakać nie będzie miała powodu.

Masłowski, który w ostatnich czasach postradał był wiele dawniej wesołości i swobody umysłu, odzyskał je w granicach Rzeczypospolitej. Trafiło się też, że na drugi dzień w podróży spotkali na drodze pielgrzymującego z właściwym sobie stoicyzmem, pomalutku Kondrata. Skorzystał on z zamętu jaki w czasie przybycia Fryderyka panował, by się wysliznąć z więzienia.

Nie tłumaczył się jak tego dokazał, nie przyznawał czy cegłę wyjął ze ściany; dosyć że wolny. goły, mało odziany, o żebraczem chlebie, ciągnął się tak ku domowi, gdy go Masłowski poznał i na furgon wsadził. Karmiono go chętnie, bo służbie był użytecznym, a byli to jego dawni znajomi.

Jedna rzecz truła panu Ksaweremu powrót do domu, myśl o surowym ojcu o panu stolniku, w razie gdyby odkrył, dowiedział się lub domyślił że syn w niemce się zakochał; tak było w istocie. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, iż pan Masłowski głowę stracił, a było wielkie prawdopodobieństwo do tego, że baronówna serce mu oddała. Hrabina Brühlowa, której oczu przenikliwych ujść nie mógł stosunek tego rodzaju, i która zwykła się go była domyślać nawet tam gdzie nie był, uśmiechała się z politowaniem. Probowwała nawet parę razy, małą uczynić dywersją bałamucąc potrosze Masłowskiego; lecz wprędce postrzegła że do galanteryi tego rodzaju polak nie był wcale zdatny...

Zakochany, zbyt się oddawał pani swych myśli, ażeby mu na epizody starczyło czasu. Simonis zaś, który był w łaskach pani, od ostatnich wypadków wiele w oczach jęj utracił. Litowała się nad nim, i znajdowała go zbyt mało rycerskim, nadto lękającym się dramatycznych scen i t. p. Tylko zasługa jego i poświęcenie ratowały od niełaski i zapomnienia. Simonis jechał z pewnością

otrzymania posady sekretarza i dalszój świetnej krescytywy.

Najsmutniejszą ze wszystkich była baronówna, którą losy jój kraju obchodziły żywo. Przywiązaną była do królowej, litowała się nad jój losem, tęskno jój było zdała, próżno dowiadywać się tylko o tém w czémby była uczestniczyć pragnęła. Przewidując klęski, chmurna, zmuszona, jechała za hrabiną, a jeżeli się kiedy uśmiechnęła Masłowskiemu, to na jedno mgnienie oka. Chmury wracały na czoło, łzy na powieki, tęsknota do serca.

Masłowski zagadywał, ona powtarzała ciągle:

— Powiedz, co się tam dzieje?

Pan Ksawery ledwie wysiadł, zaledwie się wyścięgnął, gdy nadchodzący minister zobaczywszy go, zawołał doń:

— Stolnik jest w Warszawie.

Chciał pytać Masłowski gdzie go miał szukać, ale Brühl, któremu było pilno, wszedł do pokojów hrabiny. Złożywszy swe węzełki i zdawszy je służbie, pan Ksawery ani chwili się nie namyślał; trzeba mu było natychmiast pójść, paść do nóg ojcowskich: stolnikby mu nie przebaczył opóźnienia.

A serce też, mimo strachu, biło mu do tego ojca, który surowym był, zapalczywym, lecz dziecko kochał, i choć się z tém krył dla utrzymania powagi, zdradzał nieustannie.

Pan stolnik Masłowski z Chełmskiego był jak Brühl mówił jego przyjacielem, jak on sam powiadał, sługą J. Excelencyi. Ksawery wybiegł na ulicę, rachując na Opatrzność iż mu kogoś o mieszkaniu stolnika wiedzącego dostarczy. Każdego spotkanego szlachcica przy karabeli, zdejmując czapeczkę zapytywał:

— Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja, nie mógłby mi pan powiedzieć gdzie mieszka stolnik Masłowski?

Jedni odpowiadali grzecznie, grubiańsko dzudzy: „Na końcu języka,“ albo: „kto go tam zna?“ Inni radzili udać się w to lub w inne miejsce na zwiady. Ksawery szedł zmordowany i już zły, gdy zobaczył dobrze sobie znajomego Maćka fornała ojcowskiego, na małej taczce, z wielką biędą popychającego beczułkę, oczywiście pełną, bo sobie ledwie z nią mógł dać radę. Maciek miał głowę spuszczoną, zaspany był i spocony, mimo chłodu.

— Stój, Maciek! na rany Chrystusowe?! — zawoła — gdzie ojciec?

Przestraszonemu apostrofą chłopcu taczka z rąk wypadła i o mało się beczułka z niej nie stoczyła.

— Jezu miłosierny! taż to panicz! A co pan Zdrowasiek na waszą zmówił intencją, a jakie u nas paskudne chodziły wieści!

I począł go ścisnąć za kolana.

— Chwałaż Bogu zem cię spotkał — zawołał Ksawery — Ojciec zdrów?

— Dzięki Bogu jako tako.

— Cóż to wieziesz?

— Rozumie się, wino proszę panicza; trzeci dzień u nas piją — rzekł Maciek — na zabój. Coś to tam, jakaś sejmowa sprawa, wino idzie na rachunek ministra. Pan stolnik, jako gospodarz, wody sobie potrosze dolewa, aby trzeźwym być, ale nie bez tego żeby też nie był pod hełmem, a co drudzy, paniczu jak sztofy! Z daleka słychać jak wrzeszcą.

Ksaweremu zrobiło się markotno trochę.

— A gdzież stoicie?

— Na Pocijewie, proszę panicza; najął pan stolnik pięć pokoi. We trzech już leżą jak kłody, ci którzy mają do syta; ano co się wytrzeźwi który, to mu dolewają.

Nie pytając o więcej, poszedł pan Ksawery. Dostali się z chłopcem na podwórze w Pocijewie, pełne sani, wozów, czeladzi, żydów, wrzawy i wszelkiego motłochu. W kącie kuglarz pokazywał sztuki z gałkami i kubkami, gawieź mu się przypatrywała, a filuci powoli robili rewizyą po kieszeniach. Hałas w dziedzińcu i w gmachu był ogromny, trzeba było nawyknać do niego, aby znieść. Ztąd już chór podpiłej szlachty słychać było na górze, a w oknach, choć jeszcze za dnia, już zapalone były światła. Nie potrzebował dalej przewodnika pan Ksawery: wrzawa i śpiewy go prowadziły.

Podszedłszy podedrzwi, poprawił ubrania, zdjął

kapelusz, przeżegnał się, gdyż przystąpić do ojca nie mógł nigdy bez obawy, i uchyliwszy drzwi wszedł do ogromnej izby, w pośrodku której właśnie z kielichami podniesionemi do góry, stojący przyjaciele pana stolnika, ryczeli ochryplemi głosami pieśń znaną:

To pan, to pan, to dobrodziej nasz;
A my jego słudzy:
Pijmy jako drudzy.

Jeden potężny głos basowy szczególnie się odznaczał. Posiadacz jego siedział na ławie, obie ręce do ust w trąbę złożone przystawiwszy, wył aż mu oczy na wierzch się wydobywały, a twarz karmazynem oblewała.

Zapach wina, jadła, świec, butów szlacheckich zlekka dziegciem dzyngowanych, najrozmaitszych woni, chwycił za nos przybyleca, który u progu zatrzymał się pokornie, kroku dalej ruszyć nie śmiejąc.

Na przodzie stał pan stolnik Masłowski, olbrzymia figura, z brzuchem potężnym, z którego pas był opadł nisko, tak nisko, iż lękać się było można, aby się na ziemię nie zsunął.

Piękny to musiał być niegdyś mężczyzna, ale życie do rozrostu niepomiernego budząc ciało, zatarło szlachetne formy pierwotne. Głowa tylko wysoko podgolona z wąsem, z podbródkami, z oczyma niebieskimi napół przysłoniętymi, miała wyraz rozpojonego Sardanapala. Znać w niej było krew

bujną, starą, rycerską, a zarazem już okiełznaną dworactwem i nałogami.

Jedną ręką trzymał się w bok, przy karabeli, której nigdy nie odpasywał, którą u stołu kładł przy sobie, a nocą przy poduszkach; drugą unosił *pełną*, kielich złocistym płynem nalany po brzegi. Zrazu czy nie spostrzegł czy nie poznał syna, oczy mając zasłte blachmanem, lecz nagle zadrgał mu kielich, usta otwarte ścięły się i popędził ku dwizrom.

Pan Ksawery już leżał u nóg jego, stolnik drżał cały, kielich mu padł z rąk; rzucił się gwałtownie chwytając za głowę i całując namiętnie syna. Dopiero temu uczuciu dogodziwszy, pchnął Ksawerego od siebie.

— A mówże ty bestyo jakaś, co się z tobą działo? wszak już pletli Bóg wie co, i opłakałem waszeci!

Szlachta wesółą otoczyła wnet stolnikowicza.
„Vivat! vivat!“

— Dajcież pokój — przerwał stary — jeszczeby czego niestało, żeby takich smarkaczów pić zdrowie. Niech się wytłumaczy.

— Tst! tst! — zaczęto wołać.

— Panie stolniku — przerwał podkomorzy Rożański. — Nie pozwalam! Na sucho mówić *nego! veto!* dać mu kropel nim zacznie mówić... kropel!

Obejrzano się za winem.

Maciek, który miał już czas wcisnąć się do izby, niósł kielich nalany rozlewając z niego po drodze. Gwałtem go w ręce wbito Ksaweremu. Ten przyklęknął:

— Zdrowie rodzica dobrodzieja! — zawołał. A za nim jak hukną wszyscy: — Naszego stolnika zdrowie! Kochanego stolnika zdrowie... do stu lat! — od hałasu ci co spali w dwóch dalszych izbach, pozrywali się na nogi i chwiejącymi krokami poczęli, za ściany i drzwi chwytając się cisnąć do salki.

— Zdrowie stolnika! — wrzało, chuczało, szumiąco.

Rozczulony ojciec jeszcze raz uścisnął syna.

— A teraz gadaj! — zawołał. — Panowie, uciszcie się! Dworzanin J. Ekscelencyi ministra Brühla ma głos.

Ksaweremu nie zbywało na wrodzonej wymowie, lecz ile razy przy ojcu mu się z nią popisywać przychodziło, onieśmielony jąkał się i prawili tak, że się jedno drugiego nie trzymało. Tym razem, czy wino, czy ogólny duch zgromadzenia, czy ojcowska czułość, czy radość z powrotu namaszczyły mu usta. Począł mówić dowcipnie, zamaszysto, pieprzno i słono, nie żałując ani barwy, ani przyprawy. Ojciec stał zaniemialy ze zdumienia, szlachta się za boki trzymała. Chwilami gdy Fryderyka malował i jego obyczaje, którym się przypatrzył w obozie, do szabli się rwano i na

ostrzych wyrażeniach nie zbywało. Jednym słowem na słuchaczach swych i na ojcu uczynił to wrażenie, iż kiedyś mówca z niego niepospolity urośnie.

W czasie tej mowy, posiadali gdzie kto mógł, a przybysze świeżo przebudzeni z drugiej izby, zdrzemnęli się znowu. Ojciec słuchał z radością i rozrzewnieniem przygód syna.

Masłowski opowiadając o nich, jedno tylko pomijał starannie: to wspomnienie baronówny.

Gdy dokończył nareszcie, szlachta wniosła zdrowie stolnikiewicza, a ojciec go pocałował i kielich wychylił milcząco. Więc znowu się wszczął gwar, huk i szkło ponapełniane szło wkoło.

Pan Ksawery znalazłszy kilku dawnych przyjaciół i niemal rówieśników, cofnął się z nimi trochę na stronę, bo pytaniom nie było końca. A że się pora wieczery zbliżała, poczęła czeladź różnego stroju i kalibru nakrywać do ogromnego stołu. Obrus leżał już na nim od dwóch dni, pooblewany sosami i winem; poprzynoszono tylko stopy obłupanych talerzy: żelaznych nożów i widelców, dalej chleba stopy, a naostatku poczęły wyjeżdżać niewykwintne półmiski jadła, które na to było przeznaczone, aby istotne potrzeby zaspokajało.

Szły więc zrazy z cebulą, pieczenie z różną, kapusta kwaśna, ogórki, bigosy i fundamentalne jadła. Kto mógł zabierał miejsce, bo tu rzeczywiście *periculum in mora*: ledwie misy dotknęły stołu, już z nich znikały potrawy.

Ksawery głodny téż, o sobie radzić musiał. Ojciec się zbliżył do niego.

— Radź o sobie — rzekł cicho -- a jeżeli zmęczony jesteś i zalewać się nie chcesz, bo to téż dla waści zawczesne, izdebkę na piętrze niech ci pokażą, abyś odpoczął, choć, Bóg raczy wiedzieć, czy my tu komu dziś spać damy: niemały to kłopot sejm smarzyć...

Westchnął ocierając pot z czoła. Ksawery korzystając z pozwolenia, posiliwszy się, natychmiast zniknął. Maciek poszedł za nim i w izbie mu na ziemi poślano, bo o łożku mowy być nie mogło, na sianie i łosiowej skórze. Zaczynano chórem pisać na dole, gdy Ksawery do skórzanej téż poduszki zaledwie głowę przyłożywszy, zasnął kamiennym snem, z któregooby i działa pruskie może go obudzić nie potrafiły.

I spał nie marząc nawet.

W kilka dni po przybyciu hrabiny i umieszczeniu jej, życie dworu na chwilę jakby wstrząśnięte nowemi żywiołami, które do jego składu przybyły, wróciło do dawnego spokoju i zegarkowój swój regularności.

Najjaśniejszy Pan po kilkakroć powoływał hrabinę, aby mu coś o królowej, o dzieciach, o Dreźnie opowiedziała. Minister bywał rozmowie przytomny i wejrzeniami kierował odpowiedzi, gdyż doświadczył że się żona jego gniewem zbyt unosiła i wygadwała niepotrzebnie. Po kilku jednak dniach, August czując się już dostatecznie zawiadomionym i uspokoiwszy sumienie, zapraszał tylko na zabawy, które jako niezbędne życiu, szły swym trybem. Dodawały im smaku wiadomości przychodzące o zwycięstwach wojsk rossyjskich, o tryumfach austriackich, o naprowadzonych siłach francuzkich i t. p.

Było więc w Warszawie tak spokojnie, tak wygodnie, tak cicho jak może być tylko w kraju, w którym wszystko od sejmów zależy, a w którym

żaden sejm nie dochodzi i z chaosu zręcznie się korzysta.

W zarządzie polskiego kraju, Brühl też same rozwijał talenta, jakich dał dowód rządząc Saxonią; jednał sobie stronników, pilnował własnego interesu, obrachowywał ile nieład przynieść może i starał się go uwiecznić.

Zgryźliwsze umysły widziały w tém przyszłą zgubę, Rzeczpospolita już nie władała sobą; ale to co się tu działo, dla terażniejszych widoków ministra było korzystnym: nie szło mu o nic więcej.

Nadskakującą grzecznością jednał sobie ludzi: sam starał się przerobić na szlacheca polskiego, synowi dał starostwo warszawskie, córkę wydał za Mniszcha, spokrewnił się ze wszystkimi znaczniejszymi domami i był panem Rzeczypospolitej. Miał tu także swych Stammerów, Globigów i Hennickich.

Gdy on o tych wielkich politycznych myślał planach, hrabina starała się sobie uprzyjemnić życie, ściągając do domu swego towarzystwo i dobierając domowników i sekretarzy do smaku.

Simonis, który po jakimś czasie przyszedł do siebie, stał na czele tej młodzieży, pod różnemi pozory przeznaczonęj na opędzenie nudów i skrócenie czasu. Pomimo najwygodniejszego urzędnictwa w Warszawie, chociaż tu miała córkę i syna, hrabina czuła się nie swoją. Tu sieć jej intryg tak łatwo i dogodnie snuć się nie mogła; tu przeciwko

znenawidzonemu Fryderykowi nie przedsięwziąć nie było podobna. Nie było wreszcie ludzi, coby po wypadku Glasau'a zamkniętego na całe życie do fortecy, jego rolę na siebie przybrać się podjęli; trudno było o szpiegów nawet.

Każdą pocztę chwytała Brülowa chciwie i po każdej smutniejszą była, bo wiadomości pomyślnych brakło.

Simonis pisał pod dyktowaniem listy codziennie, codzien je wysyłano drogami różnemi: lecz działanie z daleka coraz się stawało trudniejszém.

Pan stolnik Masłowski, który tak rzewnie pierwszego dnia przyjął syna, drugiego dnia był już znacznie surowszym, a trzeciego odprawił go na służbę do Brühla. Ksawery nie był bardzo tém zmartwiony, gdyż mu to dozwalało zbliżyć się do baronówny.

Ta także czuła, może mocniej niż inni wygnańcy drezdeńscy, ciężar osamotnienia i tęsknotę za krajem, którego każde drgnienie w piersiach się jej odbijało. Towarzyszyła wprawdzie Brühlowej, ale jak niemy i obojętny świadek, którego myśl jest gdzieindziej. Nawet Masłowski, który nie kryjąc się ze swym przywiązaniem, ciągle był przy niej, często nie umiał i nie mógł jej rozerwać. Uśmiechała mu się smutnie, serdecznie, ale bez życia, bez nadziei. I ona rzucała się chciwie na każdą pocztę, która przybywała z Drezna.

Wszystko co ztamtąd szło, obchodziło biednych

wychodźców: ciężka nadzwyczaj zima, która szyldwachów dwu królowi pruskiemu na śmierć zdławiła, drożyzna chleba i t. p. Cieszono się nawet śmiercią generałów pruskich, z których jeden von Kleist zmarł w Dreźnie.

W styczniu wiadano o pobycie Fryderyka, który prawie nie opuszczając Saxonii, małe z nięj tylko do Szlązka czynił wycieczki. Resztę saskiej broni pozabierano w arsenałach, a ludzi chwymano po ulicach, gwałtem ich ciągnąc do wojska. Ze szkoły nawet uczniów starszych, Fryderyk pozaszyszał w kamasze.

Wszyscy przerażeni byli tém, że na zamku i w kościele katolickim, Szwajcarów rozbrojono, zastępując ich pruskim żonierzem. Nareszcie przyszła wieść, że twierdze, mury, i baszty pilnie zaczęto poprawiać i umacniać, a król nawet dowiedziawszy się, iż słusznemu żądaniu żony jego, która 174,000 talarów miesięcznie na dwór i życie wymagała, odmówiono; bardzo przez dwa dni był pochmurny.

Przyczyniła się do tego i wiadomość, że Hasse, genialny muzyk, którego król rad był mieć w Warszawie, wyjechał do Włoch, a ściągnąć się ztamtąd nie dawał.

Gdy w Europie wojowniczymi ruchy wrzały całe państwa spiknięte na Fryderyka, tu król August mógł zażywać niczém, oprócz ech i o odgłosów, nieprzerwanego spokoju. Całą zimę polowano wy-

śmienicie korzystając z mrozów, co ścięły bagna, i śniegów, co zwierzętom utrudniały ucieczkę.

Z pierwszą wiosną, w kwietniu już, Fryderyk znajdował się w Czechach. Zwykłą jego zasadą było nieprzyjaciela nie czekać, ale pierwszemu nań nachodzić: tą śmiałością zyskiwał wiele. Lecz istotnie zdawała się zbliżać chwila, w której niewielkie jego siły, rozdzielone, zewsząd z ziemi wyrastającemu nieprzyjacielowi podolać już dłużej nie mogły. Obok wielkich wypadków na scenie politycznej i wojskowej, drobniejsze dzieje serca, ledwie na siebie zwracały uwagę. Nie zachodziło też nic tak nowego, coby im nowy zwrot nadało. Simonis trzymał się hrabiny, wyglądając codziennie bardziej znużonym, choć z każdym dniem rosła w łaski, podarki i nadzieje.

Masłowski oczyma gonił baronównę i mówiono na dworze głośno, iż ta miłość zobopólna, małżeństwem się skończyć musi. Przeciągało się to jednak. a Simonis, pomimo wyrzeczenia się Pepity, z nudów, czy z istotnej skłonności, ostrożnie bardzo znowu zbliżać się zaczynał do niej. Baronówna chłodem i obojętnością odpychała go od siebie nadaremnie. Szwajcar poznawszy lepiej stosunki miejscowe, domyślał się, że Masłowskiemu ożenić się z nią będzie trudno; rachował i na to, że hrabina może później zobojętniawszy, dopomódz mu do panny Nostitz.

Ostrożnie więc, nie natarczywie, Max coraz bli-

żej kołował przy pannie; Ksaweremu nie zdawało się to bynajmniej niebezpiecznym, milezał więc.

Byłoby się to tak ciągnęło dłużej może, gdyby hrabina nie była zazdrosną, namiętą, i gdyby niepotrzebowała właśnie nieczynnością zmęczona, czémś gorętszém się odżywić. Ludzie, którzy długo w ogniu żyć byli nawykli, nie znoszą chłodu i ciszy. Intryga staje się nałogiem, namiętność potrzebą.

Brühlowa raz powziąwszy podejrzenie, iż Simonis nie bez celu spogląda znowu ku baronównie, zaczęła go szpiegować, odgadła i nieokazując nic po sobie, zapaliła się gniewem wielkim. Dla Simonisa stała się owszem czulszą niż kiedy, aby nie odgadł co go czekało.

Jednego wiosennego poranku, na świstku papieru nakreśliła hrabina do męża żądanie, ażeby przyszedł z nią pomówić; minister pełen atencji stawił się natychmiast.

— Co mi moja piękna pani każe? — rzekł z uśmiechem.

— Mój Brühl — odezwała się nie wstając z krzesła hrabina — mam do was prośbę, a spodziewam się, że czułe jego serce jej wysłucha: raz przecie dwoje szczerze się kochających połączyć potrzeba.

— Kogo? — zapytał zdziwiony minister.

— Ten biedny Polaczek Masłowski schnie z miłości dla Pepity; ono go kocha, ale chłopiec się ojca lęka i tak się to ciągnie, iż się oboje zame-

czą. Zresztą — dodała ciszej — może się to skończyć też nieładnie...

— Serdecznie pani dziękuję za podanie mi zręczności spełnienia dobrego uczynku. Z największą przyjemnością — dodał Brühl. — Stolnik, ojciec Masłowskiego jest mój przyjaciel, służy mi wiernie; słucha, zrobi co zechcę: pożenim ich... *C'est dit!*

Brühlowa podziękowała skinieniem głowy, ale nakazała dyskretyą. Drugiego czy trzeciego dnia minister zobaczywszy pana Ksawerego, przypomniał sobie obietnicę i zbliżywszy się doń, szepnął mu, aby ojca nazajutrz do niego prosił. Stolnik dotąd jeszcze był w Warszawie; wyjeżdżał wprawdzie co kilka tygodni, ale po polsku. Konie zaprzęgano, tłumoki znoszono, ludzie byli gotowi, zaczynały się pożegnania, podróż się opóźniała, odkładano ją do dnia następnego. Nazajutrz zrana coś przeszkodziło, po południu konie znowu wyprowadzano, ktoś nadszedł, interes był pilny i tak się zwlekło do nocy, a nocą jechać licha warto. Następował poniedziałek a w ten dzień nikt nie jeździ. We wtorek było święto, we środę rozrachowywano, że do domu na termin oznaczony zdążyć nie można i wyjazd odkładał się *ad calendas grecas*. Takie wyjazdy powtarzały się kilkakrotnie, stolnikowi ciężko się już było ruszyć z Warszawy. Wyprawiał dyspozycyę ekonomowi, odbierał raporta i siedział. Gdy Ksawery całując go w rękę przyszedł prosić do ministra, stolnik *cum debita reverentia* to przyjął.

— Ano będę, oczywiście będę — rzekł. — Rozpytał o godzinę i syna odprawił.

Brühl tymczasem zapomniał o wszystkim i dopiero na sali audyencyonalnej zobaczywszy pana stolnika, przywołał na pamięć o co chodziło. Odprawiwszy więc innych klientów, ujął go pod ramię i wprowadził do gabinetu. Domyślał się pan Masłowski, że musiało iść o rzeczy polityczne i zdziwił się mocno, gdy go zagadnął minister.

— Natenraz, panie stolniku, interez prywatny zbliża mnie do waćpana; pozwolisz mi z sobą, jako swojemu przyjacielowi, mówić otwarcie.

Stolnik się skłonił bardzo nisko. Brühl ujął go za rękę:

— Kochany stolniku co myślisz z synem? Chłopak dorosły, młodzieniec, któremu wszyscy sprawiedliwość oddają: ja pierwszy. Czasby go może ożenić?

Masłowski aż odskoczył.

— E! to smarkacz! — zawołał — trzydziestu lat nie ma.

— Sam czas.

— U nas nie! oho! gdzie mu tam o tém myśleć!

— No — przerwał śmiejąc się Brühl — ja się lękam, że może on już dawno ma projekta.

Na twarz Masłowskiego wypłynął rumieniec.

— Z pozwoleniem JW Pana — rzekł — gdyby bez mojej wiedzy miał projekta, dostałby pięćdziesiąt bizunów i odeszłaby mu ochota.

Brühl się śmiał.

— Nie będę — rzekł — obwijał w bawełnę: waćpana syn kocha się w baronównie Nostitz. Jest to stara rodzina u nas, u dworu w łaskach, N. Pani i król są opiekunami panny, ma majątek piękny, wcale piękny. Osoba zacna i charakteru najszlachetniejszego: czegoż sobie więcej życzyć można, gdy i miłość jest wzajemna?

W czasie téj mowy stolnik milczał, ale powoli twarz mu się mieniła, bladła, nabiegała krwią; marszczki okrywały czoło, wąż się podnosił i ruszał, ręka zaczęła drgać. Potarł czoło milczący, nadał się i widać lękając się, aby z niego nie wybuchnęło to, co zawrzało, szepnął tylko krótko i cicho:

— Pan minister pozwoli... do namysłu... zobaczmy.

Brühl nie zrozumiał, iż stolnik spolitykował tylko i dodał:

— Niech się pan namysli: partya nie może być lepsza.

Stolnik nisko się ukłonił i prędko wyszedł. Przez salę audyencyonalną przesunął się nie patrząc na nikogo, w pałacu okręcił się szukając zaraz syna, a znalazłszy Ksawerego, powiedział mu krótko:

— Idź waćpan ze mną.

Zaledwie wyszli w ulicę, aż dłużej w sobie rancoru nie mogąc utrzymać stolnik, stanął i zawołał:

— Trzykroć sto tysięcy djabłów, mosanie, to

waćpan tu bez mej wiedzy w amory się wdajesz! he! Sto bizunów! com obiecał, to dotrzymam. A ten Niemiec szołdra jakiś, dlatego, że ja mu syna dałem do dworu, i żem mu w jego polityce służył, będzie mi się mieszał do moich spraw domowych. Truteń jakiś, a wara! a zasie! Co to ja twój chłop, sługa, żebyś mi ty syna żenił!

Kwita z przyjaźni! — krzyknął, kułak podnosząc — kwita. A to tak!

Ksawery, za mną!

I wzburzony cały stolnik poszedł na Pocijów. Ledwie w podwórzu stanął, na ludzi zawołał:

— Pakować i zaprzęgać!

Drżący pan Ksawery szedł za nim, stolnik sapał i zżymał się: weszli do izby.

— Wart jesteś, żebym ci dał sto — zawołał.

Ksawery do nóg mu się rzucił.

— Jedno twoją winę w oczach moich łagodzi to, że na tym dworze przeklętym, baby szaleją i mężczyźni popsuci jak psy. Zaciągnęli cię; dosyć: póki ja żyję, z tego nie będzie nic, *tak mi Panie dopomóż i święta meka Twoja.*

Ksawery chciał mówić coś, ręką tylko machnął:

— Dosyć.

Pakować: jedziemy.

Chciał syn iść po rzeczy swe, pożegnać.

— Ani kroku ztąd, ludzie rzeczy zabiorą, a nie, pal je djabli; droższa dusza od spodni: duszę trzeba salwować. Jeszcze w naszym rodzie niemie-

ckiej krwi nie było. My szlachta. Niech się Mniszchowie, Czartoryscy, Lubomirscy kumają z Flemingami i Brühlami, to magnaci: nam zakon tego broni. Waćpan nie znasz szlacheckiego zakonu. Z chłopką siężeń, jeśli ci do gustu; ale z Niemką wara!

Nieubłagany stolnik, niepuściwszy syna na krok od siebie, tym razem gdy konie były gotowe, choć późno wyjechał z miasta. Mijając Brühlowskie mieszkanie, rzekł jakby sam do siebie:

— Kwita kochanku z przyjaźni. Ja sobie w kaszę pluć nie dam.

I jakby go paliło, stolnik poleciał do domu.

Wypadek ten ogromne we dworze uczynił wrażenie: Brühl śmiał się, ale był do żywego obrażony; Brühlowa się wściekała, baronówna (do której bilecik potrafił jakimś cudem wyprawić Ksawery, mimo dozoru ojca), zamknęła się na kilka dni w pokoju i nie pokazywała na dworze.

Cały plan osnuty przez panią Brühlową, runął.

Simonisowi jego przeniewierzenia przebaczyć nie mogła. W kilka dni potem otrzymał nie odprawę, ale inne miejsce w kancelaryi Brühla. Szwed Ferdström zajął tegoż dnia jego miejsce. W tydzień minister oświadczył Maxowi, że go przeznaczają w misyi jakiejś do Hamburga, dokąd niełatwo przekraść się było można. Simonis się zawahał, dano mu trzeciego dnia małą gratyfikację i odprawę. Został nagle bez miejsca, bez nadziei, na

tym pstrym koniu, na którym wedle przysłowia,
jeździ łaska pańska.

Brühlowa kazała mu powiedzieć przyczynę,
i oświadczyć, że się już nic więcej spodziewać nie
może...

EPILOG.

Choć w życiu nic się nie kończy, w książce wedle prawideł i przyjętej formy, czytelnik ma prawo wymagać jakiegoś ostatecznego rozwiązania. Musimy go więc zaspokoić o losach osób, które się w obrazie ukazywały.

Część ich znaczna do dziejów należy i o tych z historyi więcej się dowiedzieć można, niż ze skromnego naszego opowiadania. Rok następujący 1757 rozpoczął dla Saxonii szereg pamiętnych klęsk. Fryderyk z zaciętością dalszą prowadził wojnę, z różnym szczęściem, lecz z wytrwałością żelazną. Nie był on dla niego pomyślnym. W bitwie pod Kollinem, cztery owe pułki saskie, które się w Polsce przechowały, przechyliły zwycięstwo na stronę Austryaków; najpiękniejsza gwardya królewska w niej padła: zginał drogi Fryderykowi generał Schwerin, nad którego zwłokami płakał. Hrabia Nostitz i Benkendorf rzuciwszy się na Prusaków, położyli trupem najpiękniejszego żołnierza. Zieten na drugiem skrzydle otrąbiał zwycięstwo, gdy oni zadali tę klęskę.

— To moja Pułtawa — zawołał król — patrząc na pobożowisko.

Królowa Józefa, która już była chorą, podniosła się dźwignięta tą wiadomością; ale wkrótce potem przyszła wieść o zwycięstwie pod Rossbach i ta ją dobiła. Pobożna pani zmarła nie ustąpiwszy ze swęj stolicy, nie dożywszy wzięcia Drezna przez Austryaków, którym je zdać był zmuszony generał Schmeltau.

Fryderyk wydawszy rozkaz cofnięcia się z miasta, wprędce je zapragnął odzyskać. Oblegli Prusacy stolicę, otoczywszy ją wszystkimi siłami swoimi. Rozpoczęło się straszliwe owo bombardowanie, które pół miasta obróciło w perzynę...

Znane są wypadki wojny siedmioletniej, w ciągu której Fryderyk zrozpaczony, nosił przygotowaną truciznę i kilka razy chciał sobie życie odebrać.

Dziwnie szczęśliwy skład okoliczności ocalił go i państwo, któremu groziła zagłada.

Fryderyk w sile wieku wyszedł na tę wojnę, w której szło o życie, nie jego, ale Prus świeżo powstałych; wrócił do Berlina złamanym, osiwiałym starcem, choć napół zwycięzcą. Los w tém miał udział znaczny, ale wielcy ludzie wszyscy jemu coś są winni, czasami więcej niż sobie.

Zaledwie pokój w Hubertsburgu został zawarty, August i Brühl natychmiast opuścili Warszawę, spiesząc do Saxonii, na ruiny i zgłiszcza. Ministrowi ulubionemu, który łask swojego pana nie utracił

do końca, wynagrodził August straty, nadaniem starostwa spizkiego po królowej i pałacu Fürstenbergów w Dreźnie, nie licząc łask innych.

Hrabina Brühlowa nie doczekała wszakże ani powrotu, ani końca wojny i zmarła 1762 roku w Warszawie. Brühl przeżył króla i do zgonu był tym wszechwładnym panem Saxonii i Polski, jakimeśmy go, mimo nieudolności jego widzieli. Słabość króla stanowiła siłę ministra...

Dnia 1 maja, po zawarciu traktatu śpiewano po kościołach *Te Deum*, galerya została otwartą. W sierpniu powrócił Hasse z Włoch i w operze dano *Siröe*, na dzień imienia króla w rocznicę ustanowienia orderu Orła Białego. Opera, w której Fryderyk umieścił magazyn wojskowy, w mgnieniu oka odświeżona została. Po *Siröe*, nastąpiła *Królowa Amazonek Talestris*, z muzyką i librettem napisanem przez synowę króla.

W październiku, gdy się przygotowywano do nowego widowiska „*Leucippo*“ na dzień urodzenia Augusta, król siedząc u stołu, wśród obiadu, pochylił się na krzesło i uderzony apopleksyą skonał.

Brühl przeżył go o kilka tygodni, jakby ich losy z sobą były związane: zachorował natychmiast po zgonie dobroczyńcy.

Kurfirst, który się z nim obchodził dosyć łagodnie, zażądał złożenia wszystkich urzędów, zostawiono mu jednak pensyą znaczną...

Katolik w Polsce, ewangelik w Dreźnie, na łożu śmierci Brühl wrócił do wiary, w której się urodził. Nałożono sekwestr na majątki, który w r. 1772 został zniesiony, i prawie cały spadek przeszedł na dzieci Brühla. Oprócz innych po nim pozostałości, dłaczegobyśmy zapomnieć mieli o książce od nabożeństwa! Wyszła ona w tych czasach, gdy minister był jeszcze w najświetniejszym położeniu i gdy jój nie na pociechę w utrapieniach, ale dla ludzi potrzebował, którym się pragnął okazać natchnionym, uniesionym czystą miłością Bożą. Odegrywanie téj roli religijnego człowieka należało do całości sztuki, którą z takim talentem doprowadził aż do spadnięcia ostatniej, czarnej zasłony. *Mors ultima linea rerum.*

Simonis w niełaskę wpadłszy, tułał się po Warszawie, przebywał jakiś czas w Białymstoku, w Wilnie, po dworach możniejszych panów polskich, odegrywając dwuznaczne role rezydenta, sekretarza, przyjaciela, wędrownika, wedle okoliczności.

Tymczasem zdaje się, że przez jakieś tajemne kanały, porozumiewać się musiał z dworem pruskim i uzyskać zapewnienie bezkarności (okupione zapewne znaczącymi jakimiś wyznaniem), gdyż zaraz po zawarciu pokoju w Hubertsburgu, zniknął z Warszawy, a wkrótce potem zapewniano, iż go w Berlinie widziano. Tu jednak, Fryderyk znacznie rozczarowany względem cudzoziemców, nie musiał go chcieć użyć do niczego, bo miejsca jawnego przy-

najmniej nie miał, a żył sobie jako człowiek prywatny i swobodny.

W r. 1764, Blumli także odprawiony po śmierci Brühla, lecz dosyć zamożny, dzięki przeszłości, przybył do Berlina, mając powody opuszczenia Saxonii i osiedlił się z nadzieją wstąpienia w służbę pruską. Siedział tu już pół roku bezskutecznie, gdy raz pod Lipami niespodzianie się z Simonisem spotkał.

Poznali się oba, choć oba byli bardzo znacznie zmienieni na twarzy i na humorze. Zrazu zawahał się jeden i drugi, witać się czy nie: ale gdy Blumli podał rękę i napół się uśmiechnął, Max też ją wyciągnął.

— Co robicie w Berlinie? — począł Simonis.

Blumli nie chcąc się spowiadać, złożył swą podróż na ciekawość, na brak zajęcia i zastrzegł się od pytań dalszych tém, że żadnego obowiązku nie ma, a nawet o żadnym nie myśli, zapewne po jakimś czasie wrócić chcąc do Szwajcaryi.

Simonis ubrany bardzo skromnie, dosyć podstarzały, z twarzą bladą i spokojną, gdy mu zadane pytanie Blumli nazad odesłał i zwrócił ku niemu, zrazu wahał się z odpowiedzią.

— Wyleczyłem się — rzekł po chwili — z choroby ambicyi i z chętki dobijania do sfer, które nie każdemu bywają dostępne: gotów dziś jestem na małym się ograniczyć.

— Ale cóż robisz? zostajesz w Berlinie?

— Prawdopodobnie — rzekł Simonis trochę skłopotany.

— Masz jakie zajęcie?

— Tak, jak żadnego.

Wszystko to były zagadki. Blumli nie czując w nim chęci szerszego tłumaczenia, już go chciał pożegnać, gdy Simonisowi zebrało się na odwagę; wziął go pod rękę i odezwał się:

— Choć ze mną, do mnie.

O kilkadziesiąt kroków ztamtąd, weszli do domu, na którego dole była cukiernia. Pominąwszy ją Simonis zaprowadził przyjaciela w dziedziniec i w oficynie na prawo, której okna wychodziły na małą boczną uliczkę, zadzwonił na pierwszém piętrze: służąca przysłała otworzyć.

Z drugich drzwi na chwilę pokazała się młodziuchna kobiecina, w domowym czepeczku, gospościa, nie bardzo wykwintnie ubrana, i znikła. Simonis wprowadził Blumli naprzód do swojego pokoju, bardzo przyzwoitego i wygodnego, ale zarazem skromnego; potem do mieszczkańskiego saloniku, w którym widoczne były ślady kobiety. Blumli nie śmiał pytać o nic, ażeby przyjacielowi nie być zbyt natrętnym, gdy Simonis rękami biorąc dłoń jego, rzekł cicho:

— Widzisz, ożeniłem się!

— Jako? żonaty jesteś? z kim?

Simonis westchnął, głos zniżając:

— Aspirowałem — rzekł — do daleko wyższych

sfer i losów, ale prawdziwe szczęście nie ściele gniazda tak wysoko.

— Miłość więc? — przerwał Blumli.

— Tak — rzekł Simonis — była to miłość, która się poczęła gdy żona moja była prawie dzieckiem. Jam trochę o niej zapomniał, ale ona mi była wierna... No, no, i wróciwszy co było robić... ożeniłem się.

Ostatnie wyrazy dokończył niemal ze wstydem jakimś. Blumli aż się rozśmiał.

— A! na Boga! — zawołał — toś doskonale uczynił; zazdroszczę ci, jesteś szczęśliwy: cóż więcej potrzeba?

Z zawstyżenia Simonisa domyślając się iż świętego zapewne małżeństwa nie zrobił, Blumli nie pytał o szczegóły, gdy gospodarz wybiegł na chwilę do drugiego pokoju i poszeptawszy tam coś powrócił.

W dobry kwadrans otworzyły się drzwiczki i osóбка dziwnie podobna do owęj słynnej czekoladniczki Liotarda, ale ciemno-oka i ciemno-włosa, ubrana naprędce w jedwabną sukienkę, wniosła na tacce butelkę wina i ciasteczka.

Była to ta sama nieubrana gosposia, którą Blumli ujrzał wprzód przez drzwi wpółotwarte. Simonis żonie swęj przedstawił przyjaciela i ziomka. Młodziuchna jejmość usiadła przy nich zapraszając i częstując z gościnnością natrętą ludzi niewielkiego świata, a dobrego serca. Blumli znalazł ją bardzo miłą, wesołą i wdzięczną.

Kieliszki szły szybko jedne po drugich, gospo-
sia przyniosła jeszcze jedną butelkę, a tuż wszedł
nowy gość, niewykwintnie ubrany, bo w fartuchu
pod surdudem. Był to ojciec pani, cukiernik, który
jako Szwajcara i ziomka przychodził poznać pana
Blumli. Zaczęła się tedy ożywiona rozmowa i gość
dowiedział się z niej, że dawny sekretarz ministra,
dawny sekretarz gabinetowy króla, dawny wielkich
nadziei agent polityczny, był dziś pomocnikiem cu-
kiernika.

Karyera jego zdawała się być skończoną na
zawsze, a Carlotta o żadnej innej myśleć mu nawet
nie pozwalała, nasłuchawszy się o niebezpieczeń-
stwach, na jakie mąż jej był narażony.

— Chwała Bogu! — mówiła żywo — w domu
nam na niczem nie zbywa; nie ma czego się po
świecie dobijać narażając się na skręcenie karku,
a nam to do czego?

Blumli przesiedziawszy parę godzin u Simonisa,
z westchnieniem mieszkanie jego opuścił. Jakkol-
wiek skromną nader była dola kawalera Maxa, ma-
jątniejszy od niego Blumli, prawie mu jej zazdrościł.

Panna baronówna Pepita po wywiezieniu Ma-
słowskiego przez ojca, zamknęła się z początku
i na świat pokazywać nie chciała; potem zmuszona
była na świat powrócić, ale się na nim zachowała
obojętnie, dumnie i licznym swym wielbicielom
ażeby jej nie nudzili długo, dawała summaryjną,
bardzo ostrą odprawę. Wkrótce też mimo wdzięku

i mienia i zamożności jej, nikt się już do niej nie posuwał; mówiono sobie, że Pepita ma w sercu nieuleczoną jakąś miłość.

Masłowskiego młodego więcej już na dworze nie widziano. Ojciec nie poprosił nawet o uwolnienie go od obowiązków: jak go dał wprzód Brühlowi, tak go potem samowolnie odebrał i na wsi zamknął.

Stolnik z tego powodu zerwał nawet z ministrem i jego adherentami, stając w opozycji przeciw dworowi, któremu przebaczyć nigdy nie mógł, iż śmiał mu chcieć syna ożenić; nazywał to tyranią, *absolutem dominium* i t. p., i stał się zagozłym republikaninem.

Pan Ksawery za karę, iż śmiał rozporządzać swém sercem, nie odniósłszy się wprzód z tém do ojca, chociaż miał zapowiedzianém z góry, iż o małżeństwie myśleć nie powinien, mianowany został ekonomem w majątku stolnika. Przychodził wprawdzie do stołu i niekiedy wzywany był do gości, ale zwykle dni spędzał w polu, stodole, przy koszarach, młóckach i t. p. Niekiedy ojciec dla zła- mania buty i swawoli młokosa, jak powiadał, sadzał go w smrodliwej gorzelni nakazując pilnować żyda i wypędu wódki; czasem posyłał go biedką jednokonną do Hrubieszowa, Chełma i Lublina po sprawunki. Po półroczu dopiero dano mu lichego konia wierzchowego. Ojciec jednak monitowany podobno przez duchownego, księdza dziekana Pietraszkiewi-

cza, zliczywszy lata synowskie i obrachowawszy się z sumieniem, postanowił go ożenić, aby krewkości młodzieńczej koniec położyć; chciał mu folwark Rudy wypuścić, i sam rozpatrzywszy się po sąsiedztwie wybrał mu pannę chorążankę Zerkowską, jedynaczkę, po najdłuższém życiu rodziców mającą posiąść sąsiednią wieś kapitalną Żłoby.

Jednego wieczoru, gdy Ksawery klucze od stodoły i lamusu odniósłszy, stał u progu czekając na dyspozycją pańszczyzny, stolnik westchnąwszy odezwał się:

— Coś chciałem mówić, waćpanu przychodziła do ożenku ochota... hm! Musiała już djable bezżenność dokuczyć, kiedy aż Niemka zasmakowała! Wchodząc w to, nie jestem tyranem żadnym — dodał stolnik — na ożenie wreszcie, aż antycypowane, pisze się, aby jakiego zgorszenia nie było; ale sam waści wybiorę żonę.

Spodziewał się podziękowania stolnik; spojrzął: Ksawery stał i milczał, wcale nie rozradowany.

— Cóż tedy waszmość na to? — spytał.

— Ja nie mam ochoty do ożenienia! — wyrwał się Ksawery.

Ojciec stanął zaperzony biorąc się w bok.

— A to tak! rozumiem! Jak ojciec sobie życzy to nie. Otóż gdy mi się podoba, ożenie waszmości, bo prawo mam i po nosie sobie grać nie daje: rozumiesz waść?

Ksawery nie chcąc ojca jątrzyć zamilczał.

Nastąpiło kazanie całe o posłuszeństwie, jakie dzieci są rodzicom winne, o przykazaniu Bożem: „Czcij ojca i matkę twoją“; o Niemcach i Polakach, o niesforności młodzieży i t. p. Wysłuchał go cierpliwie pan Ksawery, nie ważył się ani słowem odpowiedzieć; ojca w rękę pocałował i odszedł.

Stolnik był markotny, ale uparty. Nazajutrz kazał synowi jechać do Żłobów, do chorążtwa, pod pozorem zamiany pszenicy na nasienie. Dał mu list do Zerkowskiego: Ksawery pojechał. Przyjęto go tu uprzejmie. Panna była zdrowa, hoża i wychowana po domowemu, a we dworze znać było gospodarstwo niezmiernie zabiegliwe. W izbie gościnnéj jéjmość z córką liczyły i gatunkowały motki i talki podbierane ze wsi, ważono len i rozdawano, wcale się gościa nie wstydząc. Sam chorąży kilka razy z kluczami chodził do lamusa, ludziom nie wierząc. W dziedzińcu rozesłany był len, naprzeciwko pokojów często przez drzwi otwarte ujrzeć było można przychodzących z różnemi gospodarskiemi potrzebami ludzi. Chorążanka milcząca, zarumieniona przypatrywała się gościowi, matka téż. Mówiono mało o rzeczach obojętnych.

Obiad na który zaproszono, choć widocznie z występem, był niezmiernie prosty: legumina, która się nie udała, składała całą paradę.

Gdy Ksawery powrócił, jeszcze ledwie z konia zszedł, gdy już w ganku nań ojciec czekał. Próbkę

pszenicy przywiózł. Wieczorem stolnik spytał o pannę, jak się podobała: Ksawery zmilczał.

Poszło tedy na upartego. Ojciec co trzeci dzień do Żłobów jeździć kazał w konkury, czasem sam towarzyszył. Sadzano pana Ksawerego przy chorążance. Młodzieniec był grzecznym, ale nic więcej. Rachując na krewkość i na świeżość panny, stolnik się omylił i był zły. Po jakimś czasie chciał zrobić zaręczyny, Ksawery nawykły do rygoru, rzucił mu się do nóg i powiedział, że nie może się żenić i nie ożeni.

Scena była okrutna: hałas, wrzawa, aż się służba podeszła zbiegła. Stolnik wrzeszczał, czerwieniał, bił pięścią o stół: nic nie pomogło. Długo się jednak uspokoić nie mógł. Przeklinał dzień i godzinę, gdy syna oddał na dwór niemiecki, który mu jedynaka zepsuł i zrobił z niego jakieś niezrozumiałe stworzenie, niewiedzące samo, czego chciało.

Odłożono zaręczyny *ad futura*, nie odstępując od nich. Energia ojca walczyła z mocnym postanowieniem syna. Postrzegł w końcu pan Masłowski, że w nieodrodnym dziecku jego własna krew grała. Na radę do księdza dziekana... Ten życzył zostawić to czasowi: nie było w istocie innego ratunku, bo się stolnik do ostateczności posuwać nie chciał.

Życie Ksawerego było istotną próbą wytrwałości i męztwa. Lecz wesołe jego dawniej usposobienie, swoboda umysłu, śmieszek na ustach, lekceważenie

wszystkiego, zmieniły się bardzo. Pan Ksawery stał się milczącym, ponurym, zamyślonym; wreszcie blednąc, mizernieć poczynał i chorzeć. Stolnik który go jednego miał, i po swojemu kochał, nie okazując po sobie nic, zakłopotał się.

— A choćby go też te niemieckie amory i uleczyć miały — mówił sobie w duchu — co niemożliwe, to na żaden sposób.

Chciał go kędyś wyprawić, znaleźć pozór jakiś do rozerwania, wymyślić lekarstwo; ale ani on sam, ani ksiądz dziekan nie zdobyli się na żaden plan wykonalny.

Nastąpił wreszcie koniec wojny, wyjazd dworu z Warszawy i oddalenie się z nim panny Nostitz do Drezna. Ksawery, który pomimo nadzwyczajnej ojca pilności, potajemnie pisywał do niej i odpowiedzi różnemi odbierał drogami, wpadł w większy jeszcze smutek, gdy mu oddalenie się baronówny, nawet stosunki z nią listowne utrudniło. Stolnik się cieszył, gdy Niemcy pociągnęli do Drezna. W téjże saméj prawie chwili, u mieszkającego w bliskości podkomorzego wypadł obchód imienin uroczysty, który na sposób saski solenizowano. Szlachta się zjechała z całego sąsiedztwa na mil dziesięć; szopę wystawiono, aby stół na kilkaset osób w niej umieścić: nie wiem wiele beczek wina sprowadzono umyślnie.

Stolnik, który był znanym z tego, iż w podobnych okazyach dostał kroku najteższym, począł

tego dnia iść o lepszą z lubelskim mecenasem Zawistowskim, także hulaką jakich mało. Oba zdrowia wymyślali, kielichy coraz ogromniejsze, osobliwsze sposoby picia; drugiego dnia wprawdzie Zawistowski legł bez zmysłów, a stolnik nad nim pogrzebowego wypwszy tryumfował; lecz do domu wróciwszy i sam się położył.

Leczył się kwaśnemi ogórkami, kapustą, śledziem, różnemi wymysłami: nazajutrz jednak nie wstał, a we dwa dni dostał gorączki i majaczył. Posłano po fizyka do Lublina, a ten oświadczył, że chyba silna bardzo natura zwycięży, bo w medycynie on środków nie widzi.

W ciągu tygodnia było ciągle gorzej i coraz gorzej, spodziewano się kryzys, ale zamiast niżej przyszło osłabienie i konanie. Stolnik poczuwszy zbliżający się koniec, posłał po dziekana, spowiadał się bardzo przykładowie i umarł prawie przytomnie, synowi dawszy błogosławieństwo. O ożenieniu żadnem mowy nie było. Ksawery znalazł się więc panem swój woli i swobodnym. Pogrzeb stolnika przy ogromnej frekwencyi obywatelstwa, ze stypą należną pamięci tak zacnego pana, odbył się w Chełmie i kosztował na one czasy sumę znaczną. Wdziawszy żałobę stolnikowicz pozostał w domu regulując pozostałe interesa. Nie ruszył się wcale przez cały rok i sześć niedziel, poczem nabożeństwo jeszcze aniwersarz za duszę nieboszczyka odprawwszy, do Warszawy pojechał. Dziekan, który u niego

od czasu do czasu bywał, obserwował go i badał, wcale nie umiał powiedzieć coby myślał. Tymczasem podróż się przeciągnęła.

Dowiedziano się nierychło, iż z Warszawy ruszył Ksawery do Drezna. Złożyło się tak właśnie, iż tu w październiku przybył.

Króla przywróconego krajowi przyjmowano tu uroczyście, a Brühl dbał o to, aby mu na zwykłych nie zbywało rozrywkach.

Ale minister sam jakkolwiek w łaskach zawsze u pana, dla którego był niezbędnym, czuł się nie tak wszechmocnym, nie tak siebie pewnym, jak wprzód.

Nie mówiliśmy w ciągu powieści o zajściach jego z hrabią Wackerbarth Salmour, niegdy przybocznym młodego kurfirsta, który Brühla nienawdził i w otwartej z nim był wojnie. W czasie siedmiolecia, gdy kurfirst mieszkał jakiś czas w Dreźnie, a Wackerbarth z nim był także; udało się nieskończenie w małych rzeczach zręcznemu Brühlowi, ściągnąć podejrzenia Fryderyka na nieprzyjaciela swojego, którego król pruski w Kistrzynie osadził. Wprędce jednak intryga się wydała, puszczono go na wolność, ale cała rodzina, przyjaciele, stronnicy Wackerbarthów, całe otoczenie księcia Ksawerego, wszystko to co stało po za dworem króla, tchnęło nienawiścią przeciw Brühlowi.

Młoda żona Fryderyka Christiana, Marya Antonia Bawarska była też dla niego niebezpieczną

współzawodniczką. Młodość, talenta, śmiałe chwytanie wszystkich środków wiodących do opanowania władzy, obiecywały że wszystko pod siebie zagarnie. Godziny panowania Brühla były policzone. Marya Antonia malowała, znała się na sztuce, pisała libretta, komponowała muzykę do oper, i króla starała się zająć wszelkiemi sposobami.

Kurfirst młody nie liczył się wcale, był to dobry, łagodny, spokojny człowiek, chory od dzieciństwa i niemogący chodzić o swęj sile. Matka na próżno starała się go namówić do zrzeczenia się tronu i ustąpienia praw ulubieńcowi jej, energiczniejszemu Ksaweremu.

Na dworze krzyżowały się więc wpływy różnych kółek, a choć Brühl zawsze panował nad królem, musiał się oglądać na przyszłość. Książę Ksawery nie krył się z nienawiścią ku niemu... August III, nie tak w latach był podeszły, jak życiem zbyt wygodnym, zbyt pieśczoneń wycieńczony. Bawiono go już jak dziecię, i to zdziecinnienie codzien było wybitniejsze, stawało się śmiesznem.

Kuratela Brühla była nieuchronnie potrzebną, lecz stała się rażącą. Masłowski wpadł do stolicy wśród nagromadzonych w niej zabaw, któremi staro panu rozerwać usiłowano. Zaczęło się to od weneckiego skoczka Cassaty, który sześćdziesiąt sześć sztuk pokazywał na linie, przyczem była arcyzabawna psia komedia, w budzie na Nowym

Rynku. Później za pirnajską bramą nad Elbą na łące, urządzone strzelanie do ptaka, którego siedm lat mieszkańcy Drezna nie mieli. Tysiące się też ludu na nie zbiegło. W dzień orderowy dnia 30 sierpnia, pierwszy raz w oczyszczonej operze grano *Sirōe*, a w Brühlowskim ogrodzie na Frydrychstacie było orderowe strzelanie do celu i stół dla Kawalerów. Wszyscy ci panowie występowali w uroczystych szatach karmazynowych, bogato srebrem szytych. Był dla zabawy i sejm saski, było i wiele innych rozrywek.

Panu Ksaweremu jednak wcale o nie głowa nie bolała, szukał baronówny i znalazł ją nareszcie przy podstarzałej stryjence, dobrowolnie od dworu usuwającą się. Spotkanie było czułe i milezące. Stara baronowa, która stręczyła Pepicie kogo innego, oziębłe przyjęła Polaka, ale sprzeciwić się nie mogła dawno postanowionemu małżeństwu.

Konieczne formalności, które je poprzedziły, zabrały tyle czasu, iż Masłowski przytomnym był jeszcze uroczystej abdykacyi generała Rutowskiego, komendanta Drezna, którego miejsce zajął Chevalier de Saxe. Z powodu tego Brühl cały dwór wspaniale przyjmował znowu w ogrodzie swoim. Gotowano się do pierwszej próby *Leucippa*, gdy tegoż dnia król od stołu już nie wstał... W parę dni potem po ślubie cichym w kaplicy królewskiej, Masłowski z żoną wyjechał do domu.

Nie umiemy powiedzieć zaprawdę, jakie było pożycie młodej pary, ale to pewna, że potomkowie jej choć z cudzoziemki urodzeni, mimo obawy nieboszczyka stolnika, nigdy w niczem nie dali poznać, iż obcej krwi kropla w ich żyłach płynęła.

KONIEC.



Najnowsze dzieła wydane nakładem księgarni
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie.

- Chłędowski Kazimierz.** Królowa Bona, obrazy czasu i ludzi, 2 tomy. rs. 1 k. 50
- Chomętowski Władysław.** Synowie hetmańscy, opowiadanie historyczne, 2 tomy. rs. 2 k. 40.
- Dmochowski F. T.** Krótki zbiór historii polskiej, podług najnowszych źródeł opowiedziany. Wyd. nowe, popr. i uzupełnione spisem chronologicznym i wykazem ksiąg z plemienia Piastów i Gedyminów kop. 75.
- Ewangelia dla małych dzieci** przez H. J. z ryc. kop. 30.
- Faleński F.** Sama jedna, opowiadanie k. 75.
- Gloger.** Starodawne dumy i pieśni k. 25.
- Gloger.** Krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust ludu. kop. 30.
- Heurich.** Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa z 299 drzewor. w tekście, podług najlepszych dzieł obcych z zastosow. do potrzeb i zwyczajów krajowych, wyd. 3cie. rs. 1 k. 20.
- Kamocka J.** Bądź wola Twoja. Modlitwy i rozmyślenia na wszystkie dni tygodnia i miesiąca, na wszystkie uroczystości kościelne i na wszelkie okoliczności życia, ułożone przez kapłanów i Świętych katolickiego kościoła ku czei i chwale Ukrzyżowanego Chrystusa. Wydanie osobne dla kobiet i mężczyzn. rs. 1 k. 20.
- Kondratowicz Ludwik.** Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych czasów do XVII wieku. Wydanie drugie dopełnione przypiskami, 3 tomy, rs. 1 k. 50
w oprawie rs. 2 k. 70.

106832

Kosiński K. ks. Mary katechizm dla młodzieży w powiatach
2gło pow.

Kraszewski, J. I. Bracia rywalizacji z XVIII wieku.

— Holota. powieść współczesna.
Lubowski Edward. Przesady.
Magnuszewski Dominik. Dzieje

Biblioteka WSP Kielce



0149863

Odyńcio A. E. Listy z podróży (z Neapolu do Genewy)
tom IV. rs. 1. k. 50. cena 4 tomów rs. 5 k. 40

Rembielński Gustaw. Maszyny parowe w zastosowaniu
do potrzeb rolnictwa i maszyny rolnicze, wielka 8ka.
rs. 1 k. 20.

Sas Berlicz. (J. hr. Strutyński). Dwie babki, pamiętnik.
I. Pani kasztelanowa trocka. II. Pani kasztelanowa
horodelska. 2 tomy. rs. 2.

Serwatowski W. ks. Dzieje starego i nowego testamentu
krótko zebrane dla dzieci, wydanie ósme przejrzone
i poprawione, ozdobione licznymi drzeworytami w tek-
ście w oprawie. k. 37½.

Świat zwierzęcy w obrazkach, zebrany dla młodocianego
wieku przez autorkę „Wieczorów Czwartkowych” z 96
tabl. rycin. kolor., w oprawie. rs. 1 kr. 50.

Trzy Baśnie: Mądry kot. Książeczka z głogu. Kopeia-
szek z 19 ryc. kolorowan. z tekstem Wł. L. Ancezyca
rs. 1 kop. 50.

Wiśniowski Sygurd. Dzieci królowej Oceanii. rs. 1 k. 50.

Wójcicki K. W. Społeczność Warszawy w początkach na-
szego stulecia (1800-1830), rs. 1 k. 50.

Zacharyasiewicz. Prawo bezprawia, powieść. rs. 1.

— Zły interes, powieść ze studyów wiedeńskich, rs. 1 k. 50.

Zarysy charakteru Germanów i Słowian przez A. A.
k. 45